







5

ZIĘCJOWIE „DOMU KOHN ET C<sup>IE</sup>“

I.





(ŚWIAT I FINANSE.)

WINCENTY HR. ŁOŚ

# ZIĘCIO WIE

DOMU „KOHN ET CIE“

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

INSTITUT  
KSIĄŻEK PAN  
BIBLIOTEK ATOM I.  
ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

L W O W.

NAKLAD KSIĘGARNI G. CENTNERSZWERA.

Warszawa, Marszałkowska 147.

Z Drukarni „Dziennika Polskiego.”

1892.



WYCIĄG Z KSIĘGI  
ZBIÓRKA  
ZBIÓRKA  
ZBIÓRKA

DOM "KOLNIA GUR"

22.271



ADAMOWI KRECHOWIECKIEMU

POŚWIĘCA

A U T O R.



## I.

Dnia 15. stycznia r. 188\* z bramy hotelu Brühlowskiego wyszedł o godzinie jedenastej zrana młody mężczyzna.

Ubranie jego odznaczało się świeżością i elegancją. Wysoki, dobrze zbudowany blondyn o niebieskich oczach i pięknym, do góry podniesionym wąsie, był przystojny w całym tego słowa znaczeniu.

Twarz jego typową polską zdobił wyraz męskiej siły i dumy i owiewała ją szczerłość.

Idąc, rozglądał się po ulicach z radością i ciekawością człowieka, nieprzywykłego do ruchu i gwaru miejskiego.

Co chwila coś go zastanawiało, to wystawa sklepowa zwracała na siebie jego uwagę, to przystawał i ogarniał badawczym spojrzeniem mijającą go postać kobiecą.

Doszedłszy do ulicy Chmielnej, skręcił w nią z Nowego Świata i szukał po kamienicach potrzebnego mu widocznie numeru domu.

Znalazł, bo zatrzymał się.

— Tak numer 33-ci — szepnął do siebie

i wszedł. Na parterze w guzik dzwonka, przy lewych drzwiach położony, uderzył.

Służący ukazał się natychmiast w progu.

— Pan Bywalski w domu? — zapytał nieznajomy.

— W domu!

— Proszę mnie zaanonsować: Witold Łęcki!

Służący znikł w głębi mieszkania, a wracając za chwilę, wyrzekł:

— Pan prosi!

Witold zaledwie zdołał zdjąć palety, gdy sam gospodarz wbiegł do przedpokoju

Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu przeszło, chudy, niegdyś blondyn, z rzadkim wąsem i rodzajem brody, czy faworytów. W oku miał monokel. Duża łysina świeciła mu na głowie, a cała jego fizjognomja miała wyraz łagodności, pomieszanej z sprytem i bystrością.

— Witold! Kochany Witold! — zawołał, chwytając wysokiego młodzieńca w swoje objęcia — przyjechałeś? Na karnawał?... Dobrze!... doskonale. A matka zdrowa? a w domu?

Obsypując Witolda pytaniami, pan Bywalski przeprowadził go do salonu.

— U pana nic się nie zmieniło — mówił Łęcki — rozglądając się po eleganckim apartamencie — nic nie przybyło, a ja myślałem, że zastanę w tym pięknym apartamencie...

— Piękną połowicę! — podchwycił Bywalski, podsuwający Łęckiemu fotel — nie ma obawy, mój drogi. Ale mów, mów, co tam u was słychać.

— Najprzód — odparł Łęcki — oddam panu list mojej matki.

Tu wyjął kopertę i położył ją na stole.

— Jakże twoje interesa? — zapytał gospodarz powoli, sięgając po list.

— Interesa? stoją dobrze, znakomicie. Po dole teraz górą. Zakładają tam cukrownie, plantują buraki, przeprowadzają koleje. Orzą tam pługi parowe, a młóca lokomobile tysiące korcy.

— A wiem! wiem! — odparł Bywalski. — Czy rzeczywiście nowa kolej przerzyna Zyblówkę i Odrobinę.

— Rzeczywiście!

— A niechże ci powinszuję. W takim razie będziesz za kilka lat milionerem. A pamiętasz, jak to jeszcze niedawno temu twoja matka narzekała? Wy, Podolacy, zakasujecie wszystko, mając ziemię tak urodzajną i tak rozległe przestrzenie. Teraz przy kolejach, fabrykach, któż wytrzyma z wami konkurencję? Milioner!

— Dajże pan pokój! szał o tem. Już przeszłego roku zrobiliście mi reputację w świecie zamożnego, teraz gotowi jesteście mnie okrzyknąć milionerem, a tu jestem sobie poprostu szlachcicem na trzech wioskach, których nazwiska same nie zwiastują kluczy Wybranówka, Zyblówka i Odrobina halicka.

Bywalski, który tymczasem przebiegł oczami list pani Łęckiej, z miną serjo zawołał:

— Matka pisze, abym cię ożenił!

— *Je ne demande pas mieux* — odparł Łęcki.

Bywalski się zamyślił, po chwili dopiero zaczął:

— Świat warszawski znasz! Bezemnie więc się obejdiesz, chyba...



— No zawsze! Muszą być nowe domy?

— A są! świat tego roku podzielił się na kółka i jako twój mentor, winienem cię o tem i owem przestrzedz...

— No, proszę! *Mettez moi au courant.*

— Otóż, widzisz! jak zawsze w Warszawie, tak i tego roku są te nieszczęśliwe finanse, które są liczniejsze, niż kiedykolwiek i silny szturm do salonów przypuszczają.

— Doprawdy? Przybyło ich jeszcze?

— Ach! mnóstwo *bergów*, *standów* i *steinów* i Bóg wie jak. Młodzież, podbuntowana przez *le haute volée*, zawiązała tego roku szajkę antysemitów!

— Doskonale! — wykrzyknął Łęcki.

— Jak to doskonale? — przerwał Bywalski.

— Więc nie? źle?

— Naturalnie, kochany Witoldzie — odparł Bywalski, z pewną powagą i emfazą — pod żadnym pozorem nie mieszaj się do nich. Finanse składają się z ludzi doskonale wychowanych światowych i grzecznych. Wczoraj byłem na objedzie u Kohnów. Jest to nowa zupełnie gwiazda w świecie bankierów. Objad, mówię ci, *à se lécher les doigts*. A później, jeśli myślisz się ożenić, to nigdzie tak, jak w finansach, się nie ożenisz, milionowe partje!

— Dziękuję — przerwał Witold z naciskiem.

— No cóż znowu?...

— To partja dla hrabiów!

— No cóż znowu? — powtórzył gospodarz, który będąc postępowym i bardzo liberalnym, był z zasady jako Bywała — Bywalski wielkim arystokratą.

— No tak! dziś może jeszcze nie, ale za lat dziesięć? — dodał Łęcki.

— O! za lat dziesięć — przerwał Bywalski — to nie będzie w Polsce rodziny, któraby nie miała kuzynki na *stein* czy *berg*.

Obaj się zaśmiali.

— Ale cóż słyhać w świecie? — zapytał Witold.

— W świecie? Chcesz krótką definicję, to ci powtórzę nie moją, tylko Frania.

— Hrabiego Skowrońskiego?

— Tak! Podzielił on dzisiejszy świat warszawski na trzy klasy. Pierwszą jest tak zwana *le haute volée*, gdzie, jak twierdzi, umiera z nudy i głodu. Druga *le high life*, która otworzyła drzwi wielkim finansom i te przez to przestały dawać obiady. A trzecia, podłe finanse, gdzie on najwięcej bywa, gdzie się bawią, proszą, gdzie jedzą i piją.

— Więc w pierwszej kategorii nie ma finansów? — zapytał Witold.

— Nie ma jeszcze.

Witold się zaśmiał.

— Jakże pan sobie urządzasz życie w tym świecie, bo pozycja rzeczywiście jest trudną.

— Ja — odparł Bywalski — tak dzielę mój dzień. — Objad jem w finansach.

— W tych podłych? skoro tamte...

— No tak — przerwał niechętnie Bywalski — wieczór spędzam w *high life*.

— A w pierwszej klasie?

— Gdy nic nie ma w drugiej klasie, a jestem bardzo ciężki po wyśmienitym obiedzie w trzeciej, to szukam herbaty... idę na dygestję do pierwszej.

— Cóż tam robią?

— Co robią? nudzą się śmiertelnie i myślą już niejedni, jakby nieznacznie albo drzwi uchylić finansom, lub tak cichaczem wyjść do nich.

Obaj się śmiali serdecznie. — Bywalski założył monokel i wyglądał kontent ze swego sposobu przedstawienia tych rzeczy.

— Mogę ci zaproponować — ciągnął dalej — pojutrze świetny bal u Lewiczów.

— Cóż to? Nie znam!

— A nie znasz, bo to także nowy dom. Sam nie wiem właściwie, kto to. Różnie mówią. Ale oni wszędzie bywają i wszyscy u nich, choć Bóg wie, co na nich wygadują. Proteguje ich hrabina Korońska. Tego roku *ça suffit*.

— Hrabina Korońska? Może ma syna? — zapytał Witold z pewną ciekawością.

— Ma i jest on w twoim wieku.

— No, to mój kolega z Liège!

— Bardzo dobrze, *ça te posera*.

Witold się zaśmiał, ale Bywalski na niego nie zważał, tylko dalej mówił.

— Hrabina Korońska pojawiła się przeszłego roku podczas wyścigów. Dziś dzierży ona berło tego, co nazywają w świecie tonem. Jest to najelegantszy salon. Pojutrze także u niej raut. Mogę cię do niej wprowadzić, a po raucie pójdziemy na bal do Lewiczów.

— I owszem! — odparł Witold — ale jak widzę, to cały świat się zmienił. Nie poznaję się w Warszawie, w której przecież spędziłem cały przeszły karnawał.

— I nie poznasz się. To cecha może wszystkich wielkich miast, a od niejakiego już czasu

i Warszawy... Ale *à propos*, opowiem ci bardzo zabawną anegdotę.

— Słucham!

Bywalski poprawił sobie monokl, uśmiechnął się błogo i opowiadał.

— Księżna Druska, jak wiesz, dwa lata nie była w Warszawie. Teraz znów powróciła i w tych dniach pokazała się raz pierwszy w jednym z wczoraj powstałych salonów... Potacza oczami po salach i napróżno szuka znajomych. Obraca się do Szkatulskiego, który, jak wiesz, wszystkich zna i ze zdziwieniem go pyta: „*Comment il n-y-a personne?*“ — W odpowiedzi Szkatulski się zrywa, odbiega i powraca z jakimś nieznanym panem, którego księżnie przedstawia, mówiąc „chciałaś księżna poznać pana Piersohn“. Paradne! co?

— Doskonale! — zaśmiał się Łęcki, — a księżna zapewne nie była ciekawą Piersohna?

— Bynajmniej.

Jeszcze chwilę rozmawiali. Bywalski dopytywał się o panią Łęcką, którą znał doskonale i ułożywszy się z Witoldem co do rautu u hrabiny Koronńskiej a balu u Lewiczów, wypuścił go.

Łęcki miał jeszcze kilka wizyt do odania.

Z Chmielnej więc podążył na Krakowskie, gdzie spodziewał się kogo znajomego spotkać.

A szedł jakiś smutny czy zamyślony.

Inaczej, niż roku zeszłego, spoglądał na ten świat, w którym przyjechał szukać żony. Powoli jego umysł uczył się analizy. Rozkawałkował wszystko, co mu powiedział i co mu do zrozu-

mienia dał Bywalski. A te podłości światowe, które pozwalały bywać u kogoś i obgadywać go, oblizywać się po objedzie w finansach i maltretować je, sprowadzały mu jakiś niesmak do duszy, zamiast go bawić.

Witold był naturą wiejską, szeroką, był dzieckiem stepów, a nie śliskich salonów.

Biegł odurzony. Wszystko mu się inaczej, niż dawniej, przedstawiało i sam nie wiedział, czemu tę zmianę przypisać. Czy doświadczeniu roku więcej życia, czy może swym matrymonjalnym projektem? On przybywał z zamiarem ożenienia się, znalezienia w tym świecie towarzyszki życia. W tem może leżała różnica sposobu zapatrywania się jego na świat i jego próżności, na finanse, i Bywalskiego.

Tak dumał i nie zwracał uwagi na przechodniów, ruch i gwar ożywionej ulicy.

W tem oczy jego, prostym wypadkiem, spotkały się ze spojrzeniem paru ócz jak węgiel czarnych, które wszystkim jego myślom odrazu inny nadały obrót.

Prawie przystanął.

Zjawisko się przesunęło. Trzy postacie kobiece, z których jednej spojrzenie oszołomiło Łęckiego, szły dalej ulicą.

On też nawrócił i szedł za niemi.

Ta z nich, której oczy palące czuł jeszcze Witold, mogła liczyć lat ośmnaście. Wzrost jej był wysmukły, figura śliczna, toaleta elegancka. — Z pod męskiego jej kapelusika widocznymi były krucze jej warkoczki i różowe ucho. — W całej jej postawie, w każdym ruchu, w chodzie, roz-



wiany był potężny urok, nie wszystkim pięknym kobietom dany.

Obok niej kroczyła druga postać, wyglądająca na jej młodszą siostrę, panienkę jeszcze potrzebującą guwernantki... Tę też poznał Łęcki w trzeciej kobiecie, ubranej z angielska i zdradzającej nigdy nas nie mylącemi cechami, córkę Albionu.

Szedł dalej i dumał.

Nagle na rogu Alei i Nowego Świata jego nieznajome nawróciły tak nagle, iż Witold za ledwie miał czas usunąć się na bok.

Uczył to niezgrabnie, w pomięszaniu, z ruchem ręki do kapelusza, jakby się chciał ukłonić, choć ich nie znał.

A wejrzenia ich znów się spotkały. Poczzerwieniał Łęcki. Rumieniec oblał też świeże, jędrne oblicze nieznajomej.

Oczy jej jakąś chwilę spoczęły na twarzy Witolda i wryły się w jego wyobraźni.

Były to czarne przepyszne oczy, smętne a uśmiechnięte, w nich leżała cała piękność tej świeżej twarzyczki.

A oblewający ją rumieniec zdradzał, że poznała w nieznajomym wielbiciela.

Przyspieszyła też kroku, spuszczać na dół zażenowaną główkę i rzucając towarzyszkom słowa :

— Chodźmy prędzej!

Witold przystanął — iść dalej nie śmiał.

Nikt mu wprawdzie nie bronił używać tej samej, co nieznajoma, przechadzki.

Ale pewna subtelność uczuć, pewna ich wy-

kwintność wstrzymywała go dalej od tej niemej admiracji.

Łęcki przystanął. objął jeszcze raz całą śliczną tę postać, jakby usiłował ją dobrze i na długo zapamiętać i pobiegł w przeciwnym kierunku.

Bezmyślnie idąc. kombinował, przebiegał w myśli swych znajomych w Warszawie i tych, o których tylko wiedział i słyszał, chcąc wpaść na trop pięknej nieznajomej.

Ale nie trafiał. Wiedział tylko, bo to łatwym było do odgadnięcia z toalety nieznajomej, z angielskiej guwernantki i z różnych innych drobnych szczegółów, że należały one do najlepszego towarzystwa. do jednej z tych klas, których definicję hr. Frania dopiero co był mu powtórzył Bywański.

— Byleby nie w finansach! — mruczał i biegł.

Ale te czarne orientalne oczy, te krucze włosy go przerażały i zasmucały.

Wreszcie przyspieszył kroku i niecierpliwie machnął laską, jakby chciał sobie dopomódz w rozpędzeniu myśli.

— Cóż ona mnie może obchodzić! może jej już nigdy nie spotkam! — szeptał sam do siebie, szukał sposobności wykolejenia z obranych torów, swej wyokrąźni.

— Łęcki! — zawołał w tem za nim jakiś mu znany głos.

Obrócił się i poznał w tuż dochodzącym do niego młodzieńcu Karola Korońskiego, swego kolegę z Liège.

— Karol! — zawołał radośnie.

— Jak się masz! — odpart, podając mu rękę Koroński — jak się masz!

Obaj serdecznie się witali.

Karol był ślicznym mężczyzną. Wysoki, uderzająco sympatycznych dystynkcją rysów, zachwycał elegancją ruchów i jakby nie wrodzoną, lecz wyrobioną arystokratycznością typu.

Jego jasne, mieniące się szafirowe oczy, odbijały przy białej, kobiecej prawie twarzy i czarnym małym wąsiku.

A w tych oczach było coś wesołego i sprytnego, niebezpiecznego i enigmatycznego.

— Słyszałem — mówił Koroński — że ci się doskonale powodzi, że koleje, cukrownie robią z ciebie powoli...

— Miljonera! — dokończył Witold — wlicz w to między bajki, a opowiadaj mi o sobie. Coś zrobił dobrego od lat trzech, czy więcej, jakieśmy się ostatni raz widzieli?

— Opowiadać! ha! jeliś ciekawy, to i owszem, ale nie tutaj, gdzie idziesz?

— Nigdzie!

— No to chodźmy na czekoladę do Loursa i tam pogadamy, tymczasem mów, po co i czy na długo przyjechałeś?

— Przyjechałem na karnawał, a ty, jak się dowiedziałem, jesteś tu z matką, która otworzyła salony?

— Tak... bawimy się doskonale... nigdy nie sądziłem, abym mógł się tak bawić w Warszawie.

— Dlaczego?

— No wiesz! ja, com widział wszystkie

stolice, co mnie Paryż zaczynał nudzić i Florencja i Wiedeń!

Witold spojrział na Karola ukradkiem. Szli dalej, przyspieszając kroku.

Dalsza rozmowa toczyła się urywkami, składała z ulotnych pytań i odpowiedzi, które często wywoływały uśmiech ciekawości, czy wesołości na usta obu młodzieńców.

Wreszcie doszli do cukierni Loursa.

Koroński wyszukał stolik, stojący nieco na ustroniu.

Obaj przyjaciele zasiedli i podano im zażądaną czekoladę, a Koroński tak zaczął, z pewną, nieznaną dotąd Witoldowi u niego pozą.

— Najprzód odpowiedz mi na pytanie, czy chcesz być z nami dobrze?

— Ale i owszem!

— A więc, należysz do partji, na której czele w świecie stoi salon mojej matki, na której czele między młodzieżą stoję ja.

— Nie rozumiem!

— Jakto? jeszcze nie wiesz? — mówił dalej Koroński — bronimy się przeciw żydom. My, noszący historyczne nazwiska, reprezentujący prawdziwą arystokrację polską, utworzyliśmy partję antisemicką

— A do diabła! — przerwał Witold — powarjowaliście z tymi antisemitami! Bywalski! ty!

— Być może — przerwał Koroński, lekko podrażniony — ale tak rzeczy stoją. Towarzystwo *enfin* dobre podzieliło się na tych, co bywają w finansach i tych, co nie bywają. Do tych należę i ja i każdy, *qui se respecte*.

— Przepraszam cię. I ja bardzo się sza-

nuję i do finansów specjalnego popędu nie mam, jednakże demonstrować nie chcę.

— A tu o to właśnie chodzi. Nie wolno ci bywać w tych salonach, nie wolno ci się im prezentować, nie wolno ci tańczyć z temi pannami..

— Przepraszam! — przerwał nieco wzburzony Witold — dobre wychowanie, a jeśli nie to, to pewna wrodzona szlachetność...

— Ale...

— Zadne ale... w takim wypadku mógłbym tylko nie bywać w domach, w których bym mógł finanse spotykać.

— To prawie byś nigdzie nie bywał.

— A więc chcesz...?

— Nie nie chcę.

— Owszem! chcesz, abym działał przeciw moim przekonaniom?

— Semickim?

— Nie, tylko szlachetnym! Zamknijcie drzwi waszych salonów finansom, a szukać ich nie będą. Ale wpuszczać ich na to, aby im pokazywać swoje fomy, aby ich maltretować, to śmieszne i nieuczciwe!

— Wiesz — przerwał Koroński ze złośliwym uśmiechem — przychodzi mi na myśl, że może do diabła masz na myśli jakie małżeństwo w tym świecie!

Łęcki pocerwieniiał.

— Dotąd w modzie to tylko jest w arystokracji, a ja szlachcic...

— Zrobiłeś się impertynentem!

— Mój kochany Karolu — odparł Witold — bardzo cię kocham, lecz do twego stowarzyszenia należeć nie będę. Zresztą finanse kpią sobie



ze mnie. Skaptuj dla twego towarzystwa hrabiego Frania, który się u żydów objada, a potem ich wydrwiwa, skaptuj Bywalskiego, który u nich w sekrecie dostaje indygestji, a na dygestję idzie do salonu twej matki, a oddasz prawdziwą przysługę wielkiemu światu, bo zdobędziesz mu przynajmniej szacunek finansów, którego teraz nie ma.

Koroński w odpowiedzi zamilkł i wyglądał zły i podrażniony.

Witold zmieniając ton i wyciągając rękę do Karola, zagadnął:

— Mimo to będziemy dobrymi przyjaciółmi i bądź przekonany, że mimo tego, com ci powiedział, nie będę szukał objadu u Kinsteinów, ani kotyljona z panną Kohn czy inną. Wierzaj mi! A teraz przejdźmy do innego przedmiotu. Opowiedz mi o sobie, bardzo cię proszę.

Korońskiego fizjognomja łagodniała, po minucie namysłu, odparł:

— O sobie? mój drogi! jesteśmy, to jest byliśmy zanadto dobrze, abym chciał ci ukrywać przyczynę naszego zjazdu do Polski. Tobie jednemu mogę się zwierzyć, bo cię znam. Pragnę się ożenić! Majątki nasze są nieco nadwreżone przez to życie, jakie od lat prowadzimy. Tak jeszcze nie jestem zbankrutowany, aby się żenić z córką jakiego krupiera, jak Tonio, ani też tak wielkim panem, aby szukać księżniczki zdetronizowanej, zwykle brzydkiej i nie bogatej. Majątku potrzebuję, bo sam mam, choć zadłużoną, ale pańską fortunę. Z wielkiego nazwiska, z wielkich stosunków, takżebym nie rezygnował, bo wiesz, w jakim świecie byłem wychowany, bo nazwisko noszę jedno z najpiękniejszych w kraju...

Koroński skończył czy urwał, a Witold potakiwał miną, w której czytałeś tylko szczerłość i życzliwość. Wreszcie zagadnął:

O ile znam wasz świat, to natrafisz na pewne trudności, sądzę...

— O mylisz się! — przerwał Karol z uśmiechem zarozumiałym — pojutrze raut *avant soirée* u mej matki... przyjdiesz naturalnie i zobaczysz, jaką mamy pozycję. Świat warszawski, mówię ci, moja matka ma cały w kieszeni. Ona dziś jest wyrocznią, ona reprezentuje *la fine fleur* znaczenia rodu, stosunków i szyku. Dziś sądzę, nie ma w Polsce panny, któraby nie była szczęśliwą z mego wyboru. Tylko ja się namyślam... bo te polskie posagi, mój drogi, wściekle są małe i eteryczne. Ja nie zdradzam się dotąd, że tego roku pragnę zrobić ten *coup d'état*, ale między nami mówiąc, ostatnie wypadki zachwiały naszą fortunę.

— Mówiono — przerwał cicho Łęcki — żeś się starał w Paryżu o siostrę księżnej Emerykowej.

— Mówiono prawdę! — odparł jeszcze ciszzej Koroński, leko się rumieniąc -- była chwila, w której dla milionów chciałem poświęcić urodzenie.

— I?...

— Wystaw sobie głupiemu bankierowi zachciało się i dla drugiej córki polskiej mitry. a ja tylko hrabią. — Nie żałuję! wolę milion mniej, a przyzwoity herb podwójny na drzwi czkach mej karety.

Witold coraz głębiej się zamyślał, aż wreszcie z pewną obawą w oczach zapytał przyjaciela.

— Więc serce u ciebie?..

— *Allons donc* — przerwał Koroński — minęły te czasy. Koroński nie może słuchać podszeptów serca, choćby je miał. — Serce to największy marnotrawca, który zagraża ruiną zwykle wielkim nazwiskom i rodom. Ty szczęśliwy! możesz się ożenić według twego gustu i serca. Ja! rozumiesz to, mam pewne święte obowiązki.

— Być bogatym!

— Niestety!

Witold spojrzał na przyjaciela, ale tak, jakby go dopiero poznawał, a nie znał od lat.

Koroński wstał i spojrzał na zegarek.

— Pierwsza — zawołał — mam tysiące wizyt, o pierwszej obiecałem być u księżnej Druskiej. Do widzenia ci. — Będziesz u mnie. Rano zawsze jestem w domu. Co tylko Warszawa ma *de brillant*, poznasz u mej matki pojutrze. U mnie co rana zobaczysz całą młodzież. Do widzenia! mój drogi! Konie moje, wszystko na twoje usługi! Do widzenia!

Uścisnęli sobie ręce, Koroński wybiegł, a Witold dziwnie oszołomiony zbierał myśli swe bezładne.

Te rozmowy z Bywalskim i Korońskim prawie go przestraszyły. Bał się wpaść w jakąś pułapkę z tymi obozami, w tem nowem rozdwojeniu towarzystwa. Nie chciał bynajmniej narażać sobie tych, ani owych.

Wyszedł z cukierni i nie wiedział, gdzie skierować swe kroki.

Czuł potrzebę mądrej i zyczliwej rady, zdrowego na rzeczy poglądu. Zdania Bywalskiego, światowca i wyjadacza, ani Korońskiego, panicza

i utracjusza, nie mogły wpływać na Witolda. Obalałmućy tylko jego zdrowe pojęcia, jego szczerą, otwartą i szlachetną naturę.

Stał na chodniku i myślał.

Wtem przypomniał sobie hrabiego Ostoję, człowieka już starszego, którego rozumne i filozoficzne poglądy zachwycaly go w swoim czasie.

— Gdybym do niego poszedł — pomyślał — wnuk zawsze tak mnie lubiał, znał mego ojca, należy mu się to nawet.

Hrabia Ostoja wycofał się od lat ze świata, ale to nie przeszkadzało, że o wszystkim wiedział i wszystkich znał. A dziwnie zdrowy i bezstronny miał sposób zapatrywania się na rzeczy tego świata.

Łęcki nie długo się wahał, pospieszył i wnet stanął przed pałacem Ostojów.

— Pan hrabia przyjmuje? — zapytał i podał swój bilet służącemu.

— Pan hrabia prosi — odparł tenże, wkrótce powróciwszy i przeprowadził Łęckiego przez szereg pokoi, urządzonych z staroświeckim komfortem.

— Jak się masz! — zawołał hrabia, nieco podnosząc się na fotelu.

Hrabia liczył lat przeszło sześćdziesiąt. Był to typ wielkiego pana starej daty. Jakaś wspańiałość cechowała tak dobrze jego figurę jak i twarz .. Ta ostatnia szeroka, o wyniosłym czole, otwarta, z dużym orlim nosem, przypominała typy z szesnastego wieku obrazów Matejki. Najzupelniejsza swoboda widniała z każdego jego ruchu, z tonu jego słów płynących powoli i bez żadnej emfazy.

Witold usiadł naprzeciw niego i zapalił cygaro, do którego ogień podawał mu sam gospodarz.

Romawiali o niczem i o wszystkim.

Wreszcie zagadnął Łęcki.

— Zgniewaj się hrabia na mnie, lecz się przyznam szczerze, że dziś jeszcze nie byłbym mu złożył mego uszanowania, gdyby nie potrzeba, jaką czuję, usłyszenia o tem i o owem jego zdania.

Ostoja poprawił się na krześle i uśmiechnął.

— Do starego inwalidy przychodzą tylko po rady.

— Które zawsze są jedyne dobre — dodał Witold — skoro młody bizun, jak ja, na pierwszych krokach czuję ich potrzebę. — Otóż widziałem dziś Bywalskiego...

— A! ten pieczeniarsz! pocziwy człowiek — lubię go — to przyjaciel prawdziwy twego domu, czy tak?

— Tak... — odparł Łęcki i ciągnął dalej — widziałem też i młodego Korońskiego... Obaj nagadali mi dużo niestworzonych rzeczy o stosunku dzisiejszym towarzystwa do finansów.

Hrabia zrobił minę zdziwioną.

Towarzystwo — ciągnął dalej Łęcki — podobno się podzieliło na obozy... młodzież także...

— A, wiem już, o czem chcesz mówić — przerwał hrabia, puszczając kłęb dymu i jakby się zabierając do dłuższej rozmowy — wiem!

Uśmiechnął się ironicznie i dalej mówił

— Hrabina Korońska stanęła tego roku na straży nieskazitelności salonów i... rodów. Ge-



niałna to kobieta, która zawsze, wszystko co chciała, przeprowadzała .. tej zimy więc, zapewne, zapanuje w świecie silny prąd antisemicki... Czy to długo potrwa, zobaczymy. Właściwie wszelkie uprzedzenia w prawdziwym świecie miejsca mieć nie powinny i nigdy ich nie mają. Myśmy przekręcili znaczenie wyrazu „*le monde*,” bo go w właściwym znaczeniu nie znamy. Świat to jest towarzystwo, złożone z wybitnych członków całego społeczeństwa. Do tego towarzystwa, do tego wielkim nazwanego świata wstęp dają urodzenie, piękność, talent, genjusz i majątek. Myśmy światem nazwali szczelnie zamknięte kółko, zasklepione w swych głupich nieraz przesadach, schorzałe od dawna. Do tego światka, do tego kółka ludzi, pogrążonych w własnej admiracji, pchają się przebojem finanse. Czy to do uwierzenia ?

Hrabia się zapalał i nie czekał już na odpowiedź Witolda, tylko dalej mówił:

— Cóż spotkasz w tym tak zwanym świecie polskim? Nic i nikogo, bo unikają go ludzie talentu i zasługi, a nudzą się w nim ludzie serjo. Do niego pchają się tylko finanse. Te finanse, zamiast myśleć o ustanowieniu silnego, odrębnego, żywotnego towarzystwa, myślą tylko o wciśnięciu się przebojem do kółka, które nawet ich rzeczywistych, bo mają je, cnót nie jest zdolne ocenić, tylko ich śmieszności wydrwić potrafi. Cóż oni w tym świecie znajdują? smakoszy, którzy zjedzą ich objady i hrabiów, którzy podminują ich krwawo zapracowane miljony. Mimo to est ciągły tłok ludzi o semickich rysach i rozumnych często .warzy wyrazach u drzwi, nad

któremi błyszczy korona czy mitra. To raj żydów! Byłem zawsze bardzo przeciwnym otwarciu na oścież naszych podwoi tym ludziom, którzy machają kozły akrobatyczne, aby dojść do miliona, którzy doszedłszy, uniżają się i podła, aby zjeść z nami śniadanie. *Le jeu ne vaut pas la chandelle*. Doświadczenie dostatecznie pokazało.

Witold się uśmiechnął, a hrabia pociągnął kilka razy cygaro i dalej mówił:

Sam bronilem przez całe moje życie ogniska mego, aby portret hetmana nie skrzywił się na widok w tej komnacie człowieka, który krętą drogą doszedł do milionów, zrównywujących się z zasługą czy szesnastoma pokoleniami zacnej i szlacheckiej krwi. Dziś...

Hrabia przerwał i gorzko się uśmiechnął, aby dalej mówić.

— Dziś... gdy nie jestem pewnym, czy jaki kuzyn mego domu nie zmusi mnie do otwarcia tej komnaty finansom, jako krewnym, pragnę w tem wszystkiem odegrać przynajmniej szlachecką i rozumną rolę. Nie rozumiem więc hasła, które z powodzeniem puściła w obieg pani Korowska, boję się...

Tu hrabia dziwnie sprytnie się uśmiechnął i dodał:

— Boję się, aby jutro nie otworzyła swego salonu finansom, wprowadzonym przez synowę.

Witold głęboko się zamyślił, a hrabia kończył:

— Raz, gdy to się stało, dzieje i dzieć się — niestety! finanse muszą uważać nasz salon za swój, bo swojego nigdy już nie utworzą, a my śmieszni będziemy w pogardzie dla ludzi, których milionami się zasilamy.

Hrabia skończył, a Witold pomówiwszy z nim jeszcze o innych światowych drobnostkach, zabierał się do wyjścia.

Przy pożegnaniu Ostoja poprosił Łęckiego, aby go jak najczęściej odwiedzał.

— Cygaro i radę człowieka, który nigdy nie używał okularów, zawsze u mnie znajdziesz— dodał. podając mu swą szeroką dłoń.

## II.

W hotelu Brulowskim w dużym pokoju na pierwszym piętrze, ubierał się Łęcki na raut do pani Korońskiej.

Miał przyjść po niego Bywalski, tak się bowiem ułożyli.

Witold wyglądał zmęczony i rozmarzony. Twarzyczka pięknej nieznajomej, którą już dnia tego trzeci raz o tej samej godzinie na Krakowskim spotkał, coraz głębiej wrywała się w jego wyobraźni, opanowując wszystkie jego zmysły.

Ruch światowy zaczynał go nudzić i gdyby nie nadzieja, że może na raucie lub na balu spotka te czarne oczy, kto wie, czyby się nie rzucił na kanapę i nie wołał ten czas przemaznać, przedumać!

Ubierał się też dziwnie powoli i apatycznie.

W tem zapukano do drzwi.

— Proszę! — zawołał Łęcki.

Wszedł wysoki mężczyzna, w którym zaraz Witold poznał przyjaciela swego, bo z największą radością rzucił się ku niemu, wołając:

— Pan Jański! pan Jan!

Obaj się ściskali, jak dawni i serdeczni znajomi.

Jański nie był młodym człowiekiem. Minał już dobrze czterdziestkę, ale wyglądał tego i wesoło. Duże blond faworyty nadawały jego fizjonomji wiele angielskiego typu, który ruchami i sposobem mówienia jeszcze uwybitniał.

— Jak się masz! jakże się cieszę, że cię widzę, nie nie wiedziałem, że bawisz w Warszawie — mówił Jański zdejmując paletto i siadając na kanapie. Ja przyjechałem na dłużej, mam interesa w bankach i zresztą chciałem się odświeżyć. Stoję w tymże hotelu i teraz dopiero przypadkiem dowiedziałem się, że i ty tutaj jesteś. Ale *à propos* czy wiesz, że akcje waszej cukrowni podskoczyły o dwadzieścia od sta, a pewnie także nie wiesz, że dzięki moim staraniom, będziecie mieli dworzec kolejowy w samej Zybłówce. . . dobre wiadomości ci przynoszę!

Łęcki rzucił się na Jańskiego, aby go serdecznie uściskać z wyrazem prawdziwej wdzięczności.

— Bardzo mi miło, sam się prawdziwie ucieszyłem, gdy mi się udało wyrobić to dla was, dla twojej matki, którą tak wielbię... doniosłem już jej o tem..

Wtem Jański między biletami, leżącymi na stole, uchwycił jeden, który go zainteresował, bo wyjął binokle z kieszeni, nasadził na duży swój nos i z największą uwagą go oglądał.

— Cztery słowa! cztery kłamstwa! — zamruczał.

Łęcki także przez jego ramię rzucił wzrok na tę kartkę. Był to właśnie bilet hrabiny Koron-

skiej z koronami i mitrami, tej treści: „*Comtesse Koronńska née Princesse Filawska*“ — U dołu stało dopisane pięknym kobiecym charakterem „prosi pana na herbatę jutro w sobotę“.

— Warszawa dziwnie się zmienia — ciągnął Jański, który mówić i opowiadać lubiał — przerabia się gwałtownie w wielkie miasto i przybiera wszystkie cechy świata tak kosmopolitycznego, jak paryski.. ten bilet u nas! w Warszawie!..

Jański się zaśmiał i kartkę papieru odrzucił.

— Znasz pan tę hrabinę? — zapytał wysoce zaciekawiony Witold.

— I jak!

— Cóż znaczy więc ten wykrzyknik pana?

— To bardzo długa historia — odpowiedział Jański — którą ci kiedyś opowiem, choćby przez wzgląd, żeś młody i niedoświadczony.

Ten bilet, widzisz, rzuca prawdziwe światło na dzisiejszy salon warszawski, na ten wielki świat, którego jutro już nie będzie. Ten bilet jest tylko zwiastunem jego upadku..

Łęcki jeszcze więcej zaciekawiony, nalegał na Jańskiego, aby zaraz opowiedział historję pani Koronńskiej.

— To pierwszy salon dziś w Warszawie — mówił — opowiedz pan, proszę, zaraz. Jeszcze mamy półtory do dwu godzin czasu, panie Janie, *ne vous faites pas prier!* ja przez ten czas się będę ubierał.

— Gdy pomyślę — mówił Jański — jak



się dziś prędko ucierają tytuły i nazwiska, jak prędko zapominamy ludziom przeszłości. jak skorzy jesteśmy do brania *à la lettre* biletów, w głowie mi się prawie mąci. To nasze dawne, piękne towarzystwo, w którym starzy znali na pamięć genealogje wszystkich jego członków, w którym karty wizytowe prawdę tylko mówiły, znika. Znika niepowrotnie!

— No opowiadaj pan — przerwał Witold — bo umrę z ciekawości.

— Za lat trzydzieści — może prędzej — mówił dalej Jański — nie będzie nikogo, kto by mógł autentyczności takiego biletu zaprzeczyć, skoro już dziś te dwa tytuły, te dwa nazwiska tak się utarły, że mojej pani Korońskiej pozwoliły uchwycić berło w warszawskim towarzystwie.

— No, mów pan, na Boga!

— Wiesz, jak rozgałęzioną jest rodzina Piławskich, mająca hrabiowskie i szlacheckie linje.

— Jest ich z kilkanaście!

— Mieszkałem temu lat trzydzieści w moich dobrach, które wziętem za żoną na Wołyniu. W sąsiedztwie mojem miałem niejakiego pana Pilawskiego, niezwykłego sknerę, który, jak mówiono, dorobił się na zarządach pańskimi fortunami, fortunki.

— Zwykła droga!

— Bo widzisz, dawniej, gdy modnem było stracić majątek, te zarządy były bardzo intratne. Tracono w Paryżu, między bulwarami a „Chau-miera“. — Ten pan Pilawski właśnie w czasach tej paryżomanji wykwitował ojca mojej żony



z pięknego folwarku. Syn zaś jego był już właścicielem w mojem sąsiedztwie i ożenił się z posażną i garbatą panną Druską. Zrobił więc już aljans. skolligował się z dobrą szlachtą. Z tego małżeństwa istniały dwie córeczki, urocze dziewczynki, które nieraz widywałem w kościele.

— Jedna z nich?

— Czeka! — Szlachcic zaczynał już wtedy szumieć. Te dobra moje sprzedałem i wystawiałem sobie, że on swoje musiał stracić. Dwadzieścia lat nic o Pilawskim nie słyszałem, aż raz w Paryżu dowiaduję się, że furorę w świecie robią dwie przesliczne księżniczki Pilawskie, przebywająca w stolicy z bardzo rozumną matką. Wyobraź sobie moje zdziwienie. Ja, co całą Polskę znałem, nic nie wiedziałem o istnieniu książęcej linii Pilawskich. Widziałem je w Hotel Lambert, u Branickich, wszędzie! Zachwycaly mnie córki pięknnością, rozumem, dystyncją, matka tonem matrony i damy. Powróciwszy do Polski, po długich poszukiwaniach dopiero udało mi się dowiedzieć historii księżnej Pilawskiej. Mój sąsiad Pilawski umarł, a po śmierci jego wypłynęła na widownię wdowa po nim, Druska, ale nie na Wołyniu, tylko w Królestwie z mitrą nad herbem, z pięknymi, jak księżniczki córkami i książęcą fortuną. W salonach europejskich legitymowały się te panie, a ta legitymacja bardzo prędko idzie, gdy je popierają piękność, rozum i majątek.

— I jedna z nich jest dzisiejszą panią Korońską? — przerwał Łęcki.

— Tak, ale to masz dopiero dwa słowa

i dwa kłamstwa, a skoro ci już opowiedziałem to, to ci i opowiem historję drugiej części tego interesującego biletu. Mamy czas jeszcze.

— O! i wiele! — dodał Witold, który nie chciał stracić sposobności poznania tajemnic swego świata, znanych może już jednemu Jańskiemu.

Pan Jan zapaliwszy papierosa, dalej mówił

— Zapewne słyszałeś w czasach twojej młodości... ba! dzieciństwa, o słynnej z piękności pani Chorońskiej. Ta dama, u której nóg kłęczeli i monarchowie, mieszkała w Petersburgu, a męża jej nikt nigdy nie znał ani nie widział, był to myt ten pan Choroński! — Miała syna, junkra w cesarskiej armji, a na imię mu było Jarosław. Temu Jarosławowi Chorońskiemu przyszła raz fantazja podpisania się hrabią Korońskim, a równocześnie przyszła też i heroldji królestwa Polskiego fantazja ogłoszenia, iż tytuł hrabiowski przyznany został Jarosławowi Korońskiemu, potomkowi tyłu hetmanów i wojewodów.

— To bajeczne prawie! — wykrzyknął Łęcki.

— Bajeczne! mój kochany! — mówił dalej Jański — a jeszcze bajeczniejszym to się wydawało memu przyjacielowi, ś. p. Romanowi Korońskiemu, który zamierzał wymazać z herbarzy, z dniem swej śmierci nazwisko Korońskich. Ten to Jarosław hr. Koroński, bogaty, piękny eksjunker, ożenił się w Paryżu z Elizą księżniczką Piławską, a swatała cesarzowa Eugenia.

— Gdybym tego z ust pana nie słyszał, nigdy bym nie dał wiary! — wykrzyknął Witold.

— Słuchaj jeszcze — mówił Jański — piękna hrabina rychło owdowiała i odtąd często ją spotykałem za granicą, w najpierwszych towarzystwach, otoczona wszechwładną aureolą. Ostatni raz widziałem ją w Tuilleriach, przepyszną w swych brylantach, które robiły wrażenie, jakby od Ruryka nie wyszły ze skarbców Koronńskich i Pilawskich. Napoleon III. i Morny na przemian jej nadskakiwali. Z ulatającą pięknoscią, powoli znikwała z horyzontu wielkiego i największego europejskiego świata a dziś...

— Dziś ją poznam — przerwał Witold — i przyznam się panu prawdę iż o ile niechętnie zbierałem się na ten wieczór, teraz z radością pójdę. Taka kobieta!

— To geniusz! i nie wątpisz teraz, że ten nasz prawdziwy polski salon lada dzień zniknie. Ja przyznam ci się szczerze, w świecie warszawskim dziś już zupełnie jestem wykolejony i doznaję dziwnego wrażenia niesmaku. Te przeszłe, o ostrych rysach, nasze typy obok rozlanych i podejrzanych fizjognomij. A między nie mi te semickie nosy, te cheiwe żółte oczy!

Nieraz dziką mam ochotę schowania obu mych rąk do kieszeni i kłaniania się tylko z angielska! Wybiegam z salonu, a na schodach dowiaduję się jeszcze często, tak, jak ty teraz, że i ja, stary wyjadacz! niejednego brałem na serjo. Czy myślisz?...

Tu Jański znowu uchwycił bilet hrabiny i pokazując go Witoldowi, mówił:

— Czy myślisz, że w dzisiejszym wyborowem towarzystwie warszawskim, ten jeden tylko bilet opiewa same kłamstwa?

Łęcki otwierał usta, aby odpowiedzieć, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Bywalski wyswieżony i odmłodzony.

Uradował się ogromnie, widząc Jańskiego.

Po przywitaniu zapytał :

— O czem tak ożywioną prowadziliście rozmowę?

— Zdiera mi pan Jan wszelkie iluzje! — zawołał Witold.

— Jakie?

— Iluzje światowe! Twierdzi naprzykład pan Jan — mówił Łęcki — że w świecie pańskim *par excellence*...

— No co, co? już domyślam się jakiejś ostrej krytyki, oho! Jański! ho! no gadaj Witoldzie! co ci tam opowiedział?

— Historję pani Korońskiej!

Bywalski się uśmiechnął i odparł.

— Różnie o tem mówią.

Jański się podniósł na knnapie i zawołał.

— Chwała Bogu! przynajmniej dobrze, że mówicie, bo znając waszą Warszawę, myślałem, że już nie mówią...

— Ale czyż można wierzyć — przerwał Bywalski — wszystkiemu, co mówią?

— Zapewne — mruknął Jański, widocznie nie mający ochoty rozwijać przed Bywalskim swych poglądów.

Ale Witold nie dał za wygrane, chciał skorzystać z werwy Jańskiego i przypadkowego spotkania jego z Bywalskim.

— Ale przejdźmy kochany panie Janie — zawołał — karty wizytowe warszawskie, które nie głoszą prawdy. To dość zabawne!

Bywalski się zamyslił.

— Oh! Boże! — zawołał — to wszędzie to samo! to są próżności światowe, takich biletów bez liku. Hrabia Aleksander, jak wiemy, nie jest hrabią, pan Lewicz, mówią, nie jest szlachcicem. Boże! a Pyszalski nie jest Pyszalskim, cóż chcecie więcej? To są tajemnice, o których my starzy wiemy — dodał Bywalski, wskazując na siebie i Jańskiego z pewnym uśmiechem zadowolenia.

— Jeśli tak dalej pójdzie — wtrącił pan Jan — to nie będziemy wkrótce wiedzieć, z kim właściwie mamy honor mówić.

— Zapewne! Odkąd Ostoja ustąpił ze swego stanowiska straży nad prawdziwością nazwisk i i stanowisk...

— Jakto? Ostoja? — zawołał Jański.

— Ostoja — mówił Bywalski — zamknął się w swym pałacu przed żydami... spalił wszystkie herbarze... nakazał milczenie swej pamięci...

— Odkąd?

— Odkąd? — odpowiadał Bywalski uradowany. że tak był zajmującym dla Jańskiego — od czasu, jak spostrzegł, że arystokracja nasza na serjo się bierze do wzmacniania się i odrodzenia w finansach.

Wszyscy trzej się zaśmiali. Bywalski bywał czasem dowcipnym, a zdania swoje wygłaszał z powagą, dodającą im soli atyckiej.

— To krzyżowanie jest straszne! — przerwał Jański.

— Dlaczego straszne?

— Pan jesteś filosemitą! — zawołał Witold.

— Nie! — odparł Bywalski — tylko znaj-



duje. że z każdego złego trzeba wyciągnąć stronę dobrą. Otóż lepiej przecież, że kapitały nasze choćby tą drogą wracają do nas. To czysto ekonomiczna zasada!

— Niech was djabli wezmą z taką zasadą! — zawołał Jański, wstając i zabierając się do wyjścia.

Wstał i Bywalski, a spoglądając na zegarek oznajmił, że już ostateczna chwila nadeszła udaria się na raut hrabiny.

Jański pozostał, gdyż w tymże hotelu mieszkał, a Bywalski z Witoldem pospieszyli na wieczór.

W drodze tak jeszcze przemówił do Łęckiego:

— Nienawidzę tego antisemickiego uprzedzenia, bawią się dziś kosztem żydów, a przyjmują ich, żenią się z nimi itd. itd. Zresztą to są ludzie prócz wielkich zalet towarzyskich, pewnej dużej zasługi. Oni dużo robią dla społeczeństwa i kraju. Oni umieją robić miliony, a my, my tylko tracimy! To jest przyszłość, a my przeszłość.

— A dajże pan pokój! — przerwał Witold.

— Darmo! kochany Witoldzie! tak jest, pieniądze, to potęga wszechwładna dziewiętnastego wieku, a oni go mają. Oburza mnie ten dzisiejszy prąd... no, mówię ci w sekrecie, muszę być wać w finansach... to modne.

Witold się uśmiechnął, a Bywalski dalej prawił.

— Śmieszni są oni, to prawda, razić nas muszą, ale to się wyrobi. A gdybyś poznał panią Kohnową, cóż za kobieta, co za rozum, co za

dystynkeja! poszukać takich w *high life*. Jakież tam są wysokie cnoty domowe!

Witold milczał i cichaczem spoglądał na Bywalskiego, który dalej ciągnął:

— O Kohnie słyszałem dziś pyszną anegdotę.

— Któż to jest ten Kohn?

— To zupełnie nowa gwiazda, teraz wychodzi na wierzch... robi krocie... córki dorastają. Tęgo roku otworzyli salony, co za salony!

— I ten Kohn śmieszny, jak i inni?

— Gdzie tam! bardzo wykształcony człowiek, ale i on ma swoje słabe strony... Otóż opowiadano mi dzisiaj, iż tak się odezwał do swoich interesentów, którzy się zeszli na sesję: „Ny, proszę... mówcie panowie do mnie, jak do zwikłego człowieka.“

Łęcki się zaśmiał, a wchodzili w bramę domu, zajmowanego przez hrabinę Korońską.

Na schodach inne już tu wiało powietrze, jakieś uperfumowane dystyngowanymi zapachami, poważne a wesołe, gwarne a ciche.

Chyba ten Jański komponował — pomyślał Witold, odurzony tą atmosferą arystokratyczną, wiejącą zbytkiem, gustem i czemś nieokreślonym, a czuć się dającym w wielkich domach, w których od wieków nie się nie zmienia i niczem nie profanuje.

W przedpokoju, oświetlonym słabo, bo kilkadziesiąt świec nie mogło zwalczyć ciemności rzeźbionych gdańskich mebli, uwijało się kilku kozaków

Z dalszych pokoi dochodził gwar, ale ten gwar elegancki, złożony z cichych rozmów stu

doskonale wychowanych i trzymających się jeszcze nadto na baczności ludzi.

Witolda mimowolnie ogarnęło jakieś uczucie przejścia się poszanowaniem dla tego wyborowego towarzystwa, w które wchodził.

— Jański kłamał chyba, — myślał w duszy, podnosząc w górę oczy, które spoczęły na portrecie *en pied* hetmana Pilawskiego.

Bywalski milezący i również przejęty, wchodził do napełnionego tłumem salonu.

U drzwi stała sama hrabina Korońska, przepyszna, w czarnej aksamitnej sukni, przykrytej złotą koronką. A w uszach miała brylanty jak orzechy, na szyi perły, jakich Łęcki nigdy nie widział.

Była to jeszcze piękna kobieta, wyglądająca raczej na siostrę, niż matkę Karola.

Przywitała Witolda, jakby dobrego znajomego.

— Dużo o panu słyszałam od mego syna — rzekła do Łęckiego po francusku z czarującym uśmiechem, przy naturalnem podaniu ręki. — Karol jest gdzieś...

Rozejrzała się po salonie.

Tymczasem nowi przybywający witali hrabinę

Łęcki zauważył, iż nie dla wszystkich miała hrabina ten uśmiech uprzejmy.

Stała, nie każdemu podawała rękę, tylko głową z gracją kiwając jak królowa, odbywała tę ceremonję z mistrzostwem.

Witold znalazł się na środku salonu. Rozglądał się jak w teatrze, czy muzeum. Mało kogo znał, bo tu wystąpiła cała *haute volée*, nie każdemu się udzielająca. Brylanty mil-

jardami tonów uśmiechały się do światła, płynącego z weneckich kinkietów. Szafiry walczyły z smaragdami wśród kaskad pereł. Ten raut robił wrażenie wystawy heraldycznych kosztowności, tylko dla takiej gwiazdy, jak hrabina Korońska, przedsięwziętej

Ostoja zbliżył się do Łęckiego.

— Jak się masz!

— I hrabia zdecydował się...

— Jakże? — odparł Ostoja — to apel... rozglądaj się... ~~też~~ nigdzie nie zobaczysz... zdaje mi się, że powróciły nasze dobre dawne czasy. To już nie dzisiejszy warszawski salon... patrz tam pod portretem Stanisława Augusta ta pani... w tych perłach, to pani Adamowa, a te perły, to te, o których Walewski powiedział Napoleonowi III. „*elles ont coutes le premier partage de la Pologne*“.

Ostoja wsunął swą rękę pod ramię Łęckiego i obaj krokiem wolnym ruszyli dalej. — Witold był uszczęśliwiony, nie mógł mieć lepszego patrona.

Hrabia dalej mówił.

— To przyjemnie, widzieć tak razem... w harmonijnej całości, co mamy w kraju najznakomitszego i najpiękniejszego... a to się tak rzadko już trafia... Ale patrz brylanty ordynatowej, których nie widziałem od ślubu księcia Władysława, a ona, jak piękna!

Łęcki oszołomiony rozglądał się tylko, a hrabia, to się witał, to znów dalej go objaśniał.

— A w tym apartamencie ileż gustu i sztuki.

Wchodzili właśnie do dużej sali, w której panowała jasność przytłumiona pasowym adamaszkiem na ścianach, a podniecana złotem mebli i ram.

— Jakże to ciekawe — szeptał Ostoja, któremu się zdawało, że jest w jakimś muzeum patrz! portret ten cesarzowej Eugenji... przyjaciółki hrabiny. Cóż to była za urocza kobieta! A tu nad tym przepięknym *behu* portret hrabiny, pędzla Winterhaltera... to znakomity malarz, choć dziś krytykowany...

— A ta piękna kobieta? — zapytał Łęcki, wskazując oczami na dziwnie chwytający za oczy portret niewieści.

— To? to Lampi niezawodnie... a zdaje mi się, przedstawia słynną Pilawską, z czasów Stanisława Augusta.. wiesz? Ależ jakież tu bogactwo dzieł sztuki!

Szli dalej.

W gabinecie, w kącie, stał na kolumnie na tle draperji purpurowej marmurowy biust pięknego mężczyzny.

Stał, jakby na widowni, na pierwszym miejscu, a uderzał swym wyrazem cynicznym i pańskim i genjalną rzeźbą.

— To zapewne biust hrabięgo Ko...

Ostoja się zaśmiał cicho i wykrzyknął.

— O! złota młodości!

Nachylił się do ucha Witolda i wyszeptał.

— To księżę *de Morny, le tout puissant ministre*, admirator hrabiny...

Witold czuł, że mu się w głowie mąci. Potoczył po wieńcach i girlandach kobiet, szukając

swojej nieznanym, która mu nagle stanęła w wyobraźni.

Ale jej nie było.

Ostoję odebrała mu księżna Druska, która zbliżając się, zagadnęła hrabiego.

— Oddawna nie czuliśmy się kochany hrabio, tak u siebie — żyda nie ma na lekarstwo, — dodała ciszej.

A Witold znalazł się tuż obok pani Tytusowej, którą znał od dawniej i podziwiał jej rozum.

— Cóż za biżuterje! — zagadnął, aby coś powiedzieć.

— Piękniejsze jeszcze — odparła dama z do-  
wcipnym uśmiechem — znajdziesz pan w finansach,  
a przecież nie robią tego wrażenia. Brylant, który  
się utrzymał kilkaset lat w rodzinie, *c'est un  
personnage tres interessant et tres respectable.*

Panią Tytusową zagadnęła jakaś wspaniała  
dama, a Łęcki poszedł dalej.

Hrabina Korońska stała tuż obok niego.

— Pani! — zawołał — podziwiam te prze-  
pyszne rzeczy, portret cesarzowej jest...

— *La chère impératrice* — przerwała hrabi-  
na z westchnieniem i grą ocz i dalej mówiła ła-  
maną polszczyzną i francuskim akcentem — mam  
go od cesarzowej... pochodzi z *Fontenaiblan*...  
darowała mi go przed ostatecznym wyjazdem...  
*quels tristes souvenirs...* ot dziś miałam list od niej...  
jest... leży na stole... pokazywałam go księżnej  
Światopełk... w czerwonym pokoju...

Witolda zachwycała hrabina. Było coś dzi-  
wnie uroczego, światowego, pańskiego, a pełnego  
kokieterji w jej sposobie bycia.

Ale niedługo mógł z nią rozmawiać, bo hra-



binę otaczano; każdy ubiegał się o chwilkę rozmowy z tą kobietą, podziwianą przez wielkich Europy mocarzy.

Bywalski precyzyjnie się z trudem do Witolda.

— I cóż — zapytał — tego jeszcze w Warszawie niewidziałeś, przeszłego roku było bowiem bezkrólewie?

— Ale wie pan co — odparł Witold, biorąc pod ramię Bywalskiego — zauważyłem na ustach wszystkich jakieś wrzenie na... finanse.

— Czy tak?... nie nie szkodzi... za godzinę będziesz miał zmianę dekoracji u Lewiczów będą i finanse... będzie i większa część ztąd... nie jeden co tu wre, będzie się tam czuli do Kinstaina i innych...

Bywalski się uśmiechnął i pobiegł złożyć niski ukłon hrabinie Adamowej, która w swej czarnej kaszmirowej sukni ubogiej i gładkiej, uderzała ostrymi rysami i rozkazującą fizjognomią monarchini

Witold zoczył wreszcie Karola, robiącego honory w jednym z kątów salonu.

Podbiegł.

— Ah! jesteś! — zawołał Koroński — szukam cię od godziny. O przedstawieniu się dziś mowy nie ma, ale cieszę się żeś przyszedł, bo całą Warszawę, którą znać chcieć możemy, widzisz. „*Le vrai monde!*“ zapewne znasz wszystkich...

— Prawie!

— Jaka ładna panna Ofelja, choć nie do poznania — ciągnął dalej Koroński — w swej zmianie *coiffury*. A jakaż typowa stara pani Stanisławowa, która swym przyzwyczajeniami wyrobiła prawo obywatelstwa w naszych salonach. Prawdzi-

wa wielka dama, to pani Adamowa. A jakież brylanty pani Zawiszyny... ha? i piękne nazwisko! Gdyby nie Korońskim, tobym się chciał nazywać Zawisza!

To powiedziawszy, rałody hrabia pobiegł dalej.

W apartamentach się przeredzało. Stara gwardja się wynosiła, bo przyszła tylko, aby widzieć. Ostoja i inni mieli tego dosyć. *High life* spieszył do Lewiczów.

Witold jeszcze szukał oczami w wychodzących tłumach paru czarnych ócz, ale ich nie znajdował.

Podszedł do niego Bywalski.

— Wychodźmy! — szepnął — hrabina już zmęczona, stoi u drzwi.

Tłumnie wychodzono, uginając się w ukłonach przed piękną gospodynią.

A ona raczyła zachwycać uprzejmością, którą każdy zdawał się umieć oceniać.

Przy pożegnaniu hrabiny z Ostoją, Łęcki zauważył uśmiech na ustach starego pana, który mu przypomniał opowiadanie Jańskiego.

— Być nie może! — pomyślał w duszy — gdy się już znalazł w przedsionku, w którym każdy szczegół zdradzał wielkopański dom, — a kozak, podający mu futro, wyglądał przejęty swoją godnością.

Ponieważ blisko było do Lewiczów, piechotą postanowili przejść te kilkaset kroków i zkorzystać z przejmującego powietrza mroźnej nocy.

Wkrótce znaleźli się w domu, zajmowanym przez Lewiczów.

Tłok już panował na schodach, gdyż goście tłumnie przyplýwali od hrabiny Koronińskiej.

Witold zauważył natychmiast między tymi dwoma domami ogromną różnicę. Ci sami prawie ludzie byli i tutaj, lecz jakże odmiennym był koloryt całości, odmienną wydawała się niepochwytna atmosfera.

Kwiaty masami zdobiły sień i schody, a rzęsiście światło odbijały białe olejne ściany.

A w falstym tłumie zatrzymujących się i gwarzących na schodach, to spieszących na górę, skąd głośna dochodziła muzyka, panowała wesołość prawie niehamowana, zdradzająca się szeptami wśród wybuchów śmiechu, dowcipami w kaskadach francuskich frazesów.

U drzwi od salonów nikt ich nie witał, bo bał dawno się już zaczął. Nie czekano na wybrańców od hrabiny. — Ci też wchodzili, jak do sal publicznych, lub restauracji.

Kolosalna różnica, jaka zachodziła między tym, a dopiero co opuszczonym apartamentem, uderzyła Łęckiego, choć nigdy on do *dicorum* nie przywiązywał wartości.

Oko jego nie miało gdzie odpocząć, bo białe ściany raziły światłem, a nie nęciły spokojem i deseniem makat, ani kolorytem obrazów. Lustra na wszystkie strony rozwieszzone, odbijały świece, które wydawały się za rażącymi.

Gdzieniedzie tylko kłęb kwiatów, oświetlonych kryształowym kandelabrem, odbijając się w zwierciadle, tworzył artystyczną i uroczą całość.

A panował gwar przygłuszający prawie orkiestrę!

A gorąco tropikalne!

Witold to wszystko analizował.

Przejsście z salonu do salonu w tym samym prawie świetle, wydało mu się za gwałtownem.

Czy w tym samym? — sam siebie pytał i rozglądał się.

W tym samym — odpowiadał sobie — bo prawie wszyscy, których widział u hrabiny, byli i tutaj, z wyjątkiem Ostoi, kilkunastu matron, kilku dam.

Jakże oni tracili na tem tuzinkowem tle.

Jakże traciły brylanty i perły, toalety i wyrazy nawet twarzy.

Łęckiego razily niektóre fizjognomje męskie i żeńskie, których u hrabiny nie widział, czy nie zauważył.

Często przesuwala się około niego w mazurze twarz piękna, lecz zbyt orientalnych rysów.

W tłumie mężczyzn, przyglądających się po kątach tańcom, formalnie go przestraszały, to bawiiły twarze o niespokojnych oczach, sępich nosach, czarnych faworytach, twarze dziwnie rażące wśród przeważnie polskich typów.

Mazur się skończył, a salon nieco wypróżnił.

Witold opuścił swoje obserwacyjne stanowisko, aby się przywitać z domowymi i znajomymi. Dotąd nie miał możności uczynienia tego.

Młody Lewicz pochwycił go.

— Nie znasz mojej siostry — mówił — przedstawię cię Masz kotyljona?

— Nie.

Przecisnęli się do wieńca pańien, w pośrodku którego Lewicz zaprezentował Witolda.

Ten zapytał panny Lewicz:

— Ma pani kotyljona?

— Od tygodnia mam wszystkie tańce — odparła panna z pewnym wyrazem obrażonej dumy.

Pomieszany Witold cofnął się i obserwował pannę Lewicz, której nie chcąc, widocznie się naraził.

Wtem przybiegł znów do niej jej brat.

— Masz już kotyljona? — zapytał cicho, nie uważając na Witolda, który stał tak blisko, iż musiał całą rozmowę podsłuchać.

— Nie mam — odpowiedziała panna.

— Jakto?

— Prosił mnie pan Łęcki.

— I nie przyjęłaś?

— Nie... a co?

— Ależ to doskonała partja... z Podola — wyszeptał ze złością młody Lewicz i pobiegł dalej.

Witold uciekał, a że w głowie mu coś szumiało, krokiem powolnym zmierzał do innego salonu.

Ale za sobą usłyszał cudowny głosik:

— *Monsieur Łęcki!*

Obrócił się. Przed nim stała panna Lewicz, cudownie uśmiechnięta i miłutka.

— Masz pan już kotyljona? — zapytała — bo ja... ja...

— Mam pani! — odparł Witold i ukłonił się bardzo nisko, aby ukryć wyraz swej twarzy.

Chciał się wynosić z tych salonów, gdzie odróżniano w nim dwóch ludzi, Łęckiego i partję.

Ale zatrzymał go Bywalski, znajdujący się

przypadkiem na jego drodze. Wesoly, rozbawiony, rumiany zagadnął go:

— Tu masz *high life... le monde elegant*, wszystko! — nachylił się do jego ucha i mówił ciszej — tą drugą kategorią według podziału hrabiego Frunia... bawię się doskonale. Zapewne nie masz tańców... ale kolacja będzie wysmienita...

— Mniejsza o kolację — odparł Witold — ale co gorsza, że dotąd nie przedstawiłem się panu domu.

— O! niejeden w twojej pozycji! — zawołał Bywalski i pociągnął Witolda do drugiego salonu, gdzie jakiś stary pan chodził samotnie i wyglądał, jakby się straszliwie nudził.

Był to pan Lewicz.

Usiedli obaj na kanapie przy drzwiach od sali balowej Bywalski opuścił ich. W tych drzwiach zaś był tłok ciągle zmieniających się figur

Rozmowa Witolda z Lewiczem nie szła.

Wtem tuż nad sobą, w framudze drzwi za portjera, usłyszał znany sobie głos pana Szkatulskiego, rozmawiającego z jakąś panią.

— *Enfin!* — mówiła dama — młodzieży nie ma.

— Jakto? są!

— Partji żadnej, na przykład dla Minci.

— Ależ.

— No któż?

— Młody Łęcki, który w tych dniach przybył.

— Łęcki, cóż to?

— *Tres bien et tres riche!* — odparł głos pana Szkatulskiego.



— Co pan mówisz? .. jest tutaj... przedstaw mi go pan.

Witold dalej nie słyszał, bo cichutko opuścił kanapę z zasypiającym panem Lewiczem i uciekł do *fumoiru*.

Tutaj rzucił się na sofę, objął głowę obiema rękami, ale nie mógł się opędzić prześladowającym go myślom. Nie wiedział sam, czemu przypisać rozstrojenie swych zmysłów, bo przecież o tyle znał świat, zdawało mu się, aby nie być wrażliwym na podobne, jak to, co go spotkały, wypadki...

W *fumoirze* panowała cisza, która od niejakiego już czasu miała właściwość narzucania jego wyobraźni paru, jak węgiel czarnych, ócz.

Witold marzył.

— Czemu ich tutaj nie ma? — myślał.

Wtem nagle zdwoił się ruch i gwar — wpadano do *fumoiru* — porywano papierosy — rzucono się na kanapy i fotele...

Śmiechy, żarty, półsłówka, dowcipy płynęły kaskadą. — Młodzież odpoczywała między jedną a drugą figurą kotyljonową. A atmosfera robiła się coraz duszniejszą i ciemniejszą od papierosów, rzuconych setkami z największą nieuwagą poddywanie pokoju.

Witold, jaby dotąd przechodził przez świat z zamkniętymi oczami, teraz wszystko widział i analizował.

Wpadł i Koroński, który przybył na drugą połowę balu, otoczony złotą młodzieżą, wesóły i rozbawiony.

— Witold Łęcki! — zawołał przystając — nie widziałem cię.

— Najprzód kochany Karolu — odparł Witold — nie Łęcki, tylko Łęcki. Zapomniałeś mego nazwiska...

— Owszem Łęcki — zawołał Koroński — dziś jest *du plus mauvais genre* wyniawiać ł.

Witold się zaśmiał.

— Ś.niejesz się — ciągnął dalej hrabia — jeśli chcesz uchodzić za człowieka *du vrai monde*.

— Oszalałeś Karolu! — przerwał Łęcki.

— Bynajmniej — mówił dalej hrabia — przysłuchaj się rozmowie najelegantszych kobiet najbardziej światowych mężczyzn... Dziś już nikt nie wymawia Radziwiłł...

— Tylko?

— Tylko Radziwiłł.

Witold się śmiał do rozpuku...

— Ra...dzi...wiłł — powtórzyło kilku dobitnie, jakby chcieli nauczyć Łęckiego.

Wtem muzyka zabrzmiała ślicznym Straussovskim walcem i cała młodzież wybiegła.

Witoldowi zdawało się, iż wpadł między obłąkanych.

Wstał i chciał wyjść, ale spostrzegł, że nie miał kapelusza, zostawił go w saloniku. Ku temu skierował swe kroki, ale tłok we drzwiach od sali balowej go zatrzymał.

Z ciekawością przyglądał się zapałowi tancerzy, ale krótko, bo umysł jego dnia tego dziwnie był skorym do analizy i krytyki.

W kącie zoczył jakąś panienkę, nie mającą widocznie dansera. Biedna, choć strojna, wodziła zamglonemi oczami po salonie, w którym tak się bawiono. Żal mu jej było.

— Powiedz mi pan — zagadnął tuż obok stojącego znajomego pana X. — po co prowadzą na bal takie biedne stworzenia?

Tu wskazał oczami panienkę, której, jakby się płakać chciało.

Pan X. spojrzął na Łęckiego zdziwiony.

— Mój panie — odparł — czyż na jarmarkach są tylko dobre i piękne konie?

— Ze są i brzydkie, wiem — czempędzej odpowiedział Łęcki — bo patrz pan, jak brzydką jest ta panna, gruba, czerwona ta, co tak wygląda rozbawiona, co tańczy z Korońskim... co...

— Sza.. cicho — przerwał przerażony pan X. -- *on la trouve charmante*, to księżniczka Światopełkówna... ma milion!

Witold się uśmiechnął, tak go zabawił przestroch pana X., aby Witold nie zechciał dalej robić rewji brzydkich księżniczek i hrabianek.

Miał ochotę jeszcze pomówić z dyskretnym światowcem, ale tuż obok zagadnął go miły, choć piskliwy głosik kobiecy.

— *Comte Łęcki!*

Zdziwiony Witold się obrócił. Przed nim stała, wyprostowana i wyściskana pani Paryska.

— Przedstawię pana — mówiła — pani Kamińskiej... — a obracając się do wspaniałej damy, dodała — *le comte Łęcki!*

Pani Kamińska godnie, z bystrym rzutem ócz, kiwnęła głową i przeszła, a Witold obrócił się do pani Paryskiej i zawołał.

— Najprzód hrabino! proszę mi nie dawać tytułu, którego nie mam.

— Tak? *Vous n'etes pas comte* - - odparła

nico zdziwiona pani Paryska — przepraszam! W Warszawie trudno się połąpać. Przyznam się panu szczerze — mówiła dalej łamana polszczyzną — że, aby sobie nikogo nie narazić, *j'ai prise le parti* dawaniem każdemu tytułu... pan pierwszy protestujesz.

— Pierwszy! — zaśmiał się Witold — który nie chce być ani hrabią, ani Łęckim.

Pani Paryska się zaczerwieniła.

— *Que voulez Vous* — ciągnęła — kiedy wejdziesz między wrrony, to i krrakaj, jak i one.

I dalej mówiła ciszej.

— Wychowałam się w Paryżu, gdzie mnie zawsze uczono wymawiać dobrze Kadziwiłł... przyjeżdżam tu i muszę sobie łamać język, aby znów to nazwisko wymawiać inaczej... *que voulez vous!*

Pani Paryska poszła dalej.

Witold odnalazł swój kapelusz i wychodził.

Już u drzwi dopadł go Bywalski.

— Zaczekaj — wołał — panna Kamińska nie ma drugiego mazura...

— Dajże mi kochany pan pokój... jestem do niczego dzisiaj.

— Ależ...

— Ot lepiej! zrób mi pan przysługę — mówił Witold — i sprostuj wieści o mnie, bo..

— Jakie? co?

— Że nie jستم ani *riche*, ani *tres riche!* — zaśmiał się Witold i uściskawszy rękę Bywały-Bywalskiego, wybiegł z salonów państwa Lewiczów.

### III.

Na trzeci dzień po balu u Lewiczów, Łęcki już jakiś czas chodził po Nowym Świecie i oczekiwał pojawienia się swej nieznajomej.

Od dłuższego bowiem czasu, regularne te spotkania były niejako słońcem dni Witolda. Niemi się cieszył, ich wspomnieniem żył.

Okolo godziny trzeciej po popołudniu, Witold zwykle chodził wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Niebawem pojawiały się trzy nieznajome. Łęcki zadowalał się jednokrotnem spotkaniem, które jakkolwiek krótkotrwałe, wystarczało mu na ubarwienie dnia całego.

Piękna czarnooka nieznajoma zauważyła już Witolda, bo od kilku dni, ile razy go spotkała, spuszczała oczy i główkę, rumieniąc się po uszy.

Witold umiał być delikatnym, a znał się o tyle na kobietach, aby tylko dobre dla siebie wyprowadzić wnioski z tych rumieńców, które jeno dowodziły, że był widzianym i zauważonym.

Dotąd nie znał nieznajomych, nic o nich nie wiedział. Wprawdzie starał się w tym względzie zasięgnąć języka, lecz w świecie nikt go

nie umiał poinformować. Przypuszczał tylko, że nieznanym należały do tak zwanego obywatelskiego kółka, nie komunikującego się z tak zwanym wielkim światem.

Nie zdawał sobie sprawy ze swego uczucia, które mu kazało zajmować się cichaczem piękną dziewczyną. Wiedział tylko, iż to rieme z nią spotkanie uważał za najmiłszą chwilę w dniu, której nadzieją czy wspomnieniem żył.

Dnia tego już od dłuższego czasu przebiegał tam i nazad część ulic, na których dotąd ani razu spacer jego nie był bezowocnym.

Zaczął przypuszczać możliwość zawodu, gdy uwagę jego zajął pędzący Krakowskiem wysoki amerykan.

Przepysznych gniadych koni czwórka pędziła wyciągniętym kłusem. Ekwipaż zbliżał się z szaloną szybkością i nadzwyczaj zgrabnie wymijał dorożki i pojazdy.

To Koroński sam powożąc, wiozł w *breaku* kilku młodych mężczyzn. Ulica się gapiała bo i było czego, tak pięknym był woźnica, tak pysznymi zaprzęgi i konie.

Lęcki pozazdrościł niemal Karolowi, który zdawał się tak używać życia i hojnie uposażającej fortuny.—Jeżeli nie tej, to zazdrościł mu poważania. Przystanął i ze zdziwieniem przyznał, że on wieśniak, Podolak, nie potrafiłby tak zręcznie władać czterema rumakami po ulicach Warszawy.

Gdy nasycone tym widokiem oczy cdwrócił od znikającego już w głębokościach Nowego Świata ekwipaża, znalazł się naprzeciw Bywałskiego.



Ten wyświeżony, w jasnych rękawiczkach w sztywnym kołnierzyku, widocznie oddawał wizyty. — Przez monokl podbijające rzucał wejrzania, choć nikt na nie nie zwracał uwagi.

— Z wizytami? — zapytał go Witold, podając mu rękę i ruszając z nim dalej.

— A ty? — odparł Bywalski — byłeś już z diżestją u hrabiny?... u Lewiczów?

— Nie.

— Jakże można? dziś trzeci dzień! to chodźmy razem.

Witold zamilkł, nie wiedział, jak się wykręcić.

— Rzeczywiście... nie mogę... czekam — bełkotał, szukając wymówki.

Wtem Bywalski uchwycił go za ramię, jakby go odsuwając, aby ułatwić komuś przejście przez wąski chodnik.

Witold podniósł oczy. — Trzy nieznajome przechodziły. — Bywalski się kłaniał z wymuszoną galanterją i uprzejmością, a piękna czarnooka kiwnęła mu główką z dziwnym wdziękiem i czarującym uśmiechem na ustach.

Oszołomiony Witold nie mógł się na razie połapać. Sam uchylił kapelusza i ustępując na bok stanął i oczami posuwał się za nieznajomemi.

Bywalski go trącił.

— Piękna panna! co? — szepnęła.

— Znasz je pan?

— Naturalnie, skoro się kłaniam.

— Któż to?

— Przecież się kłaniałaś... nie wiesz? Ale przystojna? co? — mówił Bywalski, postępując naprzód.

— Któż to? — pytał znów, udając obojętność, Łęcki.

— Jakto można nie znać najpiękniejszych Warszawianek? — i to dzisiejsza młodzież! wstydz się! To panny Kohn.

Łęcki zbladł i stanął, jak wryty.

— Cóż ci? — zawołał Bywalski.

— To są panny Kohn? — pytał Witold.

— Panny Kohn! ale chodź, coś się zatrzymujesz? — Co wy po wsiach macie za dziwne pojęcia? panny Kohn, córki bankiera, który za kilka lat zakasuje wszystkich Kinsteinów i bergów — ogromne robi interesa, a szalone ma szczęście ten człowiek!

Witold milczał, a Bywalski dalej prawił, poprawiając monokl i zerkając na przechodzące kobiety.

— Dziwi cię, że nie mają wyraźnego semickiego typu? — to naturalne! matka Angielka, a one do matki podobne, tylko stokroć razy piękniejsze. Bo widzisz, od matki miały dystynsję córek Albionu, a od ojca te gorące czarne oczy, co to, jak węgle, u tej starszej...

— A! zapalasz się pan do diabła! — podchwycił Witold, powoli przychodzący do siebie, lecz będący jeszcze pod wrażeniem, jakby katastrofy.

— No przyznasz przecież, że przepiękne, szczególnie starsza.

Witold milczał.

-- Nie znajdujesz? — pytał Bywalski.

— Nie... owszem... przyznam się szczerze, że jej dobrze się nie przypatrzyłem.

— A to są dzisiejsi młodzi ludzie! — wy-

krzyknął Bywalski — ja stary... a... wstydzicie się!

Szli dalej w milczeniu, bo Witold nie zagadywał swego towarzysza, tylko w coraz większej zatapiał się zadumie.

Na rogu alei Jerozolimskich zatrzymali się, Bywalski spieszył do hrabiny, a Witold nie chciał się dać namówić dnia tego na żadne wizyty.

— Wiesz co — zagadnął już przy pożegnaniu Bywalski — dziś duży bal u Kohnów, chodź ze mną.

— U jakich Kohnów?

— U jakich? innych nie ma, tylko jedni, warto przecież, wprowadzę cię.

— Ależ ich nie znam.

— Cóż z tego? Już się nie bój. Gdy ja cię wprowadzę, będziesz doskonale widzianym. Nie namyślaj się, zabawisz się stokroć razy lepiej, niż u Lewiczów i gdziekolwiek

Łęcki milczał; oczy jego zdradzały pewną wewnętrzną walkę, a nie śmiał spojrzeć w oczy Bywalskiemu. Wreszcie odparł:

— Ale cóż ja tam będę robił wśród samych żydów? ja...

— Oszalałeś — ofuknął, lekko obrażony Bywalski — przecież ja tam będę, a prócz mnie będą i lepsi odenunie i od ciebie — spotkasz ręczę ci, samych dobrych znajomych. Targujesz się, jak stara sędzina jaka, czy marszałkowa, wielka rzecz! Raz przestań być parafianinem do diabła!

Witold uśmiechał się tylko, a Bywalski widocznie uważał go za rozbrojonego, bo dodał.

— Więc po dziewiątej wstąpię do ciebie i

pójdziemy razem. Będziesz mi wdzięczny! Do widzenia!

Bywalski lekkim krokiem podążył w Aleje, a Witold bardzo zadumany, z głową opuszczoną prawie bezwiednie, szedł prosto naprzód i zdziwił się niemal, gdy nagle znalazł się przed hotelem Brühlowskim.

Wbiegł do swego numeru — na dworze już się zmierzchało — Witold rzucił się na kanapkę i tak leżąc na pół przytomny, spędził z kilka godzin. Jego myśli kręciły się w kółko w największym bezładzie, to przenosiły go na Podole, na równiny i stepy, to rzucały go do nóg panny Kohn. A wtedy wargi Łęckiego bezwiednie szepotały:

— Ah! czemuż Kohn, nie inaczej?

I przypominając sobie, że Bywalski ma wkrótce przyjść do niego, usiłował wstać, zapalić świecę, zbierać się na ten bal. Ale jeszcze nie był zdecydowanym, on sobie te finanse tak dziwnie wystawiał, on nigdy w żadnym z tych domów nie był. A wychował się na wsi w przesadnych może pod tym względem przesadach. Od dzieciństwa obijały się o jego uszy żarty, uprzedzenia, zarzuty przeciw temu towarzystwu, które tu nazywano finansowym światem i z którym tu się liczone. Przypominał sobie, jakie to wzburzenie na wsi, na Podolu, w kraju całym wywołało niedawno zawarte małżeństwo hrabiego Andrzeja Tarłowskiego z Landerbergówną. Przypominał sobie, jak szlachta krzyczała: „niech się żenią hrabiowie, żaden szlachcic się nie ożeni.“ Konkludował, że szlachta zupełnie miała na te finanse odmienne zapatrywania od tej części szla-

chty, którą nazywają arystokracją. On był tylko szlachcicem.

Byłby Witold długo jeszcze dumał i wyobraźnią po przeszłości i Warszawie bujał, gdyby do drzwi jego nie zapukano. Zerwał się, myśląc, że to już Bywalski. W pokoju panowała zupełna ciemność.

— Kto tam? — zawołał.

— Jesteś! — odparł za drzwiami głos Jańskiego. Witold zapalił świece i pobiegł otworzyć drzwi staremu przyjacielowi.

— Szedłem do siebie — mówił Jański — i przyszła mi myśl zapukania do ciebie. Co robisz? Chodź do mnie na herbatę i pogadankę!

— Zostań pan u mnie — odparł Witold — herbatę zaraz każę podać. Trafiasz pan w samą porę, bo zawsze go uważam za najlepszego mego cicerona

— O cóż chodzi? — zapytał Jański, usadowiając się już wygodnie na kanapie i zapalając cygaro, wyjęte z pudełka, leżącego na stole — puszczasz mnie zupełnie w trąbę — mówił dalej z uśmiechem — nie opowiadasz się, co robisz, nie zaglądasz do starego przyjaciela... jakże się bawisz...?

W odpowiedzi Witold serdecznie uściśnął dłoń Jańskiego i odparł:

— Dotąd, to się nudzę i sam niewiem, czemu przypisać pesymistyczne moje zapatrywanie na wszystko. Lat temu dwa tak dobrze się bawiłem!

— Zaraz ci wytłumaczę ten psychologiczny objaw. Dawniej byłeś tylko w Warszawie dla zabawy, teraz masz pewien cel, cel ożenienia

się! To sprawia, że innemi oczami patrzysz na wszystko i nie dziwię ci się, bo każda *arrière pensée* niesłychanie wpływa na nasze usposobienie, a cóż dopiero tak ważna!

— Być może... — odparł Witold — a i przyznać trzeba, że tego roku mniej się bawią. Dziś Bywalski mnie namawia, abym z nim poszedł na bal do Kohnów. Jakże mi pan radzisz?

— Jak radzę? — podchwycił Jański — radzę ci iść, poznasz nowy, a bardzo zajmujący świat, zresztą będziesz w kółku najlepszych znajomych.

— Miałem co do tego pewne skrupuły i chciałem znać pod tym względem pańskie zapatrywania.

— Moje zapatrywania? mój drogi Witoldzie? Wszak to jest taką drobnostką, czy ty będziesz u Kohnów, czy nie. A w twoim wieku głupstwem by było, omijać sposobność poznania świata i ludzi znakomitych w swoim rodzaju.

— Znakomitych? — przerwał Witold z zdziwieniem.

— Niezawodnie! człowiek, jak Kohn, który z niczego w ciągu lat dwudziestu i kilku dochodzi do kolosalnej fortuny, jest znakomitością.

— Więc Kohn jest tak bogatym?

— Mówią, a fortuna ta podobno z dnia na dzień rośnie. Jest to człowiek sprytny i obrotny, próżny, jak wszyscy żydzi, doszli do majątku, ale nadzwyczajny, niech sobie, co chce, kto mówi!

— Jakże on doszedł do tego? bo przecież...

— Jak? różnie o tem mówią. Każdy inną opowiada wersję, a z każdej naturalnie jasno się



wykrywa, że sam spryt nie wystarcza do zrobienia milionów... Prócz niego potrzeba dużo szczęścia i dużo... różnych odcieni charakteru, których brak absolutny w szlachcie...

— Chwała Bogu! — wtrącił Witold.

— Sprawia, że nie robią oni nigdy milionów — zakończył Jański i dalej mówił. — Ja wiem tylko tyle, że Kohn pełnił jakieś obowiązki podrzędne u Błażeja Marylskiego... od niego często był przysyłanym do mego teścia właśnie w epoce, gdy m się starał o moją żonę.

— Czyż być może?

— Ach! ileż razy widziałem go wyczekującego w przedpokoju, ileż razy uderzył mnie swoją sprytną, ba! rozumną fizjognomią.

— To są rzeczy nie do uwierzenia!

— Mój drogi! wszystkie karjery są zastanawiające i w szczegółach trudne do zrozumienia. Dość, iż ten sam Kohn dzisiaj jest wysoką figurą córki zapewne wyda za reprezentantów świetnych rodzin. Prócz tego dużo robi dla miasta, dla kraju, dla nędzy! Oni umieją używać pieniędzy...

— Pan go znasz? bywasz?

— Znam, ale... nie bywam w ogóle u żydów, bo też mało gdziekolwiek bywam. — Spotykam ich w bankach, w różnych stowarzyszeniach. . nawet często jestem z nimi w interesach.

— Jakże oni zachowują się w interesach?

— Zupełnie inaczej, jak w salonie... O ile tam są, to jest usiłują być panami, o tyle w kantorze są kupcami — nic więcej! Ale, jeżeli masz iść do tych Kohnów, to się ubieraj, już czas, dziewiąta!

Witold wstał, a niechęć malowała się w każdym jego ruchu.

— Widocznie trudno ci przychodzi zebrać się na ten bal. Bawi mnie to! Jak to silnie w nas są wkorzenione antisemickie przesady. I dziwić się później, że nie może przyjść do fuzji między tymi światami, i że nigdy nie przyjdzie!

Jański nalał sobie herbaty, zapalił drugie cygaro i dalej mówił.

— No, zbieraj się, poznasz bardzo miłą osobę, panią Kohn, a córka jej ma być prześliczną, tylko nie zakochaj się do licha! — Zobacysz zupełnie paryski hotel, urządzone z nadzwyczajnym, u nas nieznanym komfortem.

— Ależ ja nie potrafię rozmawiać, tańczyć z tymi...

— Uspokój się! Gdy zobacysz hrabiego Korońskiego w największych z nimi galanterjach, gdy zobacysz w ich salonie bardzo piękne nasze nazwiska, gdy zobacysz reprezentanta pewnej partji...

— Kogo?

— No księcia Oleśnickiego, który u nich wszystkich bywa, to rozwieją się twoje skrupuły!

— Czyż być może?

— No zbieraj się!

Wtem wszedł Bywalski.

— A u licha! — zawołał zaraz odedrzwi — jeszcze nie gotowy, a o dziesiątej punkt roznoszą u Kohnów herbatę z przepyszными tartiukami z łososiem, których opuścić prawdziwa... no niepowetowana szkoda!

Po przywitaniu, Bywalski wyciągnął z kieszeni bilet, nałożył monokl i zawołał.

— Gdybyś nawet nie chciał, to teraz musisz iść ze mną do Kohnów.

Obrócił się do Jańskiego.

— To nie do uwierzenia — mówił — jak w tych finansach ludzie są grzeczni. Wystawcie sobie, jaki zastałem u siebie bilet pani Kohn. Słuchajcie! „Kochany panie! dowiaduję się, że patronujesz pana Łęckiego, dopiero co przybyłego do Warszawy. Jeśli więc zechce pański protegowany być u nas na balu dzisiaj, to nam sprawi prawdziwą przyjemność. *A ce soir*“. Proszę was, jaka grzeczna, gdzieby to u nas szukać?

Łęcki głęboko się zamyślił nad tym biletem, a Jański z Bywalskim zabawiali się rozmową o powodach uprzejmości finansów.

Pan Jan twierdził, że to jest tylko u nich wynikiem ich socjalnego stanowiska, a Bywalski upierał się, że ta uprzejmość jest skutkiem nadzwyczaj starannego wychowania.

Obaj zaczęli się już na dobre spierać, gdy interweniował gotów już do wyjścia Łęcki.

— Moi panowie! skończcie ten spór! — zawołał — bo tartiuki przepadną.

— A u licha! — zawołał, zrywając się Bywalski — to mniejsza o tartiuki, ale z herbata! bieda, bo z początku to roznoszą wyśmienitą, a potem, gdy się zacznie...

— To fatalną? — zapytał Witold.

— Ej nie! — odparł Bywalski — o nas nie ma obawy. Służba mnie zna i pani Kohn o mnie pamięta.

Opuścili Jańskiego, który prosił Witolda, aby nazajutrz przyszedł do niego opowiedzieć mu swoje wrażenia.

Obaj, wsiadłszy do dorożki, kazali się wieść do „pałacu Kohna.“

W kilka minut później wchodzili już do mieszkania.

Ciepło suche, uperfumowane, pochodzące z kaloriferów, uderzyło Łęckiego zaraz na wstępie.

Marmurowymi schodami, wysłanymi smyrneńskim dywanem szli na górę. Z każdego szczegółu, począwszy od poręczy schodowej, a skończywszy na fizjognomji rozstawionych lokai, wiał ten wyrafinowany komfort, przewyższający o wiele zbytek.

Wszystko było lśniące, czyste, nowe, w najlepszym gatunku. Klamki, zawiasy błyszcząły, jakby szczerozłote.

Nie było tej imponującej świetności, co u hrabiny Korońskiej, lecz zastępowało ją jakieś nadzwyczajne wykończenie, w najdrobniejszych szczegółach całości.

Ze schodów prowadziły trójce otwartych drzwi do apartamentów, które biegły w około i o ile mogły być okiem objęte, przedstawiały prawie nie tegowieczną całość.

Apartament był cały przeprowadzony w stylu Ludwika XVI., który nagięto do wymagań naszego stulecia i wydoskonalono jeszcze pod niejednym względem.

Witold, pierwszy raz wchodzący w ten świat, ciekawem okiem podchwytywał wszystko.

A serce mu biło, jak nigdy, bo fatum chciało, że w tem mieszkaniu, w którem nie jednoby go było serdecznie bawiło, miał ujrzeć kobietę pierwszą, robiącą na nim silne i nieokreślone wrażenie.

W każdych z trojga drzwi stał lokaj w liberji nadzwyczaj gustownej, a pozbawionej wszelkiej pretensji. Guziki u teje z monogramami zamiast herbów sprowadziły prawie ironiczny uśmiech na usta Łęckiego. Ta drobnostka z tyśiącą innych pomogła mu do zrozumienia ubiegania się finansów o szlacheckie alianse. — Na tych dębowych rzeźbionych stołkach, w tych kolorowych oknach, w tych stylowych powycinanych klamkach czuć się dawał brak herbów ze swymi hełmami i pióropuszcami.

Nad każdym z tych podchwytywanych szczegółów, Witold chętnie byłby się dłużej zastanawiał, ale go ciągle napędzał Bywalski, naciągający na jedną rękę niepokalanie białą rękawiczkę.

Niezmierne lustra wmurowane w stylowe obramienia i robiące wrażenie otworów próżnych, odbiły ich postacie.

Zadowoleni weszli do salonu, w pośrodku którego witała gości pani Kohn.

Oszołomiła ona natychmiast Łęckiego niezliczoną ilością zgrabnych komplementów i zupełnie paryskim sposobem bycia i akcentem.

Natychmiast przedstawiła go sama swym córkom i mężowi. Ten ostatni, wykapany semita, lecz mniej od wielu innych śmieszny, przywitał go z pewną rezerwą wielkiego człowieka.

— Nie potrzebuję pana przedstawiać — mówił — bo zapewne znasz pan wszystkich.

Te ostatnie słowa, zdawało się Witoldowi, wymówił z pewną dumą.

Łęcki się rozejrzał i trafił na same prawie znajome twarze.

Bardzo dużo osób z *high life*, ze świata finansowego, który bywał już w świecie, napęłniała salony.

Między nimi gęsto pojawiały się urzędowe figury, generałowie rosyjscy, konsulowie, prezesi różnych instytucyj, których Witold znał, to z widzenia, to ze świata.

Uspakajał się więc — nie on sam ze swoich znalazł się tutaj.

Wprawdzie co chwila oko jego uderzało o semickie twarze, których tu było więcej, niż gdziekolwiek, by zaraz potem odpocząć na piękną figurze księżnej Ursynowej, lub majestatycznej postaci księcia Oleśnickiego, będącego tu jak u siebie; podpierającego ściany.

Mimo to jakoś nie czuł się swobodnym i doznawał wrażenia, jakiego nigdzie nigdy jeszcze nie doznał.

Ale wtem jego błędzący w tym zgiełku wzrok, spotkał się z spojrzeniem paru czarnych ocz. Blask tychże, podniecony bijącym światłem z kryształów weneckich i brylantów, podniesiony białą toaletą z srebrzystą gazą, robił nadzwyczajne wrażenie.

Pod magnetyczną siłą tego spojrzenia, czuł, że mu serce się ścisnęło, spuścił oczy.

Panna Kohn szła ku niemu.

Witoldowi zdawało się, że drętwieje.

— Masz pan wszystkie tańce? — zagadnęła dziwnie sympatycznym głosem, stając naprzeciw niego.

-- Właśnie chciałem prosić pani...

— Mnie? — zapytała z pewnem zdziwieniem panna Kohn.



— Czy może już pani wszystkie rozdała? —  
czempredzej i jakby z trwogą w głosie wyszeptał Witold.

— Mam jeszcze kotyljona — bardzo cicho  
odpowiedziała panna.

— To proszę!

— Ale niech się pan spieszy i angażuje, bo  
kotylion, to tylko koniec. Chodź pan ze mną  
przedstawię pana pannom.

Panna Kohn poruszyła się, a Łęcki szedł  
obok niej.

— Pan niedawno w Warszawie? — zapytała.

— Od trzech czy czterech dni.

— A więc zaraz pierwszego dnia spot...

Panna Kohn niedokończyła, tylko rumieniec  
oblał nagle całe jej oblicze, a było jej z tem  
do twarzy...

Witold także się zmieszał, choć pomyłka ta  
robiła mu nad wyraz przyjemne wrażenie.

Przechodzili właśnie około Bywalskiego,  
który już z filiżanką herbaty w ręku rozmawiał z księżną Ursynową. Uśmiechnął się dwuznacznie...

W ogóle Witold co chwila podchwytywał  
dwuznaczne uśmiechy na niejednej twarzy, których  
gdzieindziej nie spostrzegał.

Przedstawienie pannom trwało krótko, bo  
większą część ich znał już Łęcki.

Młody Lewicz przybliżył się do niego i szeptał na ucho.

— Ty tutaj?

— A ty?

— Koroński mi mówił, że należysz do jego  
szajki.

Lewicz pobiegł dalej rozbawiony i kontent, nie czekając odpowiedzi. — Witold zagryzł wargi nie kontent z zakreślonego mu stanowiska przez Karola.

Zresztą ten świat zaczynał mu się podobać. Ta nadzwyczajna uprzejmość i ta daleka od sztywności, jako też od *laisser-aller* światowość miały swoje przyjemne strony.

Co moment prawie doznawał wrażenia, jakby się znajdował w salonie zagranicznym, nie w Polsce — gdzieś w Paryżu, w kosmopolitycznym świecie. Sprawiało mu to pewne zadowolenie, nie być przygniecionym nastrojoną wielkością salonu pani Korońskiej, ani niejakością, cechującą *high life*.

Był gdzieś, u kogoś, w każdym razie w świecie bardzo eleganckim i zdającym się pozornie mieć szersze widnokreśli.

Orkiestra zabrzmiała, a ukryta była w klubie kwiatów, umieszczonym w umyślnie na ten cel sporządzonej framudze między dwoma salami.

Bał zaczął Bywalski z panną Kohn.

Jakże ona była piękną w walcu, ze swą opuszczoną główką, z swą niewinną i ciągle rumieniejącą się twarzą.

Witold porównywał ją z matką. Do tej nie była podobną, choć i pani Kohn nosiła ślady prędko ulatującej piękności Angielek. Rysy jej drobne imponowały spokojem, a w jej wyniosłej postaci, w każdym jej ruchu, było tyle dystynkcji i wielkoświatowej elegancji, że niejedna dama mogłaby jej ich pozazdrościć. — Wyglądała jeszcze bardzo młodo i zachwycała Witolda nadzwyczaj sympatyczną powierzchownością. Córki

z niej miały ten nieokreślony urok, choć w młodszej typ semicki — teraz dopiero Łęcki zauważył, — znacznie przeważał.

Niktby jednak z pierwszego rzutu oka, nie przypuścił, aby te trzy kobiety mogły być najbliższą rodziną Kohna.

Te wszystkie myśli tłoczyły się w głowie Witolda, podczas gdy Bywalski z panną Kohn walcował.

Bał na prawdę się zaczynał. Tańczono w trzech salonach. Wyśmienita muzyka grała, jak nigdzie. Framugi drzwi zapełniały się ciekawymi. Starsi mężczyźni wynosili się do bufetów, fumoirów i pokoi od kart. Bał przybierał właściwą sobie cechę.

Witold zbliżył się do panny Kohn, skoro tylko odprowadził ją na swoje miejsce Bywalski i puścił się z nią w szalony obrót „Laura“ walca.

Czuł się w niebie, bo i taniec lubiał, a panna Kohn tańczyła lekko i dobrze.

Odurzony muzyką, czy temi oczami, które na swej twarzy czuł, czy biciem jej serca, które przyciskał do swej piersi, tańczył długo, tak długo, iż wreszcie ze zmęczenia dancierka zdawała się upadać w jego objęciach.

Odprowadził ją na miejsce i usunął się, ale niedaleko, aby nieznacznie obserwować tę kobietę, która coraz silniej opanowywała jego zmysły i wyobraźnię.

Panna Kohn odmawiała wszelkim dalszym zaproszeniem do walca i to sprawiało Łęckiemu nieokreśloną przyjemność.

Po walcu zaraz rozpoczął się kadryl. — Witold go nie tańczył, więc obchodził salony.

Z zdziwieniem zauważył pewne koterje w tych salach, jedną tworzących. W jednej z nich, chyba nie wypadkiem, zgromadzili się wszyscy, należący do *high life*. Zresztą nie było w niej nikogo z finansów, prócz panien domu, z których z jedną tańczył Bywalski, z drugą Lewicz i kilka par jeszcze. Nawet ksiązę Oleśnicki tańczył z panią Kohn

W drugiej, jakby umyślnie znalazły się same finanse. Uderzającym był koloryt tak odmienny w tych dwu pokojach, jeden tworzących salon. A wszyscy wyglądali niezadowoleni z tego dobranego połączenia ich razem. Nie dość na tem, wyglądali śmieszni, bo semickie ich rysy, żadnym odmiennym typem nie przegrodzone, zyskiwały na wyrazistości.

— Patrz! — zagadnął Witold jednego z młodych mężczyzn — jak się finanse pościągają.

— Ha! — zaśmiał się zagadnięty — wściekli są, takie im zawsze urządzamy figle.

Łęcki spojrział zdziwiony i oburzony, ale młodzieniec nie zrozumiał tego spojrzenia i pobiegł dalej.

Do Witolda przybliżył się pan Kohn.

— Pan nie tańczysz? chodź pan na kieli-szek szampańskiego!

To mówiąc, wsunął swą rękę pod ramię Łęckiego i poprowadził go.

Witold czuł się zażenowanym, pierwszy raz w życiu maszerował pod rękę z bankierem.

Aby coś powiedzieć, zagadnął:

— Cóż za piękne rzeczy posiadasz pan w swym domu? co za rzadkie dzieła sztuki!

— Chcesz pan, to oprowadzę pana, pokażę

mu, co rzeczywiście warto widzieć — czempredzej odparł Kohn.

— Ale proszę!

— Tego pan nigdzie nie zobaczysz!

Szli przez serję pokoi, w których Kohn zwracał uwagę Witolda tylko na wybitne przedmioty.

Łęcki był zachwycony, bo sam sobie przyznawał, że nigdy nie widział takiego bogactwa rzeczy, urządzonych z takim gustem.

Obrazy pierwszych mistrzów wisiały na ścianach, a przy tychże stały kosztowne meble, posągi i brzozy. Każdy najdrobniejszy przedmiot przedstawiał dzieło wykwintnej sztuki. A wszystko tworzyło harmonijną całość prywatnego mieszkania. Wprawdzie, niewiedzieć dlaczego, ta całość nie robiła tego imponującego wrażenia, co salony hrabiny Korońskiej na przykład, za to o wiele kosztowniejszem wydawało się to urządzenie, wykończono w drobiazgach.

Ta drobiazgowość właśnie, ta naginana stylowość, ta świeżość każdej rzeczy, ta profuzja dzieł artystycznych, to wszystko razem obniżało wrażenie. A komfort, ten nieprzyjaciół majestatyeczności i wspaniałości, będący tutaj na pierwszym planie, dyskredytował całość.

Pan Kohn kazał podziwiać Witoldowi.

— Patrz pan! to Siemiradzki... najpiękniejszy Siemiradzki... te kobiety! co?... a coż pan mówisz, a ten portret mej córki, Marji, naszego wielkiego...

— Śliczny!

Witold oczywiście znajdował go pięknym,

choć według jego zdania malarzowi się nie udało uchwycić całego czaru panny Marji Kohn.

Tak podziwiając tu i ówdzie wybitniejsze dzieła sztuki, doszli do rodzaju galerji, graniczącej z ogrodem zimowym.

Wrażenie tutaj było feeryczne.

Galerję od oranżerji oddzielała kolumnada, złożona z ośmiu arkad, z których dwie tylko tworzyły przejście, a reszta naprzemian mieściła w sobie to lustro, to przeźroczystą szybę.

Witolda oszołomił ten nadzwyczajny widok. Dzieła sztuki mieszały się z zielonością palm i rzadkich roślin, a wszystko oblane światłem, olśnione złotem, to się odbijało, to się przeglądało w szybach.

A stąpało się po dywanach dziwnej miękkości. Gdzie oko zabłądziło, to spoczywało na dziele mistrza, czy na zieloności tropikalnych stref.

— To jest czarodziejskie! — zawołał w rzeczywistym zachwycie.

Pan Kohn spojrział mu w oczy.

— Znajdujesz pan! — zawołał z hamowaną radością.

— Feeryczne!

— Toż kosztowało urządzenie tych kilku pokoi czterykroć sto tysięcy! ale nie żałuję...

Wtem muzyka urwała, a równocześnie mężczyźni zapełniając salony i oranżerję, przerwali Kohnowi i Witoldowi dalszą rozmowę.

Do Kohna podszedł hrabia Koroński z kieliszkiem szampańskiego w rękę.

— *Excellent* — zawołał — *de première qualité!*



— *Monopole!* — odparł Kohn — mówią, że to najlepsze.

Do Witolda przysunął się Bywalski i szepnął.

— Chodźmy do bufetu! jest tam, mówię ci, tak doskonały kawior, jakiego nigdy nie jadłeś, coś nadzwyczajnego! a to teraz właściwa pora. Nie masz pojęcia, jak kawior zaost zony cytryną, podnieca apetyt... a kolacja będzie o pierwszej.

Tak prawił Bywalski, podczas gdy przechodzili do bufetu. — Tu już nie jeden, podzielać zanie Bywalskiego, zasilał się na przedce przysmakami, jakimi zastawione były stoły. Przy każdym prawie talerzu stała butelka szampańskiego wina, a prócz tego służba roznosiła je ciągle, nalane już w cieniutkich kieliszkach.

Wzorowy tu panował porządek, obmyślany w szczegółach i z góry przygotowany. Te zwykłe wypadki w innych domach niemożności dostania filiżanki herbaty, talerza, czy widelca, nie spotykały tutaj nikogo. Poszanowanie gościa posuniętem było do kulminacyjnego punktu, każda jego możliwa zachcianka z góry była wzięta pod rachubę.

Witold zwrócił uwagę Bywalskiego na ten szczegół.

— W finansach wszędzie prawie tak — odparł Bywalski zniżonym tonem — ostatnim razem u księżnej Druskiej nie mogłem się doprosić o filiżankę herbaty. — Gdy się przyjmuje, to się powinno tak przyjmować!

Witold naturalnie, dzielając jego słuszne

i niemogące być kontradykowanym zdanie, kiwnął tylko potwierdzająco głową.

Pani Kohn przysunęła się do nich i sama im podała srebrny talerz z jakąś morską rybą.

— Polecam panom szczególnie tę rybę — mówiła, a odsuwając z przed nich butelkę wina, dodała — nie pijcie tego tylko...

— *Pomballe!* — zawołała.

Zjawił się natychmiast widocznie ochmistrz dworu, Francuz, wyglądający na pana.

— *Vos ordres Madame!* — wyrzekł w nie-dostrzegalnym ukłonie.

— Podaj panom *veuve Cliquot* — rozkazała przyjacielskim tonem pani Kohn, a obracając się znowu do Bywalskiego i Witolda i wskazując na nową butelkę, która już przed nimi stała:

— To daleko lepsze -- dorzuciła

Rola gospodyni domu, sumiennie spełniana, nie pozwoliła jej dłużej się zatrzymać, bo *Pomballe* odwołał ją na stronę.

Ale niebawem zjawiła się panna Marja.

— Nic panom nie brakuje? zagadnęła, rzucając wejrzenie na Łęckiego, z uśmiechem tak czarującym, jak nigdy.

Podniecona tańcem, okryta rumieńcem, ozywiona, była prześliczną.

W salonie orkiestra zabrzmiała mazurem i w jednej chwili wypróżnił się bufet, Witold zostawiając Bywalskiego pospieszył do sali balowej.

Do Bywalskiego przysunął się Kohn i usiadł obok niego...

— Cóż, pijesz szampana? lepiej napij się sta-

rego węgrzyna, jest doskonały! kupiłem w Krakowie. Któż to jest ten pan Łęcki? — zapytał — zdaje się bardzo miły młodzieniec... rozmawiałem z nim.

— To obywatel z Podola — odparł Bywalski — syn znakomitej kobiety, którą bardzo wielbię, syn Andrzeja Łęckiego, o którym może słyszałeś?

— Aha... ale Andrzej Łęcki w ostatnich czasach był zrujnowany.

— Tak... ale teraz Łęcki jest właścicielem cukrowni.

— Cukrowni?

— W Zyblówce!

— Tak... ha... znam ten interes, ma przyszłość!

To mówiąc pan Kohn wyglądał, jakby był pod wrażeniem niespodziewanej, a niemiłej wiadomości.

— Nie wiedziałem! — mruzczał sam do siebie Kohn, a Bywalski z pod monokla rzucił na niego nieokreślone wejrzenie i niby od niechcienia bąknął.

— Mógłby się doskonale ożenić!

— Z majątkiem?

— Jakby chciał!

— Czyż teraz — ciągnął dalej Kohn — w naszym świecie są jakie partje?

— A — odparł Bywalski — są zawsze. Jest i tego roku kilka panien, co można rachować po sto do dwakroć...

Kohn się zaśmiał.

— Po sto może... od biedy... po dwakroć

wątpię. Ja Maryni daję na stół tylko dwakroć, ale daję... ja...

— No tak, ale twoje córki można rachować... ?

Kohn zrobił minę, godną milionera i pana i przerwał.

— Co można rachować, to długa historia. Nie mogę powiedzieć, aby mi nie szło, ale ja dużo potrzebuję. Zresztą wiesz, jak to u nas idzie. My dbamy o dzieci, choć je już wydamy. Marynia dostanie dwakroć, ale dolicz do tego moją pomoc w każdym interesie i wypadku. dolicz prezenta i różne dogodności, a uczyni to trzykroć, jeśli nie więcej. Ale słyszałeś? Angielski siedzi na pieniądzach, a zięcia jego sprzedają. Mówi w klubie, że posag co do grosza wypłacił. Haha ha... tak u was, a u nas Kinstein obiecał sto, a dał już trzykroć.

Bywalski dalej zajadał, a Kohn, łyknąwszy pół kieliszka wina. dodał.

— Ten twój Łęcki bardzo miły chłopiec.

Wtem książę Oleśnicki wchodził do bufetu i ku niemu zaraz się rzucił Kohn.

Bywalski z zaostrzonym apetytem ruszył się z miejsca i nakładając monokl, poszedł do sali balowej.

Pani Kamińska zatrzymała go we drzwiach, a wskazując mu miejsce obok siebie, zagadnęła :

— *Monsieur* Bywalski! siadaj pan tutaj, pomówimy.

— Służę!

— Ja ztąd obserwuję — mówiła matrona — bardzo piękny bal... to zdaje mi się, pański dobry znajomy pan Łęcki?

— Tak pani!

— Prezentowała mi go u Lewiczów pani Paryska. Wie pan... zdaje mi się... iż myśli się o Kohnównę starać.

— Co pani mówi? dziś ją pierwszy raz widzi.

— No mówię panu, ja mam dobre oko...

— To może mu się podoba, ale...

— Jest bogaty?

— Nie potrzebuje.

Pani Kamińska spojrzała bystro na Bywalskiego i po pauzie dalej mówiła.

— Powinieneś go pan ożenić.

— I owszem? ale z kim?

Matrona nachyliła się do ucha Bywalskiego i szepnęła.

— Z kimkolwiek, byle nie z żydówką, kochany panie Bywalski! a mówię panu... *prenez garde!*

Zamiast odpowiedzieć, stary światowiec potoczył oczami po sali, szukając Witolda. Znalazł go w chwili, jak tenże podawał rękę pannie Kohn, zapraszając ją do mazura. Oczami ścigał za nimi. Młoda para przebiegając salę coś z sobą szeptała, panna Kohn wyglądała szczęśliwą, a na twarzy Łęckiego malowało się zajęcie i zadowolenie

— Hm... być może... Witold nie głupi — zamruczał sam do siebie Bywalski, a obracając się do swej towarzyszki, odpowiadał:

— Proszę pani... dlaczego?... po Landerbergówniej i Tarłowskim każdy może się żenić.

— Więc pan...?

— O! nie pani, nie... Owszem bardzo byłbym przeciwny i ani przypuszczam... nigdy.

Tak uspokoiwszy co do Witolda panią Kamińską, Bywalski jeszcze moment ją zabawił, a korzystając z pierwszej chwili, w której jej córka miała coś z nią do pomówienia, oddalił się...

Wyszedł z salonów i podążył na drugie piętro. Otworzył jedne z drzwi, prowadzących ze schodów i znalazł się w męskim gabinecie.

Gabinet ten był arcydziełem komfortu.

Ściany jego ozdobiły paryskie dywany, posadzka pokryta była jedną skórą niedźwiedzia. Wygodne fotele i sofy gęsto ustawione, zapraszały do odpoczynku. Lampa w kształcie alabastrowej kuli, rzucała przytłumione światło.

Bywalski zbliżył się do aparaciku, umieszczonego w jednym z kątów i przybliżając usta do rury, cicho zawołał.

— Karol jesteś?

W chwilę dał się słyszeć głos przytłumiony, jakby z piwnic wychodził.

— Jestem!

— Obudzisz mnie przed kolacją! — znów wyszeptał do rury Bywalski, poczem zaraz zdjawszy frak, rzucił się na miękką sofę, przykrytą lwią skórą.

Bywalski bowiem miał zwyczaj przesypiania się przed kolacją. Twierdził, że to nie tylko bardzo odświeżało jego siły i umysł, ale nadto podniecało apetyt. — Pewny, że go Karol na czas obudzi, zasnął natychmiast.

Tymczasem Kohn rozmawiał w bufecie z księciem Oleśnickim, który zajadał kawior, popijając winem szampańskim.

— Nie ulega żadnej wątpliwości — mówił bankier — że akcje kolei Nadbużnej dziś, a ju-



to pojda o dwadzieścia od sta w górę, jak też nie ulega wątpliwości, że akcje cukrowni Smeryńskich spadną.

— Gdyby to było pewnikiem! — mruknął książę, połykając pół szklanki szampana, bo pijał go zwykle szklanką, o czym Kohn wiedział.

— Skoro mówię księciu, to proszę mi wierzyć, że jest pownikiem.

Książę przybliżył się do Kohna, i bardzo cicho mówił.

— Bo widzisz pan, mam ze sto tysięcy leżących u Landesberga, a mam też i akcyj Smeryńskich za ośmdziesiąt tysięcy.

— Więc możesz książę — cedził Kohn, zastanawiając się nad każdym słowem — możesz książę zarobić w kilku dniach około trzydziestu do czterdziestu tysięcy.

— Gdyby to było pewnikiem! — westchnął książę.

— Ależ proszę mi wierzyć! — zawołał Kohn.

— Kiedy to?

Kohn znowu się przybliżył do księcia.

— Jak książę wiesz — szeptał — kurs akcyj Smeryńskich ja trzymam w ręce, a o kursie akcyj kolei Nadbużnej mogę panu pokazać telegram.

— Ależ proszę, jeśli pan sądzisz, że mogę śmiało iść na pewniaka... to...

Tu książę podał rękę Kohnowi, którą ten delikatnie uścisnął, mówiąc:

— Szczęśliwy bym był. Chodźmy!

Obaj wstali, przechodzili przez korytarz, gabinety i salony. A wyglądali oryginalnie, ten

wielki pan, wyniosłej postaci, przy Kohnie. Wszyscy za nimi się oglądali.

Kohn uchylił portjery, otworzył drzwi i znaleźli się w jego prywatnym gabinecie.

Pokój ten był urządzone z komfortem, ale bez zbytku. Meble kryte były skórą czarną, dywan miękki przygłuszał kroki. W około ścian biegły szafy do sufitu z książkami. Na środku stał stół przykryty sukniem i papierami.

Kohn w milczeniu pokazał księciu telegram, leżący między papierami na stole.

Oleśnicki głęboko się zamyślił.

— Ależ czy akcje Smeryńskie rzeczywiście spadną?

— Jutro rano o pięć od sta niżej dzisiejszych notowań, a notowanie dzisiejsze masz pan.

Kohn podał drukowaną bibułę księciu. Ten głęboko zamyślony usiadł na fotelu i dobry kwadrans myślał.

Zerwał się wreszcie i zawołał:

— Więc na pana odpowiedzialność każe kupić za sto tysięcy jutro akcji Nadbużnych, a sprzedać akcje Smeryńskie.

— Bezwątpienia... im prędzej, tem lepiej!

— Może pan masz telefon do Kinszteina.

— Mam!

— A do Landesberga?

— Również.

— Czy teraz tam?...

— Oh! całą noc... proszę!

Kohn nakręcił aparat telefonowy, ukryty w szufladzie swego biurka i skomunikował się z bankiem Landesberga. Poczem podał tubkę księciu i sam się oddalił w głąb pokoju.

Księżę długo rozmawiał to dzwoniąc, to nakręcając aparat.

Wreszcie wstał i zawołał :

— Zrobione!

— Winszuję księciu! — odparł Kohn, ścisnąc mu rękę i zamykając szufladę.

Co dopełniwszy, obaj powrócili do salonów, księżę z wypiekami na twarzy, a Kohn spokojny, jak zwykle.

Właśnie przechodzono do kolacji, przygotowanej w wspaniałej sali jadalnej, okrytej gobelinami, oświetlonej światłem, płynącym z dwóch weneckich żyrandoli.

Pani Paryska rezerwowała miejsce obok siebie dla księcia, który też przy niej usiadł. Bywalski nieco zaspany, pojawił się we drzwiach i znalazł jeszcze miejsce.

Szukał oczami Witolda. Znalazł go. Młodzieniec siedział przy jednym ze stołów obok panny Kohn i panny Lewicz.

Pani Kohn i młodsza jej córka robiły honory, dozorowały służbę. Niezapominały o niczem i o nikim.

Łękiego zadziwiła ta nadzwyczajna gościnność. Zaledwie pomyślał, a myśl jego przechodziła w wykonanie.

Wino szumiało, gwar się wzmagał, wesołość stopniowo wzrastała w miarę, jak pękały butelki, a wykwintne półmiski obiegały jedno po drugim.

Kohn obszedł stoły, zauważył najdokładniej, kto przy kim siedzi, kto z kim rozmawia, podchwycił niejednen uśmiech i urywek niejednej rozmowy i zbliżył się wreszcie do marszałka dworu.

— *Pomballe!* — szepnął — nie żałuj, szczególnie szampana, nie żałuj.

To powiedziawszy, wyszedł z sali jadalnej, przeszedł przez wszystkie salony i powrócił do swego gabinetu.

Znowu otworzył szufladę z telefonem i nakręciwszy aparat, skomunikował się ze swym kantorem.

— Słucham! — odpowiedział głos jego pierwszego kantorowicza.

— Jutro rano — mówił cichym głosem Kohn — bank Landesberg sprzeda na giełdzie akcje cukrowni Smerneńskich za osmdziesiąt tysięcy. Rozumiesz?

— Rozumiem — odezwał się dziwnie cichy głos.

— Kupić! — rozkazał Kohn.

Jeszcze chwilę rozmawiał ze swym kantorowiczem, chcąc się przekonać, czy dobrze zrozumiał rozkaz, poczem zamknąwszy aparat, zabierał się do wyjścia.

Wtem wpadł do jego gabinetu młody mężczyzna, rozochocony winem.

— Panie! — zawołał — chciałbym zatelefonować do redakcji.

Kohn otworzył znów szufladę.

— Cóż tak pilnego, panie Antoni? — zapytał.

— Chciałbym — odparł młodzieniec — aby w rannym jeszcze numerze umieszczono relację o balu pańskim.

Kohn się uśmiechnął i znów podał tubkę panu Antoniemu, który usiadł i telefonował.

— Bal u Kohnów, do dziewiątej rano, osmdziesiąt par, śliczny kotyljon, — z osób wybi-

tniejszych, konsul austriacki, prezes banku, minister finansów, generał Reder, szambelan Lasowski...

— Dodaj i an — wtrącił Kohn, który uważnie słuchał — księcia...

— A! prawda! — zawołał pan Antoni i dalej zatelefonował — księżu Oleśnicki.

Skończył i tubkę przyłożył do ucha, bo dla pewności z redakcji nazad mu telefonowano, co dopiero był powiedział.

Tymczasem Kohn przybliżył się do niego.

— Wiesz co? kochany panie Antoni — zagadnął — akcje cukrowni Smerneńskich na łeb spadają

— Jak?

— Dziś o pięć od sta, jutro spadną może więcej.

— To ważne — odparł pan Antoni — zatelefonuję i to, to ważne!

— Telefonuj pan, że akcje grożą jeszcze większym spadkiem, niż w trzech ostatnich dniach. Wydatki cukru o dziesięć od sta niższe, niż przeszłego roku.

Pan Antoni jeszcze chwilę bawił przy biurze, poczem obaj powrócili do salonów, gdzie się już kotyljon zaczął.

Kohn zbliżył się do żony.

— Wiesz co? — szepnął — na spadku Smerneńskich grubo zarobimy, a i księżu wymyśliłem dobry interes.

Pani Kohn się uśmiechnęła i jeszcze ciszej odpowiedziała mężowi.

— Temu młodemu Łęckiemu bardzo Mary-

nia się podoba.. uważaj tylko. Żeby to było możliwem . - dodała z westchnieniem.

— Bardzo trudna sprawa... — mruknął Kohn.

— Dla czego?

— Łatwiej księcia, jak szlacheica! — odparł Kohn i wszedł do głównej sali tańców, gdzie w framudze okna siedział Witold z panną Kohn.

Nadzwyczajny kotyljon, z wyszukanemi figurami, z niespodziankami i prezentami trwał już od godziny.

Każda figura zadziwiała wszystkich, bo była nową i pierwszy raz widzianą. — Opowiadano sobie, że same przybory do kotyljona kosztowały pięćset rubli i sprowadzone były z Wiednia.

Dla niego też dużo osób pozostało u Kohnów, nawet ksiązę, który zwykle zaraz po kolacji się wynosił, dosiadywał jeszcze.

Księżna Ursynowa tańczyła w pierwszej parze i bawiła się, jak królowa, a pani Paryska jeszcze lepiej.

Witold rozmarzony wpatrywał się w piękne oczy panny Marji. — Czuł się szczęśliwy jak nigdy, uczucie całkiem mu obce ogarniało go całego, a uczucie to zdawało mu się być bardzo miłym i uroczem.

Nie zdawał sobie z niego sprawy, przyznawał sobie tylko, iż panna Kohn mu się bardzo podobała.

Zachwycała go nietylko jej śliczna powierzchowność, ale czuł się także pod urokiem coraz to nowych odkrywanych w niej zalet.

Gdy kotyljon miał się ku końcowi, Łęcki zagadnął nieśmiało swą danserkę :



— Czy pani jutro także będziesz odbywać codzienny spacer na Nowym Świecie?

— Zapewne? a co?

— Nie pani, chciałem tylko wiedzieć, czy będę miał to szczęście widzenia pani, choć przez sekundę, jutro.

— To pan nazywasz szczęściem? — zaśmiała się panna Marja, poglądając figlarnie w oczy Witoldowi.

— Nie nazywam, tylko to jest mojem szczęściem!

Panna Kohn bardzo zarumieniona, opuściła główkę, a równocześnie *Vortänzer* zawołał:

— Wszystkie pary!

Nad ranem już dniało, gdy Witold wyszedł z pałacu Kohna i piechotą podążył do hotelu.

Bywalski nie mógł się go doczekać i znacznie wcześniej opuścił bal. Witold zaś był do ostatka.

#### IV.

Od balu u Kohnów minęły trzy tygodnie.

Ten czas dla Witolda był jednym pasmem walki wewnętrznej. — Miłość silna, wszechwładna do Marji opanowywała go coraz mocniej i powoli zagłuszała wszystkie inne uczucia. Dwadzieścia i kilka dni wystarczyło, aby wyrugować z jego serca wszystkie przesady i wstręty, i oddać je całej potędze wzrastającego uczucia.

Codzień prawie dochodził siłą rozumowania do wyniku, iż ta miłość do niczego doprowadzić nie może, iż jest czystą niemożliwością, ale cóż z tego mu przyszło, skoro jedno spojrzenie smętnych ocz Marji rozpraszało wszystkie przedsięwzięcia i postanowienia.

Marja powoli stawała się jego ideałem.

Nietylko działała na niego jej piękność, lecz także wszystkie zarysy i odcienie jej charakteru.

Łecki znajdował, że nie może istnieć na świecie druga kobieta, mająca te, co Marja miała, zalety i cnoty charakteru i duszy.

Była ona dla niego ideałem — bóstwem! A zdawało mu się, że ją poznał całą i dosko-

nale, bo od owego balu codzień prawie ją widywał.

Jakkolwiek długo unikał pałacu Kohna, spotykał Marję na balach, na ulicy, w innych miejscach publicznych.

A raz, gdy ją spotkał, gdy wejrzenia ich się skrzyżowały. Witold tracił przytomność i moc nad samym sobą. — On kochał! kochał prawdziwie. Tej miłości nie studziły ironiczne uśmiechy świata, ani jego intrygi, owszem wzmacniały ją może urokiem owocu zakazanego.

Później, gdy uczuł, że jest zupełnie wobec swych zmysłów i uczuć bezsilnym, gdy nieraz stwierdził, że żar gorących ocz Marji więcej może, niż wszystkie przywoływane przez niego ratunkowe środki, rzucił się na oślep w tę miłość, w której poddaniu się widział tylko zadowolenie i szczęście!

W ostatnim tygodniu bywał stale i codzień u Kohnów, którzy zaczęli go uważać za starającego się o rękę ich córki.

Nie analizował już tego domu, w którym wszystko mu się podobało, bo wszystko blisko obchodziło tę, którą codzień więcej kochał.

Powoli zaczął widzieć tylko dobre strony tego świata, który z pozorów dotąd mu był wstrętnym.

Zadziwiwały go pewne rysy charakterystyczne w tym świecie, których nie przypuszczał, a które się kryły pod światową powłoką.

Ta zabiegliwość i pracowitość Kohna, to do najwyższego stopnia posunięte poszanowanie ogniska domowego, to prawdziwe, bałwochwal-

cze przywiązanie do rodziny, do żony i dzieci, zdumiewało go w próżnym pozornie bankierze.

Jakże mylnie sądził ich z pozorów i gawędek świata!

W tym domu odkrywał, w miarę, jak go poznawał, cnoty, o których pojęcia nie miał.

Było coś patryjarchalnego w stosunku Kohnów do całej obskurnej jeszcze ich rodziny, do członków ich bankierskiego domu.

Było coś wyższego w staranności wychowania, jakie pani Kohn swym córkom dawała, w poglądach na obowiązki człowieczeństwa, które wygłaszała.

W tym domu interesowano się wszystkim: sztuką, literaturą, dziennikarstwem, sprawami kraju, miasta i wsi, przemysłem i nędzą. W tem było coś żywego, podnoszącego duszę i człowieka. Ten interes tworzył jakiś silny węzeł między nimi a całym światem, węzeł, którego brak, czuł to teraz Witold, był powodem strasznej czczości w świecie hrabiny Korońskiej i Lewiczów.

Wszystkie prądy społeczne znajdowały odgłos w pałacu Kohna.

Co środa pani Kohn ze swą starszą córką oddawała się odwiedzaniu biednych w różnych zakątkach miasta. Witold raz im towarzyszył. Zdumiony przyglądał się temu szczeremu zajęciu się biedą i potrzebami ludzkości dwu zamkniętych w zbytku kobiet.

Z upokorzeniem spostrzegął, że pod wieloma względami, wykształceniu jego nadano mniej szeroki widnokrąg od tego, jaki przewodził w wychowaniu Marji.

W niej widział doskonały materiał na oby-

watelkę i Polkę, na kobietę domowego ogniska, która pójdzie z nim ręką w rękę i wykształconem sercem, łatwo poślubi razem z nim poglądy i dążenia jego.

Witold zawsze marzył o domowym szczęściu, zamkniętem w rodzinnem kółku i wypełnianiu społecznych obowiązków.

Ta kobieta, lubiąca wieś, wysoko wykształcona, żywo się interesująca światem myśli i sztuką, pojmująca serjo obowiązki obywatelki i majątku, odpowiadała mu zupełnie na żonę.

Przecucie tylko strasznej burzy w swej rodzinie i sąsiedztwie Żyblówki, oporu ze strony ukochanej matki, przywiązanej bałwochwalczo do tradycji i jej przesądów, wstrzymywało formułujące się na jego ustach oświadczenie się o rękę Marji.

Ale ta walka długo potrwać nie mogła, bo Witold był codzien więcej zakochanym, a temsamem codzien obojętniejszym na poglądy świata i światków, przesady tradycji i uprzedzeń...

Serce jest największym panem człowieka.

Wreszcie po trzech tygodniach takiej walki obudził się raz Witold więcej, niż kiedykolwiek rozmarzony i bądź co bądź, na wszystko zdecydowany.

Obudził się bardzo późno, z głową przepełnioną myślami, które w nocy mu nie dawały usnąć.

— Trzeba skończyć — szeptał sam do siebie — szczęście droższe od przesądów!

Zebrał się na pędce, jakby mu gdzieś spieszo było się udać.

A gdy już gotów był do wyjścia, zaczął obiegać swój pokój. Głowa jego pracowała, jak

nigdy. Wyobraźnia biegła po całym kraju, po przyszłości i przeszłości. Naprzemian stawała mu w oczach to Marja z swem zakochanem spojrzeniem, to matka jego, którą po niej najwięcej kochał.

Ale te myśli były to już myśli schorzałej i zbolełej głowy, mózgu zagłuszonego gwałtownymi uderzeniami młodego i zdrowego serca.

Wczoraj Witold był się prawie oświadczył Marji w jednej z tych chwil, w których o wszystkim przy niej zapominał.

Chciał coś dalej robić. dalejkonsekwentnie działać! ale co, nie wiedział.

Dotąd uważał się za człowieka z charakterem i wolą. Tak jeden, jak i druga, słabły wobec wrodzonego wstrętu krwi aryjskiej, czy też wobec przesądów, w których się wychował.

Przypomniał sobie Jańskiego, ktorego od kilku dni już nie widział, którego unikał nawet, jak unikał wszystkich od pewnego czasu.

Chciał iść do niego, gdy się drzwi otworzyły i elegancki lokaj w kawowej liberji od Kohnów, wręczył mu pachnącą kopertę, na której monogram z E. K. tworzył jakiś stylowy staroniemiecki ornament

Był to bilet od pani Elżbiety Kohn.

„Kochany panie! — pisała ona po francusku — jeśli pan nie masz na dziś innych projektów, to przyjdź do nas na objad. Będziemy ci radzi i szczęśliwi,“

Ten bilet po jego pół-oświadczeniach wczorajszych był bardzo ważnym.

Czasu do namysłu nie było, bo lokaj wyprostowany czekał.



— Dobrze! proszę odpowiedzieć — wyrzekł pomieszczonym głosem.

Lokaj się wysunął, a Witold dalej dumął i szeptał:

— Skończone! człowiek, który się szanuje, nie ma tutaj wyjścia.

Chciał iść do Jańskiego, ale równocześnie wbiegł Koroński.

Łęckiemu ta wizyta bardzo nie była na rękę, ale nadrabiając miną, przyjął gościnnie hrabiego.

— Nie widać cię w świecie — wołał Karol — zniknąłeś, jak kamfora! tylko głuche słuchy dochodzą o tobie.

— Siadaj mój drogi — odparł Witold, podając Korońskiemu krzesło.

Nie przyszedłem mój Witoldzie z ceremonjalną wizytą. Wpadam tylko do ciebie z pewną, prawie delikatnej materji, rzeczą, gdyby między tak dobrymi przyjaciółmi, jak my, mogło być co delikatnej materji...

— Zapewne! mów! — odpowiedział Witold i usiadł naprzeciw przyjaciela.

— Otóż — zaczął Koroński — moja matka, która cię bardzo polubiła, wciąż robi dla ciebie różne projekta.

— Doprawdy?

— Między innymi, zapaliła się nad wyraz do projektu ożenienia cię z panną...

Łęcki zbladł, a Koroński urwał, i po chwili zawołał:

— Bledniejesz! nie bój się!

— Ależ proszę! mów!

— Otóż chcemy cię ożenić... ożenić z panną Kamińską.

— Wiesz, że prawie jej nieznam.

— To nic nie szkodzi. — Partja bardzo dobra. . panna piękna... alianse doskonałe... nazwisko *enfin* bardzo dobre... majątek jest...

— Mój kochany Karolu — przerwał Witold — czyż alianse, nazwisko i majątek dają szczęście?

Koroński się zmięszał.

— Jak kto uważa — zamruczał.

— Pod względem małżeństwa widzisz — mówił Łęcki — mam zupełnie odmienne poglądy, aniżeli ty widocznie i świat. Partja dla mnie jest wyrazem nieskończenie głupim...

Koroński ruszył ramionami i uśmiechnął się ironicznie, a Łęcki dalej ciągnął.

— Najlepszą partją w życiu byłaby kobieta, którą się kocha i która kocha. Aljanse etc. etc. są to mrzonki, w życiu nie dające ani szczęścia, ani spokoju, ani zadowolenia.

— Masz pod tym względem zupełnie odmienne pojęcia — przerwał Karol.

-- Zupełnie — podchwycił Łęcki — jakże bym ja sam sobie wydawał się śmiesznym w poszukiwaniach partji, która jest hasłem w świecie waszym, w świecie ludzi, żyjących próżnością i niczem więcej!

— Wszak to i twój świat?

— Zapewne! jednakże sposób mój patrzenia na małżeństwo jest z gruntu innym. Od biedy rozumiem młodych ludzi, chcących utrzymać świetność rodziny i w tym celu robiących z małżeństwa partję, poświęcających siebie dla idei czy

luby; lecz powiedz sam, czyż ja miałbym jakiegokolwiek wytłumaczenie, gdybym dla partji poświęcił szczęście domowe, możliwe tylko w spółce z kobietą, sercem wybraną? Ja jestem sobie Łęcki, dobry podolski szlachcic. Księżniczka mnie nie podniesie, a miljon mi nie da szczęścia, a cóż dopiero aljanse i jakie stotysięcy?

— Wszak każdy powinien starać się iść w górę.

— Więc iściem w górę nazywasz być spowinowaconym z kilkoma rodzinami z warszawskiego świata?

— Jesteś w paradoksach...

— Jestem w prawdzie. Czyż dobrą i zasłużoną rodzinę Łęckich podniesie małżeństwo z hrabianką, krewną pani Paryskiej, znakomitej ze swej figury i pana Skorońskiego, słynnego z wypitych butelek?...

— Jesteś demagog!

— Albo czyż mnie do szczęścia się przyczyni małżeństwo z panną, którejby całe życie się zdawało, że zrobiła mezaljans, bo wyszła za szlachcica! Zresztą, co to o tem mówić! Te same słowa, jedynie w waszym leksykonie słowa „partja“, „aljans“, „mezaljans“, charakteryzują doskonale punkt wyjścia w waszych zapatrywaniach na małżeństwo. Wierzaj mi, że z tego punktu widzenia zawarte małżeństwa mogą być tylko wypadkowo dobrymi i szczęśliwymi.

Koroński przypatrywał się Witoldowi z pewnym wyrazem pogardy w oczach, a gdy tenże skończył, nie odpowiadał, tylko pogwizdywał.

Obaj milczeli dość długo. Wreszcie zawołał Koroński.

— Wiesz, co za infamię puszczają na ciebie?

— Cóż takiego?

— Że się starasz o pannę Kohn!

Łęcki zbladł, wargi mu zadrgały nerwowo, krew uderzyła do głowy.

— Więc — wycedził, starając się utrzymać zimną krew — więc znajdują, że toby było infamią?

— No chyba!

— A ja widzisz — szybko dalej mówił Łęcki — znajdują, iż daleko mniejszą infamią byłoby małżeństwo z panną Kohn z czystych pobudek uczucia zawarte, od aljansu dla aliansu, czy majątku z księżniczką Swiatopełkówną n. p.!

Koroński znów poczerwieniał, bo uczuł się do żywego draśniętym. Wstał i zawołał.

— Jeśli myślisz, że przyszedłem na to, aby sobie wzajemnie przycinać...

— Ach! bynajmniej, każdy ma swoje wolne zdanie.

— Chciałem... z życzliwości.

-- Wierzę ci!

Podali sobie ręce i obaj wyszli, bo Łęckiemu pilno było do Juńskiego.

Pan Jan miał kłopot na tem samem pięttrze i właściwie zabierał się do opuszczenia mieszkania, gdy wszedł Łęcki.

— Kochany panie! — zawołał tenże zaraz w progu — mam do pana ważny interes?

— Cóż takiego? Mina twoja mnie przestrasza!

— Czyż być może? — Siadaj pan i uważaj,

bo potrzebuję rady zdrowej, bezstronnej i przyjacielskiej.

Jański wyglądał na razie przestraszony tym wstępem, bystro spojrzął Witoldowi w oczy i domyślił się zaraz, że chodzi o coś ważnego.

Zamknął na klucz drzwi, idące na korytarz, a powróciwszy, podał Łęckiemu fotel i sam siadając, zagadnął.

— Radą przyjacielską służę ci teraz i zawsze, a mów prędko, bo będąc wrażliwym, boję się...

— Niczego pan się nie domyślasz? — zapytał Witold.

— Niczego! — odparł zdziwiony Jański.

— Nic pan o mnie nie słyszałeś w ostatnich dniach?

Na Jańskiego twarzy malowała się konsternacja.

— Nic — wybełkotał.

Nastąpiła dość długa chwila milczenia, Łęcki nie wiedział, jak zacząć, Jański przeczuwał katastrofę.

Wreszcie Witold zaczął.

— Kochany panie Janie!

— Co?... mów!

— Ach! jakże ja głupi! — zawołał Łęcki, robiąc minę zniecierpliwioną — zdecydowany jestem dziś się oświadczyć o pannę!...

— O kogo? — podchwycił Jański. a twarz jego okraszał wyraz radości.

— O pannę Kohn! — prędko wyrzucił Witold.

Piorun by nie sprawił innego na Jańskim wrażenia. Zbladł, oczy w słup wytrzeszczył i nieruchomy siedział.



Milczenie, niczem nie przerwane, wydawało się nieznośnie długiem. Łęcki dla nadania sobie kontenansu, zapalił cygaro. Jański kilka razy otwierał usta, lecz słowa mu na nich zamierały. Czekał, aż ochłonie. Wreszcie zawołał.

— To Bywalski chyba mógł się przyczynić do tego nieszczęścia!

— Nieszczęścia?

— Jakże inaczej!... — czyś się dobrze zastanowił? Czy rozważyłeś ten projekt? Czy znasz ich przynajmniej. Jakże cię oni złapali? Boże mój!

Witold rzucił oczami na pana Jana i przeziął się, tak twarz przyjaciela odbijała straszne wewnętrzne przejście.

Po długiem znów milczeniu, Łęcki spokojnie zaczął Jańskiemu opowiadać w głównych tylko zarysach, dzieje swej miłości od samego początku.

Pan Jan słuchał uważnie, a przypatrywał się Witoldowi, jakby zupełnie nowemu człowiekowi, w którym jakiś niezbadany odcień charakteru teraz dopiero odkrył. Wyglądał, jak gdyby nie wierzył słowom, płynącym z ust Witolda, jakgdyby go cichaczem posądzał o nieszczerłość, o zupełnie przeciwne rzeczy, od tych, jakie wygłaszał. Witold zaś tak kończył.

— Przekonawszy się, że w tem małżeństwie znajdę szczęście, że mi ta kobieta pod każdym względem odpowiada, postanowiłem dziś się oficjalnie oświadczyć.

— Czyś oszalał? — zawołał Jański.

— Nie, kochany panie.

— A twoja matka?



— Nic by nie zmieniła, gdyż moje postanowienie, jak panu opowiedziałem, jest wynikiem bardzo ciężkiej i długiej walki.

— Niestety! — zawołał Jański i załamał ręce, a w oczach jego stanęły dwie łzy — cóż powie twoja kochana matka? Co by powiedział twój ojciec, kochany Andrzej!

Witold milczał.

— Czy ty myślisz? — zawołał Jański, zrywając się z fotelu — czy ty myślisz, że choć jedna osoba uwierzy, że się żenisz z panną Kohn z miłości? Powiedzą, że się sprzedajesz, za głupie ..

Wiem o tem!

— Ależ człowieku — wołał Jański w formalnej desperacji, łapiąc się za głowę — czyś się zastanowił, jakie to wywoła wzburzenie. To będzie pierwszy wypadek u nas na Podolu, pierwszy wypadek w szlachcie. Zastanów się! Ojciec ci zostawił takie piękne, popularne, cieszące się szacunkiem i poważaniem kraju nazwisko, a ty je otoczysz skandalem!

— Przesadzasz, kochany panie Janie — przerwał Łęcki.

— A! bo odchodzę od zmysłów Witoldzie! — wołał Jański — bo wiesz jak kocham wasz dom, jak czciłem twego ojca, jak szanowałem wasze gniazdo. Gdy pomyślę... Łęcki z panną Kohn! Łęcki, syn Andrzeja, wnuk oboźnego... wielki Boże!

Pan Jan obejmował głowę obiema rękami i biegł wszerek i wzdłuż pokoju.

— Łęcki z panną Kohn! — szeptał. — Łęcki z panną Kohn!

Witold milczał i czekał, aż przyjaciel jego ochłonie, a znając go, nie spodziewał się nigdy takiego wybuchu. Wiedział, iż jest antisemitą i nieprzyjacielem finansów, lecz nie przypuszczał tak silnego i rdzennego wzburzenia.

Jański chciałby rozdrażnić Witolda, stoczyć z nim jedną z tych szermierek przekonania, lecz niczem nie mógł go wyprowadzić z korbów zimnej krwi. Stał przed nim, załamał ręce i zapytał.

— Więc to prawda? nieodwołalna, niezmienna?

— Powiedziałem panu — odparł Witold — że się wczoraj oświadczyłem pannie, a dziś mam zamiar oświadczyć się rodzicom.

— I któż cię będzie oświadczał?

— Zapewne Bywalski — odparł — bo niktby inny tego się nie podjął może.

— Zapewne! a to hultaj ten Bywalski — ciągnął dalej pan Jan, to ochłaniając, to na nowo się wzburzając — on tego wstydu nam narobił, on cię tam ciągnął, ten pieczeniarsz! Gdybym był przypuszczał...

Z chwili, w której pan Jan wyglądał nieco uspokojony, skorzystał Witold i tak go zagadnął.

— Kochany panie! z jakiegoż względu właściwie tak mnie potępiasz i błotem obrzucasz, skoro ci mówię, że tylko prawdziwe uczucie...

— Ah! nie mów mi o uczuciu — przerwał gwałtownie Jański — bo nie wierzę w żadne uczucie dla panny Kohn! Nie wierzę! Zawsze hołdowałaś, od dzieciństwa hołdowałaś złotu, owoce!

Witold czerwony od obelgi, wstał.

— Panie Janie! — przerwał — nie cię nie upoważnia do zarzucania mi...

Ton ostry Witolda wzburzył do reszty Jańskiego, który o ile był łagodnym zwykle, o tyle był porywczym w danym razie.

— Rób sobie, co chcesz! — zawołał — ja cię nie znam od chwili, w której będziesz narzeczonym panny Kohn — a teraz zostaw mnie samego, potrzebuję ochłonać... w niczem mnie nie przekonasz.

Gorączkowo podał rękę Witoldowi i pożegnał go.

Łęcki wyszedł cały wzburzony, na pół przytomny. W oczach wszystko mu się migało. W wyobraźni mąciło się wszystko, bo też i nigdy Jańskiego nie widział w stanie takiej alternacji.

Wybiegł z hotelu i skierował swe kroki w stronę Krakowskiego przedmieścia. Szedł prędko, jakby pędzony jakąś myślą, niecierpiącą zwłoki. Na twarzy jego malowało się cierpienie, ale w wyrazie jej, w zaciśniętych ustach, w oczach odczytać można było silną, coraz silniejszą decyzję.

Zdawało mu się, iż natrafiany opór wzmaga i wzmacnia jego wolę.

W kilka minut po nim wybiegł i Jański.

Pospiesznym krokiem, na pół prawie przytomny, doleciał do gmachu telegrafów, mieszczącego się w pałacu Brulowskim.

Znalazłszy się w wielkiej sali, przeznaczonej do redagowania i przyjmowania depeesz, ochłonał nieco. Uchwycił kartkę niebieskiego papieru, namyślił się chwilę i napisał:

„Pani Łęcka, Podole Zyblówka. Proszę zaraz przyjechać w interesie Witolda. — Jański“.

Oddawszy depezę i dowiedziawszy się, że jeszcze wieczór tegoż samego dnia dojdzie ona ręk adresatki, ochłonął nieco pozornie i spokojniej już wyszedł z gmachu.

Witold równocześnie pociągał już za drut od dzwonka mieszkania Bywalskiego.

Ten widocznie na niego czekał, bo sam mu drzwi otworzył, mówiąc:

— Domyślałem się, że to ty Witoldzie.

Bywalski wyglądał niewyspany jeszcze. Mimo spóźnionej pory, turecki szlafrok stanowił jego ubranie.

— Ani się pan domyślasz — zawołał Łęcki, wszedłszy do gabinetu Bywalskiego — co przybywam panu oznajmić.

Bywalski spojrział na niego bystro.

— Owszem — odparł — domyślam się. Przyszedłeś mi zapewne oznajmić, żeś się zdecydował wreszcie oświadczyć o rękę panny Marii... wiedziałem o tem od dawna. Kohnowie czekają na to od tygodnia.

Witolda twarz wyrażała zdziwienie.

Bywalski, miesząc w puszcze srebrnej mydło do golenia, chodził po pokoju i dalej mówił:

— Skoro tylko spostrzegłem, że ci się panna podoba, pomyślałem sobie, że najmądrzejsza rzecz, jaką zrobić możesz, to jest, ożenić się z nią. Bałem się tylko, aby głupie przesady szlacheckie nie stanęły ci na drodze do szczęścia, bo czyż można lepiej sobie wymarzyć. Piękna panna, jak łania, i dwakroć sto tysięcy na stół. Pomyśl tylko. Postawisz Zyblówkę etc. odrazu tak, jak

gdybyś jej nie postawił po dwunastu latach pracy, powodzenia i zabiegów. A spokój zapewniony w życiu, byt, to bardzo dużo. Zresztą weź wszystkich tych, którzy się w finansach przed tobą poženili? są szczęśliwi, nie im nie brakuje.

Mydło było rozpienione, Bywalski usiadł przy toalecie i zaczął się golić, co mu jednak nie przeszkadzało w rozmowie.

— Kwestję pieniężną zupełnie na bok odkładam — wtrącił Witold.

— To tem lepiej, choć nie rozumiem, jak można na bok odkładać kwestję dwukroć stu tysięcy... są różne zapatrywania... nie mogę jak tylko ci powinszować... Kiedyż oficjalne oświadczyń?

— Dziś idę tam na obiad.

— A szelmy! czemuż mnie nie zaprosili... ale prawda, mam posiedzenie o siódmej tej dobroczynności u hrabiny Korońskiej... ale przyjdę *dans l'avant-soirée!*

Bywalski umilkł, bo właśnie golił brodę, co wymagało więcej uwagi i sztywności, z czego skorzystał Witold i zaczął:

— Wiesz pan? Przebyłem straszną awanturę z Jańskim.

— Kpij sobie!

— Nie widziałem go nigdy w stanie takiego rozdrażnienia i co dziwniejsze, żem zgoła tego nie przypuszczał. Obrzucił mnie poprostu obelgami... odchodził od zmysłów.

— Aryjczyk stary! — mruknął tylko Bywalski.

Skończył golenie, upudrował sobie twarz, potarł ją następnie wodą kolońską, znów upudro-



wał i zrzucając z siebie rodzaj białego płaszcza, stanął przed Witoldem.

— Ale zapomniałem — zawołał lekko przerażony — a twoja matka?

— Nic nie donosiłem — odparł Witold — doniosę po fakcie, sam pojedę. Żał mi biednej matki, nie łatwo da się przekonać...

— Ej... jak zobaczy... cóż sobie myślisz mój kochany, to jedna z najlepiej wychowanych i najładniejszych panien.

— No tak, ale znasz pan szlachtę Podolską!

— Ba! niech krzyczą, a niechże który dostanie choćby drógą Kohnównę.

Bywalski zdjął szlafrok i przystąpił do dalszego ciągu ubierania się.

Łęcki go zapytał.

— Cóż pan myślisz, że krzyk będzie wielki?

— O! na to się przygotuj. Szczególnie krzyczeń będą ci, którzy sami mieli chrapkę na te dwa kroć sto tysięcy i ci, których może ubiegłeś. Dalej krzyczeń będą dzienniki, bo to już ich specjalność... następnie cały dzisiejszy obóz antysemitki... Będą krzyczeń, ale do czasu, bo mówię ci, ino patrzeć, kiedy jaki hrabicz oświadczy się o drugą Kohnównę. a tak mi się coś zdaje, że jeszcze tej zimy i Kinsteiny wydadzą za pannie swą.. jak tam się nazywa.. Wierzaj mi, ten cały hałas dzisiejszy na finanse, to polityczno-dyplomatyczna machiawellacja... i ja już coś wacham... penetruję, co przyszły rok pokaże...

Bywalski się ubrał i przystąpił do zapinania krawatki, więc też i mówić przestał w obecności zajęcia.

Jakkolwiek Witold małą przywiązywał wagę



do rozumowania Bywalskiego, to jednakże sprawiało mu ono pewne balsamiczne wrażenie. W poglądach Bywalskiego, widział prawdziwy sposób zapatrywania się na te rzeczy świata, którego cały rozum ogołocony z hipokryzji posiadał Bywalski.

Dokończywszy ubrania, i przeglądając się w dużym zwierciadle, jeszcze dodał:

— Przynajmniej teraz będę miał gdzie w lecie pojechać, bo dotąd na Podole nie można się było ryzykować... będzie jeden dom cywilizowany i światowy..

Podczas, gdy Bywalski mówił, Witold powoli przychodził do siebie, ochłaniał z wrażenia dyskusji z Jańskim.

Wreszcie spojrzął na zegarek, którego wskazówki stały na trzeciej.

Zerwał się, pożegnał Bywalskiego, z którym wieczór miał się jeszcze spotkać u Kohnów, i wybiegł.

Z Chmielnej spieszył przez Nowy Świat w stronę pałacu Ostojów.

Przyszła mu myśl zwierzenia się staremu hrabiemu, który jemu i jego całej rodzinie dużo zawsze okazywał prawdziwej przyjaźni. Jego wytrawne zdanie, pozbawione wszelkich namiętności i uprzedzeń, mogło wskazać Witoldowi drogę działania, a przynajmniej go uspokoić.

Spieszno mu było znaleźć się w gabinecie hrabiego, w którym wszystko wiało taką starożytną powagą i pańskim spokojem.

Biegł więc, bo już miał mało czasu, a chciał rozmowie z Ostoją poświęcić możliwie naj-

więcej czasu. Bał się tylko, by nie zastał u niego wizytantów.

W drodze spotkał panny Kohn.

Rumieniec oblał jego oblicze. A równocześnie połowa trosk jego się ulotniła. Choć to spotkanie było krótkie, dodało mu otuchy i humoru. Te czarne oczy Marji dziwny wpływ wywierały na cały jego ustrój moralny.

Śmiało i znacznie lepiej usposobiony, wbiegł do pałacu hrabiego, który przyjmował, jak się dowiedział od służącego.

— A, Witold! pocziwy Witold! — zawołał Ostoja, podnosząc się, jak zwykle, na fotelu.

— Panie hrabio! — zaczął od razu Łęcki.  
— Raz, gdy u niego byłem, obiecałeś mi hrabia zawsze cygaro i radę człowieka, który nigdy nie używał okularów...

Hrabia czempredzej podał Witoldowi cygaro.

— Bez tegobym się obszedł, ale bez drugiego nie — mówił dalej Łęcki — nigdy tak. Jak dzisiaj, nie oceniałem drogiej mi życzliwości pana...

— Szczęśliwy jestem — przerwał hrabia — z tego dowodu zaufania, jakie w tobie moje doświadczenia obudziły, i słucham.

Witold milczał.

Hrabia uderzająco sprytnie się uśmiechnął i sam dalej ciągnął.

— Zdaje mi się, że wiem, w czym potrzebujesz mojego zdania?...

Witold wytrzeszczył oczy, a hrabia dalej mówił:

— Był wczoraj u mnie książę Oleśnicki, który mi nabąknął... że Kohn się spodziewa...

wnie biło; to bladość, te kolory oblewały jej alabastrowe oblicze.

Nie wierzyła jeszcze swemu szczęściu, urzeczywistnieniu swych dziewiczych marzeń.

Matka spojrzała na nią z zachwytem, w którym jednak czuć było pewną domieszkę trwogi.

Obie zdawały się nie być pewnemi oczekiwanego i upragnionego wypadku.

Nie mówiły z sobą o Witoldzie, bojąc się nie zastraszyć tej płóchej sarny, jaką jest — szczęście!

Łęcki bowiem był gorąco upragnionym mężem i zięciem.

Pani Kohn poprawiwszy kilka szczegółów w toalecie swych córek, powróciła do głównych apartamentów, z których udała się do znanego nam gabinetu męża.

Kohn siedział przy biurze, które przykrywały papiery, cenniki, gazety, listy, biuletyny i depesze. — Twarz jego zdradzała dłuższą pracę umysłową — szuflada z telefonem była otwartą.

Pani Kohn usiadła na głębokim fotelu, stojącym naprzeciw miejsca jej męża.

— Czy ci nie przeszkadza? — zapytała.

— Nie... owszem... proszę cię... wypada, abyśmy pomówili.

— Właśnie...

Kohn odłożył wilgotne gęsie pióro i obrócił się twarzą do małżonki.

— Czy usłysisz — zapytała pani Kohn — że Łęcki się oświadczy o Marję?

— Jestem tego pewny! — To człowiek z

charakterem, zresztą kocha się, kocha szalenie...

— A ja wątpię — wtrąciła z smutną miną niewiasta.

— Na dowód, jak tego jestem pewny. powiem ci, że nawet poleciłem od jutra skupować na giełdzie akcje cukrowni Sybłowieckich. — Naturalnie, gdy w tym celu wypuszczę poważną sumę dwu kroć sto tysięcy, możesz mieć pojęcie, jak akcje te nagle podskoczą. — Sprawি mu to zapewne niemałą przyjemność, a w dzień ślubu wręcę mu je. Czyż może być posag wyplacony w sposób bardziej dżentelmeński?

Pani Kohn uśmiechnęła się. Lubiła bowiem w mężu tę delikatność w najnaturalniejszych postępkach.

— Nieuwierzysz — mówiła — jak się cieszę tem głównie, że on się kocha w Marji i ona w nim...

— A ja się cieszę — odparł Kohn — że to będzie w finansach pierwszy zięć bez długów... w tym fakcie leży wszystko... Bo wiesz, żeby mi tam o kilkadziesiąt tysięcy nie chodziło.

— Rozumiem cię — przerwała mu żona — lecz się obawiam tych różnych rzeczy, które to małżeństwo poprzedzą. Dowiedziałam się, iż pani Łęcka jest *tout ce qu'il y a de plus aristocrate*.

— Hm... mruknął Kohn — hm... co robić? Dla dzieci czasem i przykrości są miłemi. Byleby była szczęśliwą!

Ukryte drzwi w *boiseryi* uchyliły się cicho i na ciemnym tle gabinetu zarysowała się postać młodego mężczyzny o nadzwyczaj sprytnem semickiem obliczu.

— A wracasz? i jakże? — zapytał Kohn.

Młodzieniec oddał głęboki ukłon pani; ta mu uprzejmie i poufale skinęła głową.

Przybliżył się do biura i zaczął.

— Bardzo dobrze! Nabyłem akcyj Syblowickich za trzydzieści tysięcy... wywołało to duży popyt na giełdzie. Jutrzejsze notowania będą o jakie pięć procent wyższe.

— Hm... doskonale!

— Jednakże -- ciągnął dalej kantorowicz -- dla nadania tym papierom stałej *haussy*, radziłbym wstrzymać się z zakupem na wielką skalę.

— Bardzo trafna myśl.

— Kupować codzień za kilka tysięcy.

— Doskonała myśl!

Po twarzy młodego mężczyzny przebiegł zaledwie dostrzegalny, sprytny i przenikliwy uśmiech.

— Sądzę -- mówił -- iż zakup stały tych akcyj, byłoby korzystniej dla nas i dla Syblowickich cukrowni, powierzyć kilku podrzędnym domom bankowym czy wekslowym.

Kohn spojrział w oczy swemu powiernikowi, zerwał się z krzesła i uściskał go.

— Ty będziesz milionerem! -- zawołał, obracając się do żony dodał -- on sprytniejszy odemnie. -- Nic więcej?

— Nic! -- odparł kantorowicz i ukłoniwszy się zniknął za *boiserją*.

Zaledwie kroki jego przygłuchły, gdy otworzyły się drzwi do apartamentów, a w nich pojawił się w pełnej liberji lokaj.

— Pan Łęcki do Jaśnie pana! -- zawołał.

Pani Kohn się zerwała. Rumieniec szczęścia



oblał jej twarz taki, jakiego Kohn od dawna nie jąmiętał.

— Prosić! — zawołał bankier do lokaja, a obracając się do żony, prędko mówił — ty wyjdź! czekaj nas w małym saloniku z Marynią. Jestem rozczulony... przychodzi znacznie wcześniej...

Zaczął gorączkowo chodzić po pokoju, a mruczał sam do siebie i do żony.

— Łęcki... nie goły hrabia i nie... bankrut Lizo! co za szczęście!

W tem dały się słyszeć w apartamentach z oddali przytłumione kroki.

Pani Kohn zniknęła za ciężką portjerą, a równocześnie prawie przeciwległymi drzwiami wszedł Witold.

Pani Kohn, prawie bezprzytomna ze szczęścia pobiegła do córki. Rzuciła się jej na szyję, szeptając:

— Witold u ojca!

Marja rozplakała się jak dziecko.

Obie kobiety pozostawały długo w swoich objęciach. Szeptaly coś, szlochały, okrywały się wzajemnie pocałunkami. Odchodziły od przytomności, choć jeszcze serca ich były trwogą.

Wtem przerwał im tę chwilę szczęścia Pom-balle. Otwierając na rozcież drzwi do rzesisto oświetlonych salonów, zawołał:

— *Les salons sont eclaires, Monsieur vient de sonner.*

Nie było czasu do namysłu. Dzwonek ten oznajmiał wyjście Kohna z gabinetu

Obie kobiety, ocierając łzy, rzuciwszy prze-



lotne wejrzenie w lustro, przeszły do małego saloniku.

Równocześnie prawie przeciwległymi podwojami z wielkiego salonu wszedł Witold, a za nim wsunął się Kohn.

Marja podeszła ku niemu kilka kroków.

Witold uklęknął przed nią, całując jej obie ręce.

---

## V.

W trzy dni później z pociągu drogi żelaznej Nadwiślańskiej, zajechał omnibus przed hotel Brülowski.

Działo się to około godziny trzeciej popołudniu.

Portjer i służba hotelowa wybiegli, zawsze, jednak ciekawi nowych gości.

Omnibus nie był próżnym. Owszem, siedziało w nim cztery osoby.

Pierwszy wyszedł z pojazdu otyły i wysoki jegomość, który pomógł w wydobyciu się z omnibusu reszcie towarzystwa.

To towarzystwo przybyłe razem, wyglądało dobrze sobie znajome, a składało się z starszej już, wyniosłej i poważnej damy, z podobnej do niej młodej osoby i mężczyzny, mogącego liczyć lat trzydzieści.

— Pan Łęcki w domu? — było pierwszym pytaniem, zadaniem portjerowi przez starszą panią.

— Nie... klucz jest.

— A pan Jański?

— Jest!

Towarzystwo zażądało razem pięciu pokoi obok siebie, lub na jednym pięttrze i ruszyło na górę.

Salon i dwa pokoje sypialne wybrała sobie starsza dama i do nich zaraz weszła.

Dwaj panowie znaleźli miejsca wolne w bocznym korytarzu.

Te panie były to pani Łęcka z córką, starszy z panów zaś był stryjem Witolda, Hamilkarzem Łęckim, a młodszy, Michał, kuzynem jego, brata ojca synem.

— A więc Witolda nie ma! i kto wie, kiedy wróci — zagadnęła pani Łęcka, chodząc po pokoju.

Twarz jej nosiła ślady dawnej piękności, choć już zmęczenie i lata, wryły na niej swe piętno. Postawa jej pańska, wyniosła, mająca jeszcze nawet figurę, zdradzała w swym prostym sposobie trzymania się, pewien kobiecy despotyzm charakteru. Rysy pani Łęckiej, spokojen i regularne odpowiadały harmonijnie całości. Włosy ciemne zaczynały dopiero siwieć, a duże brzozy oczy, tryskające poważnym rozumem, jeszcze miły w sobie iskry życia.

Z całej fizjognomji jednak matrony, wiała przede wszystkim wielka powaga charakteru.

Jej córka zaś podobną była, jakby dwie krople wody do matki, o ile podobnemi być mogą dwie kobiety, z których jedna wyglądała na lat pięćdziesiąt wieku, a druga na ośmnaście.

— Moja Helciu! — mówiła dalej pani Łęcka — cieszę się, że już przyjechała; pilno mię było, jak nigdy, dowiedzieć się, czego mnie wzywają.

— No mówię mamie — odpowiadała córka — że nic ważnego... zna mama pana Jana... a może Witold się stara o kogo... zaręczony... z ostatniego jego listu tak bym sądziła.

— Jakże, nie uprzedziwszy, moje dziecko?

— Zna mama Witolda... jaki czasem oryginał, zresztą dowiemy się zaraz. Każę poprosić pana Jana.

Panna Helena wstała i dotknęła guzika od dzwonka elektrycznego, umieszczonego przy drzwiach.

Pojawiającemu się służącemu rozkazała matka:

— Proszę poprosić pana Jańskiego do pani Łęckiej.

To powiedziawszy, odsunęła nieco stół i usiadła na kanapie, przybierając pozycję osoby oczekującej mającego się za chwilę pojawić gościa.

Helena usiadła na krześle. Nie czekały długo, bo wnet dał się słyszeć na korytarzu głos Jańskiego, żądający wskazania mu mieszkania pani Łęckiej.

Obie panie lekko zbladły — spotkanie się z Jańskim przerażało je — bały się wyjaśnienia telegramu. Na twarzy matki odbiło się pomieszenie i niepokój.

Wtem wszedł Jański.

Przywitanie było krótkie, ale czułe. Pan Jan witał się z panią Łęcką, całując ją po kilkakroć w rękę, z pewnem rozczuleniem, które jeszcze więcej zatrwożyło matronę.

— Siadaj pan, siadaj! — mówiła — i mów czempredzej, bo doprawdy ledwie jestem żywą z emocji.

Jański usiadł, a mina jego zdradzała wielkie pomieszanie, z którego nie wiedział jak wybrnąć.

— Witolda nie ma! czy nie wie, że pan po mamę telegrafował? — zapytała panna Helena.

— Nie! — odparł Jański.

Pani Łęcka zbladła. To „nie“ Jańskiego wskazywało najwyraźniej, że jakaś ważna sprawa, obchodząca Witolda, była przyczyną telegrafu i jej przybycia.

— Nie! — więc cóż stało? — zawołała matrona, a w głosie jej zabrakło oddechu.

— Nie przerażaj się zbytecznie pani — podchwycił Jański.

— Jakże się nie mam przerażać — przerwała pani Łęcka — gdy wszystko zwiastuje mi nieszczęście! nieszczęście dotyczące Witolda. Mów pan na Boga!

Jański milczał, układając w myśli początek swego wyjawienia, gdy się odezwała Helena.

— Panie Janie! prędej! bo mama się rozchoruje z przestachu, jeśli co bardzo złego...

Nie było możności przedłużenia chwili, ani obwijania w bawełnę. Jański też przerwał.

— Witold po słowie!

Obie kobiety odetchnęły. Po wszystkim, a ostatecznie po minie przyjaciela, spodziewały się czegoś gorszego. Teraz przynajmniej wiedziały, skąd miało uderzyć nieszczęście.

— Jakto? w sekrecie? przed nami? — wybełkotała matrona, koncentrując swe myśli wokół kwestji matrymonialnej Witolda.

— Widocznie! — odparł Jański.

— Z kimże? — czempredzej zawołała Hele-

na. na której twarz wystąpiły już rumieńce.

Pan Jan badawcze rzucił wejrzenie na matkę, a widząc, że ta znacznie jest już spokojniejszą, odpowiedział:

— Z panną Kohn!

Zapanowało natychmiast długie milczenie, wśród grobowej ciszy. — Po upływie kilku minut dopiero zapytała pani Łęcka, tonem prawie już naturalnym.

— Z panną Kohn? panną Kohn? Któż to?

— Córka znanego miljonera! — odparł Jański.

— Córka Kohna?... bankierówna! — zawołała pani Łęcka, a twarz jej oblała się szkarłatem — to niemożliwe panie Janie. Witold po słowie z panną Kohn?... żartujesz pan, panie Janie! — mówiła szybko, ożywiając się i wpadając w stan gorączkowy.

— Nie żartuję, kochana pani, — odparł Jański — nie! ale proszę się uspokoić... powoli wszystko opowiem.

— Co mi pan każesz stę uspokajać — przerwała matrona — to niemożliwe! Witold z panną Kohn! co to wszystko znaczy!

— Niech mama ochłonie — przerwała Helena.

Pani Łęcka zerwała się z kanapy i zaczęła chodzić po pokoju. Jański chciał coś mówić, ale Helena skinęła, aby umilkł, aż matka jej powróci do siebie.

Sama dzwoniła i poleciła podać herbatę.

— A obiad? — zapytał Jański.

— Teraz byśmy jeść nie mogły — szepnęła Helena.



Pani Łęcka stanęła nad Jańskim.

— Kiedyż zobaczę Witolda? — zapytała.

— Jakto? nie wie! nie ma go?

— Nie ma go w hotelu — dorzuciła Helena.

— To trzeba posłać do Kohnów — odparł Jański — inaczej nie wróci, tem więcej, że podobno w tych dniach wybiera się na Podole.

— Jak to? więc pan, panie Janie, mieszkając w tym samym hotelu?... — zaczęła pani Łęcka, ale jej przerwał Jański, mówiąc:

— Nie, kochana pani, od trzech dni zerwał ze mną Witold.

— To są rzeczy niesłychane — zamruczała matrona i dalej zaczęła się po pokoju przechadzać.

Tymczasem Jański sprowadził posłańca hotelowego, polecił mu udać się do pałacu Kohnów i uwiadomić Witolda, że matka jego przybyła.

— Nie potrzebujesz się spieszyć — wtrąciła pani Łęcka do posłańca — pójdiesz za godzinę.

Gdy ten się oddalił, zagadnęła Jańskiego:

— Trzeba, abys mi pan szczegółowo wszystko opowiedział.

Znacznie już była spokojniejszą i dalej mówiła:

— Ale najprzód muszę ci dać, stary przyjacielu, burę; jakże można było tak telegrafować... myśmy myśleli...

— Bo widzi pani, tak byłem pod wrażeniem...

— No dobrze, ale... Toż z nami przybył pan Hamilkar, jako stryj i opiekun Witolda.

Przyjechał i Michaś... myśleliśmy... no Bóg wie co...

Jański wyglądał bardzo zakłopotany, co widząc, dalej ciągnęła pani Łęcka:

— No stało się... przypało... a teraz opowiedz mi pan wszystko najdokładniej, poczem trzeba będzie wezwać na naradę tych panów.

Helena chciała wyjść do drugiego pokoju, ale zatrzymała ją pani Łęcka, obracając się do Jańskiego.

— Helcia może zostać?

— Ależ naturalnie.

— No to zaczynaj pan!

Pani Łęcka usiadła na kanapie, Jański do niej się zbliżył i opowiadał, jak wiedział, ostatnie wypadki Witolda. Opowiadał to, co wiedział, a od Witolda wiedział bardzo mało. Więcej jednak w ostatnich trzech dniach słyszał o tem wszystkim w mieście.

— Jakto, więc już to głośne? wiadome? — zapytała matka.

— Pani! — odparł Jański — cała Warszawa się trzęsie, wre; o niczem, tylko o tem mówią!

Pani Łęcka posmutniała, a on dalej mówił i zdanie swoje wyluszczał.

To jedna, to druga z pań przerywały mu często, gdy pan Jan nie był dość szczegółowym. Helena dopytywała się o rodzaj piękności Marji Kohn, a pani Łęcka chciałaby była odrazu być wtajemniczoną w najdrobniejsze odcienia domu i członków rodziny Kohn.

Wreszcie Jański oświadczył, iż więcej nie

nie wie, bo i te wiadomości, co opowiedział, zasięgnął dopiero w ostatnich trzech dniach.

Wielkie powstało oburzenie na Bywalskiego, który z opowiadania Jańskiego wyglądał na swata.

— On to, pieczeniarsz! — mówił pan Jan — *l'habitué* pałacu Kohnów, pokładający wszystko na majątku i jedzeniu, on to namówił, wprowadził Witolda do tego domu.

— Jakże pan mógł pozwolić? — przerwała pani Łęcka.

— Jakże mogłem przypuszczać?

Matrona westchnęła.

— Nie przypuszczałam i ja nigdy. Zawiodłam się strasznie na Bywalskim. Jego opiece poleciłam Witolda.

— I nadto pisała mama niedawno dorzuciła panna Helena — do pana Bywalskiego, wyrażając mu życzenie, aby Witold się ożenił.

— Ale z kim! — dodała matka i po pauzie dalej mówiła. — Kochany panie Janie! co my pocniemy! Witold jest pełnoletni, ma swój majątek. I takie nieszczęście właśnie spada na nas w takiej porze, gdy wszystko się nam uśmiecha, gdy wszystko idzie ku lepszemu. Czy wiesz pan, że akcje cukrowni Zyblowickich idą w górę z dnia na dzień? W ostatnich dniach podskoczyły blisko o dwadzieścia od sta! I ten człowiek, który wreszcie będzie bogatym, bo już nim jest, jeśli ten stan się utrzyma, ten człowiek żeni się z panną Kohn... bez wiedzy matki, która wszystko dla niego poświęciła...

Pani Łęcka zaczęła cicho płakać, a wtórowała jej i córka.

Jański zaczął je pocieszać.

— Jeszcze może zdołamy odrobić — mówił — zresztą panna Kohn... jest bardzo miłą... ładną... doskonale wychowaną.

— Nie mów mi pan o tem! — przerwała pani Łęcka — Wolałabym, aby się żenił z panną biedną... z aktorką!

— Ależ być po słowie, to nie jest się żenić najdroższa pani Ludwiko — mówił Jański tonem słodkim, całując po rękach zrozpaczoną matronę.

— Tak... — bełkotała przez łzy Helena — tak, ale Witold jest upartym, Witold... gdy chce...

Nie dokończyła swej myśli, bo płacz tamował jej w gardle słowa.

— No—zaczęła pani Łęcka, wstając z kanapy i ocierając oczy — radźmy teraz. Idź pan, kochany panie Janie i uwiadom o wszystkim Hamilkara... on myśli, że Witold wdał się w jakie interesa co do Zyblówki. A my się ubierzemy... zaczekamy na Witolda... pójdziemy na objad...

— Powinien Witold zaraz przybyć — wtrąciła Helena.

Jański wyszedł a obie kobiety zabrały się do odświeżenia toalet, zaniedbanych długą podróżą. Przytem omawiały dalej kwestję matrymonjalną Witolda, która ich pogrążała w coraz większy smutek. Obie przyznawały, że nie łatwo im przyjdzie Witolda od tego małżeństwa odwieść. Pani Łęcka nawet poleciła córce największą oględność w wyrażaniach się i pogłędach.

— Bądź ostrożną moje dziecko... — mówiła — bo wreszcie... Słowa nieraz wyzłabiają przepaść między ludźmi. Trzeba mu wszystko przedstawić prosić, zaklinać. Gdy nie zechce... ha...

— To co?

— Albo ja wiem, moje dziecko!... zdawało mi się, że już z wami zmartwień mieć nie będę... Witold tyle obiecywał... Bóg mię chyba karze. Chciałam aljansu, partji!... mam śliczny aljans, panna Kohn!

Zapukano do drzwi.

— Proszę? — odezwała się Helena.

Wszedł pan Hamilkar z Michałem Łęcim. Obaj wyglądali przygnębieni.

Pan Hamilkar z współczuciem obrócił się do swej bratowej.

— Nie masz się czego martwić — mówił — to się może ułożyć...

Pan Hamilkar był to mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, ale zdrow i tęg. Duży wąs blond charakteryzował jego czysto swojską, szlachetną fizjognomię.—Bardzo jasne oczy nieco wylupiate miały w sobie sporą dozę sprytu i życia.—W pełności twarzy, w rysunku pięknym nosa i ust widocznych z pod podniesionych i rozstrzępionych wąsów spoczywał wyraz dobry i łagodny charakteru.

Michał zaś był tęgim, barczystym, średniego wzrostu o niebieskich oczach i blond wąsiku młodym mężczyzną. — Mógł zaledwie dochodzić trzydziestego roku życia.

— A teraz zejdźmy do restauracji — mówił dalej pan Hamilkar — bo i żołądek ma swoje prawa. Jańszki poszedł zamówić stół i obiad... chodźmy!



To mówiąc podał rękę pani Łęckiej, Michał zaś pannie Helenie i podążyli na dół.

Równocześnie, gdy to się działo w hotelu Brülowskim, lśniące lando wjeżdżało z ulicy w bramę pałacu Kohna.

W pojeździe siedziała pani Kohn z Marją i Witold. Wracali z wizyt, które oddawali we wszystkich kołach towarzyskich, oznajmiając o nowej zmianie w rodzinie.

Pani Kohn była pod tym względem bardzo obserwującą formy, nie chciała nikomu uchybić, przedstawiała Witolda tak w pańskich, jak i najuboższych domach. — Robiła to z pewną sumiennością, wypisawszy listę wszystkich znajomych, przyjaciół i krewnych. A wyglądała wraz z córką tem męczącym wykonywaniem obowiązków nad wyraz znudzona.

Witolda twarz również zdradzała zmęczenie i jakby ślady niekoniecznie miłych wrażeń.

Bo też i takich doznał. W niektórych domach, jak np. u Lewiczów przyjęto go, jakoteż i panią Kohn z uprzejmością, która zdawała się mieć w swojej przesadzie coś uchybiającego.

W niejednym miejscu zauważył uśmiechy ironiczne, które mu krwią do twarzy uderzały. Te znów dwuznaczne komplimenta, powinszowania, to szept w drugim końcu salonu i przytłumione śmiechy. Wszystko to zauważył Łęcki, a że nie był zaślepionym w swych na świat poglądach, analizował i rozstrząsał.

Byli także u matki pana Kohna, staruszki żyjącej w zamknięciu, otoczonej nie odpowiadającym jej zbytkiem, a wyglądającej, jak gdyby



do tego apartamentu dopiero co przybyła z jakiego podrzędnego sklepiku.

Poznał w tych wizytach kilku członków swej przyszłej rodziny. Wszyscy w zbyt wysokim stopniu zachowywali jeszcze cechy swego pochodzenia.

I choć to byli ludzie głady i prawdopodobnie zacni, Witold poznaniem ich i widokiem czuł się głęboko zdemoralizowanym.

Marja zdawała się odczuwać te wszystkie wrażenia Witolda, odbijające się na jego wyrazistej twarzy. Dokładał wszelkich usiłowań, aby nie spostrzeżono uwag, które same się w jego głowie i duszy formowały. Z przestraczem widział, że czarne oczy Marji czytały w tajnikach jego serca, jakby w otwartej książce. Bolało go to, był też uprzejmym i uprzedzającym jak nigdy, starał się być wesołym i ożywionym, nadrabiał miną i sztuką, ale wszystko napróżno. Obie kobiety odczuwały jego najskrytsze tajniki... Stąd wizyty te były przykreimi, strasznie długimi, choć je skracała, jak mogła tylko, pani Kohn, choć Marja mu je osładzała.

Odetchnął, gdy ekwipaż z klekotem kół, opatrzonych gutaperkowemi obręczami, cicho wjeżdżał w pałacową bramę.

Tu byli u siebie, tu już go nic nie raziło, nic mu szczęścia nie płoszyło, nic serca nie psuło, twarzy nie zmienilo.

Wysiedli z lando i zaraz znaleźli się na przepysznych schodach, wiodących na piętro.

Uczucie wyrafinowanego dobrobytu i szczęścia, zawsze idącego z nim w parze, nastrecało inne wrażenia.

Dzwonek elektryczny dźwięczał i oznajmiał służbie i domownikom w pałacu powrót pani.

Na schodach rozchodziły się zapachy najprzyjemniejszych perfum.

— Jest już piąta godzina — odezwała się pani Kohn — bo widocznie dopiero co Pomballe wyperfumował apartamenta.

— Użył czegoś dziwnego dzisiaj — odezwała się Marja — bo nieznam tego zapachu.

— To przecież nie werbena — dodał Witold.

Z góry odezwał się głos młodszej panny Kohn, która wybiegła na przywitanie przybywających.

— *C'est de l'Ylang-Ylang!* — wołała uradowana — niepoznaliście eleganty! hahaha!

I śmiało się dziewczę i podskakiwało do matki.

Byli na pierwszym piętrze.

Pani Kohn zbliżyła się do stołu, na którym leżał na posłaniu z tureckiego dywanu wspaniały i olbrzymi japoński półmisek. Na nim w nieładzie ułożono bilety osób, które podczas jej nieobecności pukały do drzwi jej salonów.

Pani Kohn przerzuciła je.

Witold zalejmował z Marji płaszczyk angielski. Właśnie go oddawał lokajowi, gdy drugi zbliżył się do niego i zameldował:

— Był tu posłaniec z hotelu Brülowskiego i kazał powiedzieć Jaśnie panu, że przyjechała Jaśnie Pani Łęcka.

— Moja matka? — zawołał Witold.

— Tak jest jaśnie panie! — odparł lokaj i oddalił się.

— *Votre mère!*... — zawołała Marja, ale urwała, bo na twarzy Witolda zauważyła nadzwyczajną zmianę. Bładość okrywała jego dopiero co wypogodzone oblicze, na którym najdziwniejsze pomieszanie wzrastało.

— Moja matka!.. — bełkotał — niespodzianka... muszę zaraz biedz.

— Konie nasze jeszcze niewyprzęgnięte... — podchwyciła pani Kohn.

— O! nie.. nie! — mrucał Witold i zegnał się z paniami.

— Skoro pap tylko będziesz mógł, to... — pytała pani Kohn.

— O, tak... tak.. — odparł Witold, wypuszczając jej rękę, a zbliżając się do Marji. Ta — przestraszona, zaniepokojona tem nagłym i niespodziewanem przybyciem pani Łęckiej, tem pomieszaniem narzeczonego — wlepiła w niego swe smętne oczy i wzrokiem błagała o wytłumaczenie, o podzielenie się z nią. Witold w milczeniu przybliżył jej rękę do ust, złożył na niej długi i wymowny pocałunek. Jej dłoń znacząco i silniej jeszcze raz uściskał i zbiegł po schodach na dół.

Marja ten uścisk dłoni zrozumiała; powiedział on jej, że zachodzi coś ważnego, ale że ona się bać nie potrzebuje i na niego rachować może. Na twarzy też jej odbiło się to radosne wrażenie, odczuła je i matka.

— Narzeczony twój wygląda, jak gdyby go przyjazd matki przeraził — zauważyła młodsza siostra ze śmiechem, bo wszystko ją w życiu bawiło.

— Nie uważałam! — odparła Marja i pobiegła do swego pokoju.

A pani Kohn skierowała swe kroki w przeciwną stronę. Uchylając portjery, obróciła się do lokaja:

— Pan u siebie?

— Jaśnie pan w kantorze! — odparł lokaj.

— Zatelefonuj... idę do gabinetu — rozkazała i przez szereg salonów dążyła do męża.

Wyglądała zgnębiona i zafrasowana. W drodze spotkała Pomballa, obiegającego salony z maszynką do ich perfumowania:

— Czy dziś kto będzie? — zapytała.

— Minister dróg i komunikacji — odparł Pomballe — na obiedzie i Jego Ekscelencja generał Potopow.

— Pan anonsował?

— *Oui Madame!*

Pani Kohn uchyliła drzwi do gabinetu; równocześnie, jak z ukrytych w ścianie a komunikujących z kantorem drzwiczek wysunęła się postać Kohna.

— Wezwałaś mnie? — zawołał.

— Tak — odparła żona, wysuwając fotel, na którym usiadła — tak... mamy pomówić. — Pani Łęcka, matka Witolda, przyjechała!

Podczas, gdy pani Kohn radziła z mężem nad tym niespodziewanym wypadkiem, Witold wchodził na schody hotelowe.

Zastał portjera wsuwającego kartki właśnie ostatnim pociągiem przybyłych gości. Między temi były i dobrze mu znane nazwiska. Wiedząc więc już, że nie sama matka przybyła, zastanowił się nad tym rodzinnym zjazdem.

— Czy pani u siebie? — zapytał portjera.

— Właśnie dopiero co przeszli państwo z restauracji na górę.

Witold pospieszył po schodach.

Ale znalazłszy się na korytarzu, zwolnił kroku; sam znajdował, że był w dziwnym stosunku do matki, która nic o jego na pół dokonanych zamiarach nie wiedziała.

W tem usłyszał głos jej dolatujący z pokoju — rozmawiała z Heleną. Młodzieńcowi serce zabiło i w jednej chwili znalazł się w pokoju matki. Przywitanie było czułe — pani Łęcka i Helena płakały rzewnymi łzami, bo Witold był ukochanym synem i bratem.

— Jakież ty mi zmartwienie robisz? — zagadnęła pierwsza matrona,

— Jakież mamc?

— Oświadczasz się... zaręczasz... nie nie donosząc, jakbym nie żyła.

Łęcki rzucił się jeszcze raz do rąk matki.

— Przepraszam! — szeptał — przepraszam! ale jutro chciałem sam jechać. Któż mamę sprowadził.

— Jański! — wtrąciła Helena.

Nastąpiło milczenie. Po pierwszym i nad siły jej rozczeniu, pani Łęcka załując swej serdeczności, której ukryć nie umiała, poważniała, ale kwestji palącej nie poruszała. Z zdziwieniem widziała, iż trudno jej przychodzi nawet otworzyć usta: ile razy chciała zacząć od wytłumaczenia. Tymczasem Helena z Witoldem rozmawiali, dopytywali się wzajemnie o różne szczegóły i wypadki, choć oboje myślą daleko byli od treści tej rozmowy.

Połączenie to robiło się nieznośnem, jak każda komedja w kochającej się i bliskiej rodzinie. Zaczął pierwszy Witold.

— No! skończmy tę ciuciubabkę... Najdroższa matko, przybyłaś zaalarmowana przez Jańskiego? Żal może masz do mnie, że cię pierwszej o mych projektach nieuprzedziłem? Jeźlim tego nie uczyniłem, to tylko dlatego, że chciałem osobiście mamę uwiadomić... opowiedzieć...

Jakkolwiek Witold się jąkał, obie kobiety milczały, musiał więc dalej ciągnąć.

— Jański niepotrzebnie poruszał... mamę pewno zaniepokoił. Cóż on myślał? przecież nie sądzę, aby przypuszczał, że ktokolwiek byłby w stanie wpłynąć na odmianę mego raz powziętego i dobrze obmyślanego postanowienia.

— Więc mój Witoldzie — przerwała pani Łęcka — nawet wola matki nie skłoniłaby cię do...

— Nie mam! — wtrącił stanowczo syn.

Nastało znów milczenie. Pani Łęcka wysiłała się, aby tłoczących się do oczu łez nie zdradzić. Helena przypatrywała się z zdziwieniem bratu, a Witold oczy spuścił i milczał.

Zacząła znowu matka.

— Więc niepotrzebnie przybyłam! — zawołała, a w głosie jej malowało się już tlejące rozdrażnienie.

— Owszem! — przerwał Witold — bardzo potrzebnie, bardzo szczęśliwie! Nieskończenie wam jestem za to wdzięczny; tylko wołałbym, abyście były przyjechały przezemnie sprowadzone nie przez depeszę prawdopodobnie pana Jana. Pozna najdroższą matkę tę, którą jej wybrałem na synową i...



Witold nie dokończył, bo pani Łęcka nie mogąc widocznie dłużej się już powściągnąć, zerwała się z kanapy i zawołała:

— Moją synową! panna Kohn! nigdy!

— Mama jesteś uprzedzoną! — podchwycił, także się z krzesła zrywając Witold i chciał dalej coś mówić, ale nie dała mu przyjść do słowa matka. Stała na środku pokoju i mówiła.

— Nie chcę tej synowej! nie zezwolę na to małżeństwo! Przybyłam... dowiedziawszy się. Myślałam, że cię odwiędę od tego szalonego projektu. Mówisz, że wola twoja jest niezłomną? dobrze! — i moja jest silną i niezłomną! — Słuchaj więc! ja twoja matka nie uznam twego małżeństwa z panną Kohn! hahaha...

Zaśmiała się z rozdrażnienia i dalej mówiła.

— Nie będę znać twej żony... nie będę znać ciebie, nie chcę nic wiedzieć o niczem i o nikim! żeń się, jeżeli chcesz, ale ja? ja synowej panny Kohn, do domu mego nie wpuszczę!

— Ależ, mamó! — mówił Witold.

— Mamó najdroższa! — powtarzała Helena.

— Nie chcę, nie chcę panny Kohn! — wołała pani Łęcka w rozdrażnieniu, na które na razie nie było sposobu.

Nastało długie milczenie, nikt nie śmiał odezwać się pierwszy. Helena płakała w kącie. Witold, zasępiony, lecz z jakimś stanowczym wyrazem na twarzy, siedział z ukrytą twarzą w rękach, opartych na kolanach.

— Helciu! — zawołała uspokojonym głosem pani Łęcka — poszlij mi po tego Bywałskiego, niech mu podziękuję.

To mówiąc, sama wybuchnęła płaczem, którego łez już dłużej oczy nie mogły powstrzymać.

Witoldowi robił ten widok zbyt bolesne wrażenie — wybiegł z pokoju prawie nieprzytomny.

Wpadł do Jańskiego. U tego zastał stryja i kuzyna; przywitał się z nimi krótko i oziębło.

— Jak pan miałeś sumienie — zawołał, obracając się do Jańskiego — do tego stopnia przerażać moją biedną matkę? poco pan po nią telegrafowałeś? Idź pan i przypatrz się skutkom swego postępu.

Witold wypowiedział to wszystko prędko, a w wyrazie jego twarzy tyle przebijało się boleści, że Jański i Łęccy siedzieli przerażeni i nieruchomi.

Młodzieniec obrócił się do pana Hamilkara:

— Kochany stryju! — zawołał — byłeś mi zawsze najczulszym i najlepszym opiekunem i wyrozumiałym człowiekiem...

— Ależ, działamy przez pamięć na twego ojca... przez poszanowanie nazwiska... — bełkotał pan Hamilkar, już rozbrojony.

— To są frazesy! — przerwał Witold — otóż wiedzcie, że nie ma siły, ani względów, któreby mnie dziś zmusiły do odebrania mego słowa pannie Kohn. Zdaje mi się, iż przeszłość moja jest dostateczną rękojmią, abyście w szczerą i nieodmienną mych słów wierzyli. Teraz błagam was wszystkich razem! działajcie tak, jak wam serce i sumienie nakáže, z uwzględnieniem mej biednej matki, mego honoru i mych uczuć.

To powiedziawszy, wybiegł, nie czekając na odpowiedź, i udał się do swojego pokoju. Tu rzucił się na kanapę i zasłaniając oczy rękami,

dumał. Marja stawała mu w oczach zakłopotana, nieszczęśliwa, ona! co tak się cieszyła jego miłością. Im, w drodze do szczęścia, chcieli przeszkodzić na podstawie głupich przesądów. On miałby wnosić niepokój i nieszczęście w dom Kohnów, który już polubił, w którym go kochano, ubóstwiano, jako tego, co może urzeczywistniał marzenia ich i ambicje. On miałby czoło i serce powiedzieć Marji, że jej nie chce, bo nie jest szlachcianką, tylko... — Ach! tego nigdy, wprawdyby umarł; a gdyby Kohnowie mu nie chcieli dać córki bez błogosławieństwa jego matki i Łęckich, toby ją wykradł, lub się zabił. Życie bez Marji nie było już dlań życiem.

— Śmierć raczej! — szeptał i wzdychał.

Tymczasem pan Hamilkar radził z Jańskim i Michałem. Wynikiem narady stało udanie się do pani Łęckiej i skłonienia jej do natychmiastowego odjazdu z Warszawy.

Jański znajdował, iż trzeba było zostawić Witoldowi czas do namysłu, do rozwagi.

Panu Hamilkarowi żal było Witolda. Lecz pan Jan tłumaczył mu, iż synowiec jego udaje tylko uczucia i że małżeństwo robi tylko z interesu.

Nie chciał mu się wierzyć temu twierdzeniu koniecznie. Lecz z drugiej strony myślał, że pan Jan lepiej od niego, dopiero co przybyłego, zna szczegóły i przebieg tej sprawy.

— Zresztą — myślał — jakżeby on mógł, on marszałek szlachty powiatu kamienieckiego zezwolić, tak sobie, bez oporu, na małżeństwo Łęckiego z panną Kohn.

Cóżby powiedziało Podole? Szlachcic? Łęcki! i to Łęcki z panną Kohn.

Wszyscy trzej udali się do pani Jańskiej, gdzie już zastali Bywalskiego. Ten z monoklem w oku, bynajmniej nie wyglądał zafrasowany ani przerażony sceną, jaką mu dopiero co była zrobiła pani Łęcka. Spokojny, wyświeżony, we fraku i białym krawacie, dziwne robił wrażenie naprzeciw dwu zapłakanych kobiet.

— Ależ to jest świetne! najlepsze małżeństwo, jakie Witold mógł zrobić — mówił właśnie w chwili, gdy trzej panowie wchodzili do pokoju.

Pani Łęcka nawet zdawała się być znacznie spokojniejszą i jakby zrezygnowaną.

Pan Jan, nie przywitawszy się nawet z Bywalskim, zabrał głos i przedstawił obu paniom projekt natychmiastowego opuszczenia Warszawy.

— To szaleństwo! — zamruczał Bywalski.

Jański spojrzał na niego złowrogo i dalej tłumaczył powody, dla których uważa ten środek za jedyny w tym wypadku.

Gdy skończył, odezwał się Bywalski do pani Łęckiej:

— Pani Ludwiko! zawsze byłem jej prawdziwym przyjacielem.

Wszyscy spojrzeli na Bywalskiego, domagając się dalszego ciągu tego wstępu, ale on nic więcej nie mówił.

— Jakiegoż więc pan jesteś zdania? — zapytał pan Hamilkar.

— Jestem zdania, że pani Lułwika powinna jutro być u Kohnów...

Szmer wzburzenia dał się słyszeć w około

stołu i przerwał Bywalskiemu, który przeczekawszy, dalej ciągnął:

— I jeśli się pani wybrana Witolda podobać będzie, powinnaś pani Bogu gorąco podziękować za to, gdyż mogło by być... dlaczegoż nie?... inaczej...

Wszyscy, prócz zupełnie przybitej pani Łęckiej i zapłakanej Heleny, spojrzeli na Bywalskiego, jak na warjata. Ten dalej mówił, bawiąc się swym monoklem.

— Sliczna panna... Witold zakochany... i czterekroć sto tysięcy!... Doprawdy, podziwiam was, panowie... tu nie ma się nad czem zastanawiać... tak desperować nad tem, że Witold będzie szwagrem jakiego księcia, lub bardzo dobrego hrabiego.

— Przepraszam! — zawołał w pasji Jański — wykręcasz pan kwestję. Landensberg miał zasługi, ogromne zasługi!

— I Kohn je będzie miał! A jeżeli chodzi o aljans, to wystawić sobie tylko, że panna Kohn jest sierotą... ma tylko siostrę, a Witold.., będzie miał *enfin* krewnych tylko szwagra...

— Bredzisz pan! — zawołał Jański.

Panią Łęckę jednak zimna krew i filozofja Bywalskiego widocznie uspokajały. Ten jeszcze zamruczał.

— Witold wybornie się żeni! -- Poczem założył monokl i swym lisim wzrokiem potoczywszy po obecnych, wstał i zawołał:

— No, ale ja pójdę do Witolda, biedne chłopczyško!... co on winien, że mu się podoba ładna, jak anioł, panna z milionami, więcej jak brzydka jak straszdyłło jakie, z fumami i preten-



sjami jaka kolligatka... Boże! wszystko to się uciera... nieprawdaż, panno Heleno?

Panna Helena się uśmiechnęła, a Bywalski wyszedł.

Ten sposób lekki, w jaki zapatrywał się na tę awanturę w rodzinie Łęckich, jakby wszystkich oblał zimną wodą.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, nikt nie wiedział, jak znowu postawić kwestję, tak humorystycznie przez Bywalskiego zbytą. Ten zaś wchodził do pokoju Witolda, który jeszcze leżał na kanapie.

— A, pan? — zawołał Łęcki, zrywając się — widziałeś pan moją matkę?

— Widziałem i uspokoiłem ją jak mogłem. Ale cóż u Kohnów, cóż będzie?

— Sam nie wiem! od zmysłów odchodzę. Jeżeli moja matka nie zechce...

— Ale farsa... zczekaj... zrobimy! niech się wyszumia. Twoją matkę Jański głównie podburzył. Teraz już znacznie spokojniejsza. Kocha cię szalenie, robi, co zechcesz!

— Myślisz pan?

— Nie myślę, tylko wiem. Gdy się uspokoi, to pogadamy... przepros... popros... i basta. Później będzie tak kochać twoją żonę, jakby ci ją sama wyszukała.

Tak Bywalski uspokajał Witolda. Obaj obmyślili wszystkie ewentualności i sposób zaradzenia im. Witold szczególnie się bał, aby Kohnowie nie zechcieli zerwać, jeźliby nie zdołał przebłagać i przekonać matki. Bywalski go zapewniał, że w ostateczności Kohnowie wyrozumieją całą rzecz i nie będą zważać na formy.



— Mój drogi, finanse składają się z rozumnych ludzi, wiedzą oni wszyscy, że pieniądz, to potęga, która wszystko zaciera, a szczególnie przesady nasze! — tłumaczył z zimną krwią i pewnem lekceważeniem, które i na Witolda dodatnio wpływało. Był on już znacznie spokojniejszym i zimniej się zapatrywał na całą awanturę, w jakiej się niespodzianie znalazł, gdy do drzwi zupukano.

Weszli Helena i Michał.

— Kochany Witoldzie — zaczęła zaraz siostra — mama daleko spokojniejsza. Pan Bywalski dużo ma na niej wpływu. Jego zimny sposób traktowania najwięcej mamę łagodzi. Nie dziw się, bośmy przyjechały w największym strachu i wszystko prędzej niż tego się spodziewały. A teraz ci radzę, spokojnie z mamą pogadaj; pan Bywalski jeszcze ci dopomoże i zrobi się, co zechcesz.

— Więc wy trzymacie ze mną? — odezwał się z radością Witold.

— Nie... to nie — czemprędzej dorzuciła Helena — jednakże jeżeliś tak się uparł i bezwzględnie...

— Chcesz się żenić wbrew woli rodziny — dokończył Michał.

— To? — zapytał Witold.

— To... to przecież jesteś pełnoletnim i nikt nie może ci przeszkodzić, ani nie pozwolić.

— Ależ tu nie o to mi chodzi Mnie chodzi o to, aby matka nie tylko zezwoliła, lecz moją przyszłą żonę poznała, abyście ją pokochały...

— Co tu o tem mówić — wmieszał się Bywalski — teraz w całej tej rzeczy, zadaniem ro-

zumnego człowieka jest przyczynić się do tego, aby obeszło się bez skandalu i bez gadania, *il faut laver son linge sale en famille*.

— Więc tego *linge sale* powodem niby ja — przerwał Witold.

— Przypuśćmy! o cóż ci chodzi? teraz pracuj, aby świat Kohnów i Łęckich z tej okazji nie szarpał, aby twoja matka oddała wizytę Kohnom i... i basta.

— Tego mama chyba nie zrobi! — westchnęła Helena. Bywański uśmiechnął się tylko.

Wtem dała się słyszeć w korytarzu ożywiona rozmowa znanych głosów.

To Jański z panem Hamilkerem przechodzili od pani Łęckiej i szli do mieszkania pana Jana, które się znajdowało w tym samym korytarzu, tuż za numerem Witolda.

Ten też się zerwał.

— Matka sama! — zawołał — pójdę jeszcze próbować, wy zostaniecie tutaj.

— Gdy zajdzie potrzeba — wtrącił Bywański — wezwij mnie... będę czekał, może jeszcze dziś co się zdecyduje, bo właśnie idę do Kohnów... co im powiem?

— Zaczekaj pan! — zawołał Witold i wybiegł.

W kilka minut wszedł do matki, która siedziała na kanapie, jak ją zostawili dopiero co wyszli panowie. Głowa ją bolała od wrażeń i kilkugodzinnych już narad, z których nie było żadnego rezultatu, a sama coraz była chwiejniejszą w postanowieniu zerwania z synem,

odmówienia mu błogosławieństwa, jeśliby Witold trwał przy swoim zamiarze.

Pierwsza zaczęła.

— Nigdy nie uwierzę! nie pojmuję, jak mogłeś angażować twoje słowo, nie poradziwszy się choćby jednego uczciwego człowieka!

— Owszem — odparł Witold — mimo tego, iż w tej kwestji słucho się tylko serca, radziłam się, radziłem się Ostoji!

— Ostoji?

— Tak jest! Ostoji!

— I on ci powiedział?

— Że bardzo dobrze robię, żeniąc się z osobą, która mi się prawdziwie podoba... Zresztą rozmowa ta była długa, lecz ja go sprowadzę do mamy... powtórzy jej to, co mnie powiedział i co może bardzo wpłynęło na siłę mego postanowienia.

Pani Łęcka przypatrywała się Witoldowi uważnie i coraz pobłaźliwiej. Serce matki białło górę powoli nad wszystkim. Ostoji zdanie dużo w jej poglądach znaczyło już to z powodu nie-skazitelnego stanowiska, jakie hrabia w kraju zajmował, już to z powodu zaufania i wiary, jaką posiadał u jej ś. p. męża.

— Nie rozumiem! — cicho wyszeptala i dalej dumala.

Wtedy Witold widząc matkę znacznie spokojniejszą i miarkując po wyrazie jej twarzy, że jeśli teraz nie, to chyba nigdy jej nie przekonana, rzucił się jej do nóg.

— Nigdy! nigdy! — zaczęła zaraz matka.

Ale syn się rozplakał, kryjąc twarz w kolanach macierzyńskich. Witold szlochał rzewne-

mi łzami tak, jak matka go nigdy jeszcze nie widziała.

Zdenerwowanie, przestrasz, rozpacz może wyciskały mu obfite łzy. — Pani Łęcka się przeraziła, rozczuliła; obejmując głowę syna, zaczęła go ścisnąć i niemal sama uspokajać i przepraszać.

— O to jedno cię w życiu proszę matko! — szlochał syn.

— No mów! mów! co chcesz, zrobię! — uspokój się! powstań! zrobię, co będę mogła! — mówiła we łzach pani Łęcka.

— Abyś matko jutro była u Kohnów... poznała ją... podziękowała rodzicom...

Pani Łęcka milczała.

— Odmawiasz mi? — zawołał prawie z rozpaczą Witold.

— Powiedziałam, że zrobię co zechcesz — odpowiedziała matka.

Witold dziękował jej jak dziecko, całował po rękach i nogach, obiecywał dozgonną wdzięczność.

Nagle zerwał się od nóg matki. Oblicze jego jaśniało szczęściem, jak nigdy. Był już zwątpił bowiem. Jak szalony wybiegł z pokoju i poleciał do swego pokoju, gdzie niecierpliwie wszyscy czekali.

— Chodźmy! — zawołał do Bywalskiego — chodźmy razem do Kohnów... matka jutro u nich będzie!

To powiedziawszy Witold chwycił za paletę.

— Ależ człowieku! — zaoponował Bywalski — jakże? tak? tak pójdziesz?

Bywalski wzrokiem obejmował ubranie Łę-

ckiego, które nie było wieczorowem. Witold się spostrzegł, zafrasował chwilę, ale nagle zawołał:

— Tak, tylko słówko powiem Marji... tylko ją zobaczę!

Naciągnął paletę, pomógł w tej samej funkcji Bywalskiemu i wyszli.

Helena pobiegła do matki, była już szczęśliwą i zadowoloną.

— Wie mama co? — zawołała zaraz ode drzwi — pan Bywalski mówi, że panna Kohn podobną jest... wygląda na Angielkę.

Pani Łęcka nie odpowiedziała nic, była spokojną, ale więcej przybitą, niż kiedykolwiek.

Niezadługo weszli pan Hamilkar i Jański zaalarmowani decyzją pani Ludwiki, którą im doniósł Michał.

— Mój Michasiu! — odezwała się pani Łęcka do Michała — gdybyś zechciał pójść teraz do hrabiego Ostoji. Chciałabym go dziś jeszcze widzieć... albo on tu przyjdzie, albo ja pójdę do niego.

— Ależ to późno! — wtrącił pan Jan — po dziewiątej!

— Przecież w Warszawie chyba później się kładziecie spać, niż w Zyblówce.

Michał zaraz wybiegł.

Tymczasem Bywalski z Witoldem wchodzili do pałacu Kohnów.

Wszystko tu było, jak zawsze, oświetlone. Panowie jeszcze po obiedzie siedzieli w fumoirze przy czarnej kawie i likierach. Panie znajdowały się w czerwonym salonie, gdzie zwykle się bawiono, gdy kółko było mniejsze, a dnia tego prócz

pań domowych, była tylko pani generałowa Papatow.

Bywalski poszedł do salonów, zostawiając Witolda w salonie wchodowym, jaki tworzyły schody.

Natychmiast jednak przybiegła do niego Marja uszczęśliwiona i tylko dobrego się spodziewająca po tej niespodziewanej wizycie Witolda.

Przemocą wciągnęła go do salonu, przedstawiła generałowej, poczem zaraz zabrała go z sobą do obok leżącego budoaru.

Witold całując ją po rękach objaśniał o przyczynie swego przybycia, zapowiadał jutrzejszą wizytę matki.

Marja tymczasem przyniosła mu kieliszek likieru zielonego, jak najczystszej wody szmaragd, z którym także już chodził po salonach Bywalski.

Potem pobiegła do matki, coś jej na ucho szepnęła.

Pani Kohn zaraz posłała Bywalskiego do panów, ci przybyli niebawem wraz z Kohnem.

Podczas gdy pan minister rozmawiał z generałową, a generałowi młodsza panna Kohn pokazywała rybki złote w ogromnym basenie, pani Kohn z Bywalskim i mężem radzili nad czemś w dużym salonie.

Bywalski coś opowiadał, Kohn się śmiał, a żona jego zaciskała usta.

Narada ta trwała krótko.—Pani Kohn powróciła do gości, a bankier z Bywalskim przeszli do ogrodu zimowego.

Spacerowali między roślinami, Bywalski z



kieliszkiem likieru w ręce, a Kohn zamysłony z rękami w kieszeniach od połów fraka.

Bywalski opowiadał swoją rozmowę z panią Łecką w najdrobniejszych szczegółach, opowiadał wszystko.

Bankier od czasu do czasu uśmiechał się ironicznie.

— To trudna sprawa będzie z tą szlachcią — zamruczał wreszcie Kohn.

— Miałeś pan z pewnością trudniejsze — odparł Bywalski i ruszył pierwszy nazad do salonów, bo usłyszał dwukrotne zajęczenie dzwonka apartamentowego.

Mógł to być tylko wydany rozkaz podania herbaty, a ta na małych recepcjach u Kohnów była czemś nadzwyczajnem swą wybornością.

— Kazałam podać wcześniej herbatę — odezwała się pani Kohn — bo panu Łeckiemu się spieszy.

Lokaje wnosili uginające się tace pod ciężarem petersburskich sreber, w których mieściły się najrzadsze owoce i najprzedniejsze ciasta.

Marja sama obsługiwała Witolda, który siedział na kanapie w przyległym saloniku i wyglądał zły, ile razy go opuszczała, choć go opuszczała tylko dla niego.

Szeptali coś razem, rozmawiali tak cicho, iż siedząca opodal przy basenie z rybkami młodsza siostra nic usłyszeć nie mogła.

Wreszcie dziesiąta zaczynała wydzwaniać najpyszniejszymi tonami na zegarach apartamentu.

Witold się zerwał.

— Muszę iść!

Marja posmutniała i gdy się z wszystkimi pożegnał, odprowadziła go na schody.

Tutaj przybyła jeszcze pani Kohn.

— Mówiła mi Marja — zaczęła do Witolda — że jutro matka pana ma być u nas. Przybyli także pańscy krewni — czy tak? — Wielką nam sprawią przyjemność ci panowie, jeśli zechcą towarzyszyć pańskiej matce jutro, na którą czekać będziemy ze śniadaniem. Proszę ją o to bardzo prosić z mej strony.

Witold rzuciwszy jeszcze ostatnie czułe wejście Marji, wybiegł.

W niespełna kwadrans znalazł się już w hotelu Brülowskim. Na schodach wyminął go jakiś wysoki mężczyzna, którego twarz zakrywał szeroki bobrowy kołnierz. Witoldowi biegnącemu szybko zdało się, iż ten pan był mu znajomym. Obrócił się i poznał w nim hrabiego Ostoję, ale nie zatrzymując go, pospieszył dalej.

U matki zastał wszystkich w komplecie, po twarzach ich poznał, że dopiero co stoczyli walną utarczkę. Jański był cały rozplómienny. Pan Hamilkar nad wyraz znużony, a na policzkach i pod oczami pani Łęckiej czerwieniły wypieki moralnego i fizycznego znużenia.

Rozmowa nie szła, powoli też każdy oddalał się do siebie. Ostatni wyszedł Witold, uprzedziwszy wpieryw Helenę o zaproszeniu na śniadanie do Kohnów.

Łęcki czuł się znużonym, jak nigdy, jednakże usypiał dnia tego snem jenerała, który wygrał walną i rozstrzygającą bitwę. Przekonał matkę. Pozory przyzwoitości, jeśli nic więcej, miały być z pewnością zachowane. Na razie

więcej zadać nie mógł, miał nadzieję, że czas resztę wykona.

Dużo liczył na jutrzejszą wizytę. Nie wątpił, że Marja od razu pozyska serce matki i siostry, jak też nie wątpił, że się i pani Kohn podobać im będzie. Z fizjognomji matki i pana Hamilkara wreszcie wyczytał, że Ostoja go popierał i że tenże prawdziwy opór natrafił tylko w tej naradzie w przekonaniach starszylacheckich Jańskiego. Ostoja przecież nie mógł nic innego powiedzieć jego matce od tego, co jemu był powiedział. A Witold wiedział, że hrabiego zdanie było w rodzinie Łęckich nie małej doniosłości. Z wizyty też jego dużo sobie obiecywał. Wszakże musiał być wezwanym i to gwałtownie, gdyż stary hrabia dla byle kogo i byle czego się nie ruszał.

Nazajutrz rano Witold dopiero co się był zerwał i zaczął ubierać, gdy do drzwi jego zapukała Helena. Siostra jego weszła z dużą szkatułką w rękę. Usiadła i odłożyła puzdro, a przywitawszy się serdecznie z bratem, tak zaczęła.

— Jak wiesz, mama się zdecydowała iść do państwa Kohn. Nie chce z tobą o tem mówić, gdyż to jej widoczną i niewymowną sprawia przykrość. Rozumiesz jednak, że z chwilą, gdy przestąpi próg domu ich, przestąpi go w charakterze matki, dziękującej... za przyjęcie cię... Jak tam to mama zrobi nie wiem... Ostoja dużo wpłynął.. Widzę jednak, iż to jest jej... nie uwierzysz, jak wstrętnem.

Witold słuchał i zapytał.

— Czy i tobie także?

— Mój drogi — odparła Helena — my już

jesteśmy dziećmi innej epoki, ja w Pradze byłam koleżanką na pensji panny Rotenfinger, którą bardzo kochałam...

Panna Helena zamyśliła się i po chwili znów zaczęła.

— Mama przyseła ci swoje perły, które zawsze przeznaczala dla swej synowej... są one jeszcze po żonie pana oboźnego.. Pewnie mają oni piękniejsze, lecz nie takie, które przeszło sto lat są w rodzinie.. Z chwilą, gdy jesteś przyjętym, a mama będzie u Kohnów, jesteś właściwie zaręczonym... Zależy to od ciebie, czy chcesz twej narzeczonej ten prezent wręczyć teraz, czy w dzień ślubu.

Tu Helena otworzyła szkatułkę i wyjęła z niej pięć rzędów przepysznych pereł wraz z staroświeckim szmaragdowym *fermoirem*.. i położyła je na stole.

Witoldowi łzy w oczach stanęły, które spostrzegłszy Helena, wszystkich sił użyła, aby sama się nie rozplakać. W tych perłach, przeznaczonych i starannie konserwowanych przez poczciwą matkę dla wybranej i ukochanej synowej, a dziś mających być wręczonemi pannie Kohn, było coś rozczulającego, nawet męskie serce Witolda.

Helena dalej mówiła.

— Prócz tego mama kazała ci pokazać te kosztowności, abys z nich, wybrał to, co ci się dla twej narzeczonej najwięcej podobać będzie. To chce mama sama jej wręczyć.

— To zupełnie niepotrzebne to się daje przy ślubie — mruknął Witold.

— Skoro mama tak chce...

— Ja się nie znam na tem... prosz mamy, aby sama wybrała.

— Jest garnitur szafirów.

— Moja droga...

— To ja wybiorę i powiem, żeś ty wybrała... szafiry są najpiękniejsze.

To mówiąc, Helena włożyła w odpowiednie pudro perły i zostawiła je na stole. a szkatułkę zamknawszy, ucałowała Witolda i wybiegła.

W dwie godziny później dwie remizy hotelowe unosiły wszystkich Łęckich w stronę pałacu Kohnów.

Pani Łęcka siedziała z córką i Witoldem, była smutna i melancholiczna, co psuło dobre humory córki i syna

W pałacu Kohnów czekano.

Gdy ekwipaże wjechały w bramę, dzwonki elektryczne zagrały we wnętrzu apartamentów.

Pani Kohn dobrze wszystko przygotowała.

Pani Łęcka dziwnego doznawała wrażenia, wchodząc po schodach na pierwsze piętro. Ten królewski zbytek ją oszołomiał i raził. Sama nie wiedziała, czemu to przypisać, czy odzwyczajeniu się swemu od świetności świata, czy innym uczuciom.

Lokaje w pełnej liberji stali co kilka schodów. Witold zauważył, iż liberje były zupełnie nowe i paradniejsze. Niekontent był z tego wyśadzenia się Kohnów na przyjęcie jego skromnej i nie lubiącej przesady rodziny.

Zauważył na pańskiej i dobrodusznej twarzy stryja Hamilkara dziwny uśmiech, który go zabolął.

Matka jego wyglądała zaś tem kapaniem



złota, tym nadmiarem służby, tą ceremonją inną na każdym kroku, przerażoną.

Weszli na górę. W oka mgnieniu kilku lokai uwolniło ich z paltotów i zarzutek. Podwoje roztworzyły się na oścież, jakby siłą ukrytej maszyny, tak cicho robiła to wszystko służba i pani Łęcka, która szła pierwsza, znalazła się naprzeciw pani Kohn.

Ta obsypała ją natychmiast kaskadą francuskich frazesów.

Matka Witolda, coraz więcej odchodząca od przytomności, prawie zimno dziękowała za przyjęcie syna.

Ale za to dłużej zatrzymała w swych objęciach Marję.

Witold śledził wyraz twarzy swej matki.

Wyglądała rozczuloną, po kilkakroć się przypatrywała głęboko i badawczo swej przyszej synowej, która ze łzami w oczach ją po rękach całowała.

Zdawało się, iż panna Kohn pozyskała od razu serce matrony.

Nastąpiło wzajemne zapoznawanie się, przy którym nie obeszło się i bez komicznej sytuacji.

Pan Hamilkar wyglądał, jak gdyby nie chciał wierzyć, iż pan Kohn był panem Kohnem. Ztąd w rozmowie ich zaraz wywiązało się pewne, bardzo przez chwilę żenujące pomieszanie.

Wreszcie wszyscy się poznali i uznali.

Znalazł się i Bywalski, który wziął na stronę Witolda i zagadnął.



— Ułożyliśmy, że najstosowniej będzie, aby zaraz dzisiaj odbyły się zaręczyny.

— Zapewne...

— Otóż kupiłem pierścionki...

Tu Bywalski wyciągnął z kieszeni dwa puzderka, z których mniejsze wręczył Łęckiemu.

— Oba takie same! — szeptał — z szafirami, to ma być szczęśliwszy kamień... panna Marja tak sobie życzyła... winienesz mi dwieście rubli... szafir bardzo piękny.

— Dziękuję! — odparł pomieszany Witold, ściskając dłoń Bywalskiego. Ten pobiegł zaraz do panny Marji. — Witold zaś przysunął się do matki, którą zabawiał pan Kohn.

Dziwnie oboje wyglądali, pani Łęcka wysoka, dumna, jakaś zmęczona, jakby zbita moralnie, przy Kohnie niziutkim i szczęśliwym.

Różność typów była tak wielką, iż uderzyła zajętego czem innym Witolda.

— Dziś mają się odbyć zaręczyny! — szeptał Witold na ucho do matki.

Kolory uderzyły na twarz pani Łęckiej, jednakże nie odparła, tylko skinęła głową, jakby jej wszystko w tej chwili było obojętnem.

Matrona swemi dużemi, spokojnemi oczami wodziła po dopiero co poznanych, a tak blisko ją już obchodzących osobach. Wzrok swój głęboki często i długo zatapiała w ślicznej twarzy Marji i wtedy jakiś pogodniejszy wyraz okraszał jej smutne oblicze.

W salonach panował gwar, pani Kohn z córkami podwajały się, aby wszystkich rozbawić i ośmielić tak, iżby im się zdawało, że są u sie-

bie. — Mimo całej jej światowości, z której słynęła, szło jej to trudno. Helena zabawiła Marię. Pan Hamilkar wyglądał osowiały, a Michał zajęty był oglądaniem apartamentu i wyciąganiem z niego wniosków. -- Każdy chciałby być jednej chwili w tym dniu wszystkich poznać na wylot i wszystkiego się od murów i od przedmiotów dowiedzieć.

Wtem drzwi od przedpokoju znów roztwożyły się na oścież. — Lokaj w pończochach wsunął się na kilka kroków i zawołał donośnym, przygłuszającym głosem.

— Jego Ekscelencja ksiądz biskup!

W salonie ucichło, jakby makiem zasiał. Lokaj zniknął, a poważnym krokiem wszedł biskup wyniosłej postaci we fioletach i łańcuchu na szyji.

Wszyscy rzucili się do witania Jego Ekscelencji, prócz pani Łęckiej, która tylko godnie powstała i pana Hamilkara. Ten zdawał się temu wszystkiemu przypatrywać, jak komedji.

Równocześnie z biskupem, znalazła się w salonie jakaś stara pani, niziutka, wystrojona dziwnie. semickiego typu, w perłach i wisiorach.

Nikt nie wiedział, kiedy i którędy weszła. Dostrzegł ją zaraz Witold, przywitał się i natychmiast przedstawił jej swoją matkę i siostrę.

Była to stara pani Kohn, matka bankiera.

Zdziecinniała staruszka coś sepleniała do pani Łęckiej, która zgoła nic jej nie rozumiała, lecz głową potakiwała.

Biskup zbliżył się do pani Łęckiej i winszował jej w nadzwyczaj uprzejmych słowach. Ta dziękowała, ale tak chłodno, tak dziwnie przy-

tem przypatrując się dostojnikowi kościelnemu, iż pani Kohn zwróciła uwagę Witolda, że matka jego wygląda bardzo zmęczoną.

Znowu roztworzyły się inne drzwi na oścież. Dwóch lokaj stanęło w nich podtrzymując adamaszkowe portiery.

Wszystkich oczy skierowały się w tę stronę.

Wszedł Pomballe i zawołał:

— *Madame est servie.*

Parami przeszli zaproszeni do sali jadalnej. Śniadanie trwało długo. Pani Łęcka siedziała między biskupem a panem Kohn, narzeczeni razem.

Rozmowa także i tu nie szła pani Łęckiej choć chciała była, będąc bardzo pobożną, pomóć wic z biskupem. Zwaląta to na niesłychany pośpiech obsługi, która zaledwie dawała czas gościom zjeść i odetchnąć.

Pan Hamilkar, lubiący dobrą kuchnię, cierpiał na tem i ogromnie się zdziwił, widząc nagle przed sobą regiment pełnych kieliszków wina, które sam nie wiedział, kiedy brał, a czasu nie miał skosztować.

Nad tem marnotrawstwem mody się zastanawiał, gdy lokaj znów wsunął przed niego tacę z napełnionymi kieliszkami, zbyt głośno wołając:

— *Chateau d' Yquem!*

Pan Hamilkar oburzony, wskazał lokajowi ręką regiment nienapoczętych kieliszków, mrucząc:

— *Dosyć tego.*

Równocześnie już serja innego wina, mianowicie reńskiego zaczynała się od pani Łęckiej. Wino to podawano w przepysznych kielichach z zielonego szkła, z malowanymi olejno ornamentami.

Pani Łęcka, która lubiała starożytności, uważała to szkło i obracając się do Kohna zagadnęła.

— Cóż za śliczne staroniemieckie kielichy! Wzięła kielich do ręki i bliżej mu się przypatrywała.

— Ale cóż to za herb? — zapytała z zaciekawieniem, uważnie odgadując ornament, mający fikcyjny, czy fantastyczny herb naśladować.

Kohn przecież herbu nie miał, zczerwieniła się i pani Łęcka dopiero swą nietrafność spostrzegła. Ten wypadek popsuł jej na resztę śniadania znów humor, który zaczynał się poprawiać.

Nastąpił niekończący się deser, złożony z sześciu zmian talerzy, niesłychanie męczący ludzi, nieprzywykłych do tego rodzaju śniadań, którego tylko Bywalski niedyskredytował—i wstało od stołu.

Po czarnej kawie i likierach, przeszli wszyscy do dużego salonu, gdzie odbyła się ceremonia wymiany pierścionków.

Nastąpiły błogosławieństwa, przemowy. Wszyscy byli rozczuleni, biskup kilka rzewnych słów wypowiedział.

Gdy przyszła kolej na panią Łęcką, gdy Witold zbliżył się do niej z Marją, gdy ta chciała ukłęknać, matrona uchwyciła ją w swoje objęcia i rozplakała się rzewnemi łzami.

Chwila ta była przejmującą.

Pani Łęcka szeptała coś do ucha swej przyszłej synowej i szlochała.

Witold musiał matkę uchwycić w swe ramiona i w drugim salonie uspokoić.

Pani Łęcka, wysiłona emocjami, pierwsza opuściła dom Kohnów, zabierając z sobą Helenę.

Po jej wyjściu doznała reszta towarzystwa pewnego wrażenia swobody.

Biskup rozmawiał z panem Hamilkątem.

Marja wyniosła się ze swym narzeczonym do czerwonego saloniku. Gruchali i wyglądali szczęśliwi.

Panią Kohn, również zmęczoną, zabawiał Michał Łęcki.

Bywalski z młodszą panną Kohn podziwiali prezenta zaręczynowe Marji, które razem były ułożone na stole w salonie.

Najpiękniejszymi były perły od Witolda i szafiry od matki, jak osądził sam Kohn, były bowiem stare, a perły, choć nie duże, dziwnie dobrane.

Tak czas prędko minął do piątej.

O szóstej nikogo już nie było, prócz Bywalskiego, który poszedł się przespać przed obiadem i — Witolda, który zostawał do wieczora.

Bywalski powrócił ze swojej drzemki.

Gdy Kohn zbliżył się do niego:

— Wiesz! pani Łęcka wyglądała, jak na pogrzebie — zagadnął.

— Hm! — odparł bywalec, przecierając szkiełko od monokla — hm... bo to był sobie mały pogrzebik — dodał ciszej.

Kohn spojrział zdziwiony.

— Pogrzebik arystokratycznych aliansów — dodał ciszej z uśmiechem — Witolda pragnęli Lewicze i... pani Kamińska.

Bankier się uśmiechnął, a uśmiech jego zauważyła siedząca w drugim końcu salonu pani Kohn. Widocznie zrobił jej on bolesne wrażenie, bo usta się jej wykrzywiły, a oczy zaćmiły.

\*



Zdawała się cierpieć, choć dokoła niej wszystko tchnęło szczęściem i zbytkiem.

Wkrótce po obiedzie Witold pożegnał Koh-nów. Spieszno mu było do matki, z którą chciał spędzić resztę wieczoru.

Jakież było jego zdziwienie, gdy mu portjer w hotelu wręczył list, adresowany ręką jego matki, oznajmiając, że pani Łącka z córką wieczornym pociągiem, dopiero co, opuściła Warszawę.

— A panowie? — zapytał Witold, i krew mu uderzyła do głowy.

— Ci panowie są!

Łęcki pobiegł z listem w rękę do siebie. Gorączkowo zapalił świecę i rozrywał kopertę. — Matka pisała :

„Kochany mój Witoldzie! Zrobiłam, co chciałeś, więcej nie żądaj! nie mam sił ani odwagi. Narzeczona twoja mi się bardzo podobiała. Bądź szczęśliwym i pamiętaj, że człowiek raz tylko się żeni i na całe życie. Twoja kochająca cię matka“.

Tyle było tylko.

Witold się zadumał, a dwie łzy spływały mu po policzkach.

— Pocziwe matczysko! — szeptał.



## VI.

Za dwa dni miał się odbyć ślub Witolda z panną Kohn.

Było to w czerwcu, w czasie wyścigów, kiedy Warszawa przybiera odświęteczną powierchowność, napełnia się zgiełkiem, kipi życiem, a szumi eleganckim zbytkiem.

Różne postacie i różne typy spotykało się na ulicach, nie codzienne, nie miejskie.

Lśniące ekwipáže, błyszczące do słońca złotem i barwami, wymijały obszarpane i chciwe tylko zysku dorożki.

A wesołość malowała się na wszystkich twarzach.

Zajęcie czemś, stojącem po za ciasnym zakresem codziennych zajęć i obowiązków, zdobiło każde niemal oblicze.

Tego bawił już sam zdwojony ruch miasta, owego pobudzał interes, czy nadzieja zysku, innego jeszcze amatorstwo, czy czynny udział w poruszającej miastem w tej chwili sprawie.

Witold jeden nie brał udziału w ogólnej gorączce.

Z hotelu Brülowskiego przez ulicę Wierzbo-

wą, zdązał w stronę Krakowskiego przedmieścia i zdawał się nawet nie zważać na ruch i zgiełk więcej, niż kiedykolwiek hałaśliwy i turkotający.

Myślą swą gdzieś był daleko od tego miasta, od tego wszystkiego, co dokoła niego poruszało ludźmi i kipiało życiem.

A z zakłopotanego i zasepionego wyrazu twarzy jego niktby się nie domyślił człowieka, który miał za dwie doby stanąć z wybraną i ukochaną przez siebie, u stóp ołtarza.

— Z panną Kohn! córką milionowego bankiera!

Samo to wystarczyłoby niejednemu, aby oblicze jego promieniało szczęściem, tryumfem i śmiało się do życia, ludzi, słońca!

A Łęcki przeciwnie szedł zamysłony i prawie nieprzytomny.

Dostał on bowiem w tej chwili, wychodząc z hotelu, list od matki, w odpowiedzi na jego gorące prośby o jaknajliczniejszy zjazd na swój ślub.

Pani Łęcka pisała, że zjedzie sama z córką i to tylko na samą uroczystość w kościele, czuje się bowiem słabą i prosi go, aby ją wytłumaczył przed Kohnami.

Co do licznych krewnych na Podolu, co do opiekuna jego, pana Hamilkara i wielu innych, donosiła pani Łęcka, że nie przyjadą, każdy z innych powodów.

Jeden z powodu opóźnionej strzyży owiec, drugi z powodu zagrażających wczesnych żniw, trzeci z powodu jarmarku w Jarmolińcach, czy czegoś podobnego.

Każdy miał wymówkę, każdą z nich boleśnie czuł się dotkniętym Witold.

Że go świat od dnia zaręczyn z panną Kohn opuścił, a kłaniając mu się lekkim uchyleniem kapelusza, ironicznie się uśmiechał, nie ziębiło ani grzało Witolda.

— Świat jest od tego, — myślał — aby dziś oburzał się na to, czemu jutro przykłaśnie.

Ale zabolalo go postąpienie własnej rodziny, na którą liczył, której dotąd w każdym wypadku życia sądził się być pewnym.

Jego ukochana matka dawała mu delikatnie do zrozumienia, że zrobi poświęcenie, poświęcenie macierzyńskie, przybywając na ślub jedyne-go syna, tak ślub ten był jej przeciwnym — wstrętnym!

To się czytało między wierszami i to wyczytał Witold.

Szedł też, sam nie wiedział gdzie, prawie nieprzytomny. W głowie mu szumiało, w żyłach kipiała jego młoda krew, w sercu wzbierało może, raz pierwszy w życiu, uczucie oburzenia, jakby po doznanej obeldze...

Cierpiał, cierpiał dla Marji! Z radością tylko stwierdzał fakt, że cierpienie zamiast niszczyć, kruszyć siłę jego miłości, wzmacniało ją i hartowało.

Przyspieszył kroku. Potrzebował ruchu, powietrza, dużo powietrza!

Sam nie wiedział, jak i kiedy, dość, że porwany falą tłumów zaszedł na plac wystawy rolniczej.

Panujący tu zgiełk orzeźwił go.

Chwalono, kupowano, targowano, spierano się i zabiegano na wszystkie strony.

Ten pragnął sprzedać swoje konie, ów dostać medal, trzeci tylko list pochwalny.

Ale każdy pragnął czegoś i to mu dodawało otuchy, energii, siły, okrywało twarz rumieńcem, zaiskrzało oczy.

Witold spotykał tu znajomych. Nie chciał się witać. Jednych, udawał, że nie widzi. Drudzy udawali, że jego nie widzą.

Nic sobie z tego nie robił.

Ale nagle, w gronie ludzi poważnych, radców Towarzystwa i członków komitetu i wystawy, sportsmanów i wyścigowców, zoczył bliżej znajomą twarz.

Był to jego dobry przyjaciel, człowiek bardzo wzięty, rodak z Podola, koryfeusz okolicy, pan marszałek Zagłoba, obywatel lat czterdziestu i kilku, sąsiad dalszy Zyblówki.

Ucieszył się Łęcki, widząc w tym chaosie ludzi mu obojętnych, sympatyczną postać

Podszedł do grona dysputującego nad mającym być premiiowanym buhajem.

Z uśmiechem na ustach, z wyciągniętą ręką zbliżył się do marszałka, wykrzykując z radością:

— Kochany pan marszałek!

Pan Zagłoba zeszywniał, zaledwie dotknął wyciągniętej dłoni Witolda. Drugą ręką sięgnął do kapelusza i oddał Łęckiemu głęboki ukłon, jaki się oddaje człowiekowi wczoraj poznanemu, dla którego się chce być bardzo grzecznym, ale nie więcej.

Kolory uderzyły na twarz Witolda. Uczuł

ranę z zamiarem i rozwąga zadaną. Cofnął się i słyszał, jak szlachta szeptała i widział dwuznaczne uśmiechy, z którymi od czterech miesięcy jeszcze się nie oswoił.

Słyszał, czy mu się zdawało, że słyszał, jak Zagłoba czy informował towarzyszy, czy tłumaczył swoje etykietalne i tak ubliżające przywitanie się z uśmiechającym się doń człowiekiem.

Słyszał.

— To ten Łęcki, co się żeni z Kohnówną, ten, co się sprzedaje za głupie dwakroć...

Wrzało w nim, kipiało...

Wybiegł z placu wystawy, dopadł dorożki i kazał się wieźć do Bywalskiego.

Potrzebował się wywnętrzyć ze swych cierpień byle komu, mającemu uszy i zdolne się zarumienić jeszcze policzki.

Poprzysięgał zemstę tym, co go szkalowali na podstawie posagów.

— Przyjdzie chwila na mnie! — szeptał.

I myśl, że będzie bogatym, bardzo bogatym, była niejako balsamem na rany, które mu zadawano.

— Bogaty — myślał — jakże łatwo się zemścić może. Jakże w życiu sposobność zemsty sama bogatemu w ręce wchodzi i na łaskę czy niełaskę ofiarę rzuca.

Dorożka zatrzymała się na Chmielnej.

Łęcki wyskoczył i wkrótce znalazł się w saloniku Bywalskiego.

Nie owijał słów swych w bawełnę. Jakby jakiemu w tem wszystkim winowajcy, opowiedział Bywalskiemu, co cierpiał, co go, kiedy i gdzie spotkało, jakie w ostatnich miesiącach pod-



chwycił uśmiechy, na jakie ukłony policzkiem nie odpowiadał.

Zdumiony Bywalski, przeczyszczając szkielek od monokla, słuchał.

Witold mówił bez końca i opowiedział wreszcie treść listu swej matki i spotkanie swe z marszałkiem, które go do takiego stanu, w jakim się znajdował, doprowadziły.

Bywalski w odpowiedzi się uśmiechnął.

— Jeśli myślisz, mój drogi, liczyć się — mówił, cedząc wyrazy, jak to czynił, gdy wygłaszał swoje światowo filozoficzne teorie — z uśmiechami marszałków parafialnych i szlagunów z pod ciemnej gwiazdy, to się dziwię, że się żenisz z panną Kohn.

Witold chciał przerwać, ale Bywalski, lekko rozdrażniony, mówił:

— Z takim usposobieniem i takimi zasadami, z takim wrażliwym temperamentem na miny reprezentantów szlagonerji i ukłony koryfeuszów parafialnych, a na epitety i uwagi jarmarkiewiczów z Łęczny i Łowicza, to powinieć się był starać o pannę Zagłobiankę.

— Nie ma córki! — przerwał Witold.

— Mniejsza o to — zaraz odparł Bywalski — że on nie ma córki, ale drugi, taki sam, jak on, ma ich dwie, lub cztery. Są to panny bardzo rumiane na twarzy, wiecznie uśmiechnięte, szalenie lubiące tańce, marzące o mężu, coby miał cztery konie i powóz używany w niedzielę do kościoła. Taka panna Zagłobianka miała guwernantkę francuską, ale zawsze będzie wymawiać *metenan*, zamiast *maintenant*, a jeśli jej sprawisz suknię u Hersego, będzie w niej wy-



glądać jak czupiradło. Mówiąc do pani Korońskiej, palnie ci „pani hrabino“, zachwycać się będzie nad Kraszewskim i Orzeszkową. a spyta cię się niezawodnie, czy Merimée był Anglikiem. Zresztą, do trzydziestego roku życia wychowa czterech co najmniej nieznośnych w domu bachorów, a w trzydziestym roku życia będzie starą babą, nad wszystko kochającą swoje kury i kaczki i siedzącą kamieniem w domu, aby nie kłaść sznurówki.

Witold śmiać się zaczął, a Bywalski tłumił uśmiech, aby nie popsuć wrażenia swych obrazów, i dalej kończył:

— Młodzieniec, mający takie gusta, nie żeni się z panną Kohn!

Odpoczął i dalej zaczął:

— Czy myślisz, że za któregokolwiek z tych, którzy ci tak wymownie swoje niezadowolone socjalne z powodu twego małżeństwa okazują, wydał by córkę Kohn?

— Wszak Koroński od tego czasu zerwał ze mną! — zawołał w odpowiedzi Witold.

— Koroński! hm.. Koroński! O nim pomówimy później. Teraz cię pytam o tych szlachciców z Podola i z naszego obywatelskiego świata.

Witold nie odpowiedział, a Bywalski dalej prawił.

— Widzisz! Rzeczy tak się n'ają. Szlachta ta *nota bene*, o której mowa, doskonale wie, że świat finansów i ich, to są dwa światy. Wie dalej, iż z chwilą wejścia w świat Kohnów, wychodzisz z ich świata, bo byś był głupim, mogąc chodzić po dywanach, chodzić po podłogach. Mogąc pić szampańskie, pić cienkosze wę-

gierskie. Mogąc rozmawiać o sztuce i rzeczach europejskiego interesu, byłbyś głupim, gdybyś chciał rozmawiać o świniach i rzepaku, rzepie i kartoflach.

Witold milczał, Bywalski dalej ciągnął.

— Między tobą, a wszystkimi Zagłobami, wszystko skończone! Jutro, jak ty ich niezrozumiesz, tak i oni ciebie nie zechcą zrozumieć. To darmo! to są prawa złota, które klasyfikują społeczeństwa. Oko twoje przyzwyczajone do obrazu Siemiradzkiego i połysku makaty, razić będzie bohomaz, wiszący na papierze w *hortensye* u pana Zagłoby. Zona twoja przywykła do konwersacji światowej, niby o niczem, ale opartej na wykwintności wykształcenia, nie potrafi rozmawiać z panią Zagłobiną, zamkniętą w ciasnocie jednej z podolskich parafji.

— Pan mówisz jak belletrysta! — zawołał podniesiony na duchu Witold.

Bywalski nie dał sobie przerywać, bo postanowił dokończyć, tem więcej, że go Witold irytował swoją zaściankowością.

-- Dziś więc — mówił — szlachta uważa cię za dezertera i jako takiego maltretuje... Wiesz? opowiem ci pyszny przykład. Cała moja rodzina głęboko się na mnie pogniewała i obraziła, że zamiast żyć z Zagłobami, żyję tylko z hrabiami i księżętami. Brat mój rodzony, typowy szlachcic, jak wiesz, nie bywa u mnie, gdy jest w Warszawie, a pytającemu się o powód gniewu na mnie, odpowiada: „To pan!” Szlachta, ta rdzenna, ta prawdziwa, nie zdemoralizowana aljansami, ani fortunami, nie znosi dezertarów, nawet takich, jak ja, bo przecież ja nie ożeniłem

się z panną Kohn... Żaden z tych panów, z którymi się na Podolu wychowałem, dziś mnie znać nie chce.

Bywalski powstał, a Witold jeszcze go słuchał. Słowa jego brzmiały mu w uszach; rozwijał te poglądy i niepozabawione wielkich prawd salonowych i światowych zasady wytrawionego bywalca.

Nie podzielał ich może Witold i ślepo im nie hołdował. Uznawać je i brać za podstawy zapatrywań życia, nie zamierzał i nie chciał, lecz mimo to, jakiś głos wewnętrzny szeptał mu z szatańskim uśmiechem, że Bywalski mówił — prawdę!

To go podniosło na dachu. Rozbudzony, weselszy, zerwał się z krzesła. Jego fizjognomja odzyskiwała prędko i stopniowo swój pewny siebie, śmiały i otwarty wyraz. Jego oczy nabierały blasku, a delikatne nozdrza jego rasowego nosa roztwierały się z równoczesnem zaciśnięciem ust, jakby już gotował się do walki z życiem i jego przesadami.

Bywalski przypatrywał się tej metamorfozie na twarzy swego pupila z niewypowiedzianą radością w swych lisich, lecz sprytnych oczach.

Wykrzyknął też z radością.

— *Dieu!* jakże ty jeszcze jesteś młodym!

— Dla czego? — odparł zdziwiony Witold, który się uważał za skończonego mężczyznę.

— Dla czego? — powtórzył Bywalski i dodał — dla tego mój drogi, że człowiek, którego przygnębić i do zwątpienia zupełnego, w jakim przed chwilą się znajdowałeś, doprowadzić może

fakt, że kilku Łęckich i Zagłobów krzywi się na twoje małżeństwo, nie jest dojrzałym.

— Ależ matka moja! — wykrzyknął Witold. Bywalski się zamyślił.

— To... przykre — odparł — buntują ją... Rozumiem ztąd pochodzące twoje zgryzoty... Wierzej mi jednak, ja stary i szczwany lis, nie darmo jestem Bywała — Bywalski! wierzej mi, nigdy żałować nie będzie, żeś jej dał tę synowę.

Witold zdawał się wątpić, a Bywalski wstał i tonem, jakim się wygłasza wielkie i głębokie zasady, dodał:

— Największą filozofją życia jest obiektywność zapatrywań naszych. Wszelka parcjalność sprawia, że jedna i ta sama rzecz, z każdego punktu widzenia wzięta, inaczej się przedstawia i przechodzi wszystkie odcienia dodatnie i ujemne. Gdyby ludzie nauczyli się patrzeć na rzeczy tego świata obiektywnie, ileżby uniknęli złego, ileż przysporzyli dobrego. Ale to... to nauka dalekiej przyszłości, dziś... mówił mi wczoraj u Kinszteinów redaktor *Gazety krajowej*, w belletrystyce bardzo pożądana i ceniona... I to dobrze!

Bywalski zamilkł, a z końcowych frazesów czuł już Witold, że się wyczerpał i że dalej facygować się nie myśli.

Łęcki dumiał. Ten Bywalski, ten banalny salonowiec, ten pieczeniarsz — codzień więcej widział Witold — nie był takim, za jakiego go powszechnie miano.

Ten człowiek myślał, zastanawiał się nie tylko nad zjedzonym pasztetem i przetańczonym walcem.

Ten salon — konkludował w głowie Witold — kształci przecież, kształci w pewnym może tylko kierunku, lecz głębiej, niż inne światy.

Temu, co wypowiedział Bywalski, Witold nie mógł odmówić prawdy, ani znajomości ludzi i życia. Bał się tylko, czy dlatego nie podzielał zdania światowca, że mu ono właśnie w tej chwili odpowiadało i dogadzało.

Bywalski, jakby zmiarkował ostatnią myśl, przelatującą przez pracującą mózgownicę młodzieńca, dodał:

— Jeśli się nie zasklepisz w ciasnocie jakiej parafji, jeśli będziesz żył życiem, do jakiego sobie otworzyłeś na oścież podwoje, jeśli przejmiesz się zasadą, że Ostoja, Łęcki, Jański, Kohn, Zagłoba i Koroński, każdy z osobna i wszyscy razem, w wielu rzeczach się mylą, to przyznasz kiedyś, że ten Bywalski nie mówił ci bredni.

Nastąpiło długie milczenie, które przerwał Łęcki, mówiąc z pewnem zakłopotaniem:

— Filozofja jest rzeczą pyszną. Ciekawym jednak, jak się filozoficznie będą zapatrywać Kohnowie na fakt, że na ślubie ich córki, wychodzącej za upragnionego człowieka, nie będzie formalnie nikogo z jego rodziny i świata.

— Niestety! — westchnął tylko Bywalski — nie wyciągną z tego faktu głębokiej nauki, jaka na dnie tegoż dla nich i dla... finansów mieścić się będzie. Ale pociesz się... pocieszą się i oni wkrótce, bo drugą córkę wydadzą za jakiego hrabiego, lub księcia i na ślubie tym... wystąpi cała rodzina pana młodego.

Bywalski uśmiechnął się i dodał.

— Każdy skok... musi mieć kozła ofiarnego.



Kohnowie {robią szalony i upragniony skok, ty będziesz tym kozłem.

— Oto! — zawołał podrażniony Witold — już pan jesteś sobą!

— A kimże chcesz, abym był. Daruj! Ale nie mogę się martwić tem, że rodzina twoja, czy parafja zyblowicka, gniewa się na ciebie, że się nie żenisz z jaką córką powiatowego dygnitarza, czy zamożnego obywatela.

— Ależ tu już mi o to nie chodzi! — zawołał Witold — tu mi chodzi o Kohnów!... o Marję!

Bywalski nic nie odpowiedział, tylko się zamyslił.

— Sam niewiem, czy kogo prosić z mych znajomych, z przyjaciół niby — zamruczał Witold, chodząc wielkimi krokami po pokoju.

— Zrób, co do ciebie należy — zaraz odparł Bywalski. — Proś każdego, którego byś na ślub twój prosił, gdybyś się żenił n. p. z panną Lewicz, czy inną i gdyby rodzicom panny chodziło o jaknajliczniejsze zgromadzenie... Prosiłeś Koronńskiego?

Witold przystanął.

— Ale na miłość Boga, kochany panie! zawołał prawie w rozpacz — jakże go mam prosić? On mnie znać od trzech miesięcy nie chce, on mi się zaledwie odkłania na ulicy. on poprostu odciąga wszystkich odemnie, osamotnia mnie?

Bywalski uśmiechnął się z dziwną ironją.

— Jakież to życie zabawne!... dla spektatora... obojętnego... biernego aktora... — wycedził nie wyjmując z ust papierosa — prosiłeś Ostoję? — dodał.



— Ostoję?

— Ostoję!

— Ostoję, który nie wychodzi ze swego gabinetu, aby nie spotkać... Kohna? — zawołał Witold.

— Cóż to ciebie obchodzi? To wasz przyjaciel przecież i człowiek... nie Koroński. Prosić go jest twoim obowiązkiem, a bytność zostawić mu do woli — mówił z nadzwyczajnym spokojem Bywalski.

Witold rzucił się na sofę i zamyślił. Czuł się zmęczonym. Żal głęboki rodził się i wzrastał w jego sercu, żal do świata, że mu zatruwał najmiłsze w życiu chwile, że małostkami swemi i głupstwami zajmował jego głowę, pragnącą tylko myśleć o Marji. Świat i jego wymagania i jego przesady były mu w tej chwili wstrętnymi bo z właściwą sobie szorstkością drapały po jego wezbranem uczuciem czystem i idealnem sercu.

Ale życie jest walką, ma swoje prawa — pomyślał Witold i zerwał się, wstając

Dobrze! zrobię, jak mi pan radzisz! i to przeżyję!

Pożegnał Bywalskiego, prosząc go, aby wieczorem był u Kohnów, gdyż mógł mieć m co do zakomunikowania i wybiegł.

Wskoczył do dorożki i kazał się wieść do pałacu hrabiego Ostoi

Wypełnienie tych światowych obowiązków postanowił zacząć od niego, jak od niego też zaczął minionej zimy swe wizyty.

Bał się odmowy, którą już jakby słyszał, wypowiedzianą w towarzystwie dziwnie sprytnego

i uprzejmego uśmiechu arystokratycznych ust Ostoi.

Z drżącym też i trwożnym sercem wchodził do znanego sobie dobrze gabinetu hrabiego.

Ten go powitał z zwykłą gościnnością i życzliwością.

— Nie widziałem cię, kochany Witoldzie — mówił — wieki i przypuszczałem już z pewną boleścią w duszy, żeś w szczęściu o mnie zapomniiał. A za prawdziwych przyjaciół tylko tych uważam, którzy w dobrych momentach życia o mnie pamiętają.

Hrabia drugi raz podał rękę Witoldowi, jakby na potwierdzenie szczerości swych słów.

— Przyznam ci się szczerze — mówił dalej — iż czułem się nawet obrażonym. Zaręczyny odbyły się cicho, ale na ślub słyszę, Kohnowie proszą, kogo tylko znają. Zapewne więc i ty, z twojej strony...

— Ja zaczynam moje zaprosiny od hrabiego — przerwał Witold, lekko zdziwiony i ponieszany. Znał hrabiego jako wzór wielkoświatowego dzentelmana. Słowa też jego wydawały mu się genialnem uprzedzającym przygotowaniem do pełnej uprzejmości odmowy, czy wymówki.

— Spodziewałem się ich... — odparł hrabia najnaturalniej.

— I przyjmujesz je pan? — zapytał Witold, ale tak uradowanym głosem, iż cała w jego dźwięku kryjąca się radosna nadzieja nie mogła ujść uwadze Ostoi.

Hrabia zrobił ramionami ruch, jakby oburzenia.

— Jakto? czy przyjmuję? — zapytał — czy mogłeś wątpić, abym, będąc o kilka kroków od kościoła, w którym ci zwiążą ręce stałą..

Hrabia urwał, a Witold zbladł, bo z tego początku frazesu zdawało mu się, iż hrabia zamierza tylko asystować uroczystości w kościele.

Ale Ostoja dalej ciągnął.

— Abym, będąc zdrow i mieszkając w tym samym, co Kohnowie, mieście, odmówił sobie przyjemności poznania bliżej przyszłej żony twojej? Miałebym nie być na ślubie syna mego wielkiego przyjaciela, na ślubie człowieka, którego kocham i głęboko szanuję..

Witold poczerwieniał. Te ostatnie słowa niewytłumaczone, wydały mu się obrażającami. Zresztą był on obałamuczony obrażającą uprzejmością świata ostatnich miesięcy. Zrobił się podejrzliwym i rachującym z każdym słowem, uśmiechem i komplementem.

Spostrzegł to hrabia i chciał się może wytłumaczyć, ale Witold tymczasem przerwał.

— Nie zasłużyłem sobie jeszcze na głęboki szacunek hrabiego

— Owszem! — pochwycił Ostoja — uczucie prawdziwe, szczere, otwarte, prosto z duszy i serca płynące jest czemś, co zawsze we mnie obudzało szacunek, więcej!... Kiedyś byłem w teatrze... byłeś i ty z twą narzeczoną... przypatrywałem się wam... Młodziłem, tyle w waszych dwu fizioznomiach jaśniało prawdy, miło-

\*

ści i szczęścia, opartego na skarbach przeczy-  
stych dwu kochających się serc. Wtenczas do-  
piero uwierzyłem, przyznam ci się prawdę, że  
to małżeństwo jest *un mariage d'amour*. Nie  
dziw mi się, wszak twoja dobra matka... nie  
wierzy.

Witold wyglądał rozrzewniony. Chciałby był  
podziękować Ostoi za szczęście, jakim napeł-  
niał w tej chwili jego serce, obietnicą bycia na  
jego ślubie, ale słowa nie chciały płynąć, zatrzy-  
mywały się w gardle.

Przypatrywał się tylko twarzy Ostoi i my-  
ślał o swym ojcu, który mu takiego pozostawił  
przyjaciela, myślał, dlaczego w tym dużym świe-  
cie panów znał dotąd tylko jednego szlachetne-  
go, w wielkim słowa znaczeniu, w każdej chwili,  
w każdej swej myśli, słowie i uśmiechu.

— Czyżby tylko istniał on jeden, jak jaki  
rozbitek, eudem ocalony z wielkiego, straszną bu-  
rzą zdruzgotanego okrętu? — myślał Łęcki.

I byłby dalej myślał nad tą zagadką, której  
rozwiązanie zajęło jego młodą wyobraźnię, gdyby  
nie zapytał go Ostoja o szczegóły mającej się od-  
być uroczystości ślubu. Chciał je znać bowiem, aby  
wiedzieć, o której godzinie zjawić się u Kohnów.  
A chciał być punktualnym i chciał asystować  
wszystkiemu w tak uroczystym dniu dla Łę-  
ckiego.

— Nie wiem — kończył wreszcie Ostoja —  
kto z twych bliskich będzie na twym ślubie.  
Przy takich uroczystościach zależy bardzo rodzi-  
com na wiadomościach tych, które są potrzebne do  
urządzenia par przy we ściu, wyjściu z kościoła,  
przy tysiącach drobiazgów, z jakich się składają

wszelkie wielkie rzeczy świata i życia. Otóż zaznacz im, że jako prawdziwy i odwieczny przyjaciel waszego domu, liczę się niemal do waszej rodziny

Witold ulegał dziwnym wrażeniom, odbierającym mu prawie przytomność.

Ten pan z pańów, ten magnat, ten koryfeusz konserwatywnego obozu arystokracji polskiej, chciał uchodzić za krewnego domu Łęckich u Kohnów, u których zapewneby noga jego nie była postać, gdyby nie ślub syna jego przyjaciela.

Witold przypominał sobie dawniejsze swoje rozmowy z Ostoją. A całe zachowanie się hrabiego przypisywał przyjaźni, wiążącej go niegdyś z jego ojcem.

— Przyjaźń dawniej — myślał — była czemś innym widocznie, niż teraz.

I stawał mu w oczach Koroński, jego osobisty przyjaciel, tak, jak Ostoja kiedyś był jego ojca.

— Czyżby lat kilkadziesiąt — myślał — tak zmieniły odwieczne zasady i uczucia. Czy może Koroński, z innej niż hrabia, ulepiony gliny. I przeleciała mu myśl, jak błyskawica, że może to wszystko, co Jański o Korońskich opowiadał, jest prawdą. A jeśli tak, to znów zastanawiał się nad zagadką szlachetności krwi, która w żyłach Ostoi od kilku wieków płynęła.

Chaos zapanowywał w jego młodej i raz pierwszy o zagadki życia uderzającej głowie.

Wchodził do Ostoi trwożny i pewny upokorzenia i rumieńca, wychodził zdumiony, szeptał sam do siebie :



— Jakże ja nie znam ludzi i świata!

Wskoczył do dorożki i kazał się wieźć do hotelu. Swoje kłopoty z zaproszeniami za skończone uważał.

Raz, gdy na ślubie jego był Ostoja, więcej nie potrzebował, prócz matki, nikogo, ani dla siebie, ani dla świata, chciwego materiału do swych gawęd i infamij.

Wszak Ostoja był jedynym człowiekiem, którego zdanie jego ojciec cenił i poważał, o którego przyjaźń, jak o skarb jaki, dbał. Wszak Ostoja reprezentował, choć w połowie, dom, na który cała Warszawa się patrzyła, co powie, co zrobi i jak w danej okoliczności się zachowa.

Jakkolwiek trzecią godzinę popołudniu wskazywał jego zegarek, a Łęcki był obiecał narzeczonej, stanąć na szóstą dopiero w pałacu Kohnów, mimo to postanowił zaraz tam się udać.

Spieszno mu było podzielić się radością, rozprasającą wiele jego cierpień ostatnich miesięcy wiadomością, ze swoją narzeczoną, z rodziną jej.

Nie był tak zaślepionym, aby nie domyśleć się, jakiego uczucia radości dozna Kohn, gdy się dowie, że hrabia Ostoja pierwsze jego progi przestąpi w całym świecie warszawskich finansów.

Postanowił się przebrać tylko i popędzić do pałacu Kohnów, aby w nim już do nocy pozostać. Zafrasowanie, które przed kilku godzinami tak zasepiało jego z natury wesołe oblicze, rozprószyło się, jak białka mydlana. Śladu już nie było.

Ubierał się prędko, nuąc wesołą ukraińską piosnkę, jak to było jego zwyczajem, gdy żadna



troska nie panoszyła się ani w jego głowie, ni sercu.

Na pewniaka liczył, że potrafi skłonić i swą matkę do wzięcia udziału w uroczystości, raz, gdy się znajdzie u Kohnów z Ostoją.

Ostoją był małą wyrocznią w domu Łęckich.

Już był gotów. Jeszcze raz tylko miał rzucić okiem w lustro, aby zobaczyć, czy wąż jego do góry jest podniesionym i u końców po polsku rozstrzępionym, jak to lubiała Marja — gdy nerwowo do drzwi zapukano.

Wchodzący nie czekał odpowiedzi, tylko wpadł jak bomba i rzucił się na Witolda z potokiem frazesów.

Był to Karol Koroński.

— Jakto? — mówił — więc o mnie zapomniałeś, więc nie bywasz u mnie, więc mnie?...

— Ależ Karolu, — przerwał Witold — natrętnym nigdy nie byłem.

— Natrętnym! *quelle farce! allons donc!* unikałeś mnie, unikałem ja i ciebie...

— To odwrotnie! — przerwał Witold z zamiarem wytłumaczenia się, ale mu nie dał przyjść do słowa Koroński, który genjalnie nadrabiając miną, mówił:

— I dziś nie byłbym się u ciebie zjawił, z obawy, abyś nie myślał że szukam sposobności, aby być zaproszonym na twój ślub, na którym mnie mieć nie chcesz...

— Ależ Karolu!

— Nie przerywaj — wołał Koroński — Powtarzam ci i dziś nie byłbym przyszedł, gdyby nie... Mam do ciebie ważny... bardzo ważny interes! Pojmujesz, jak musi być ważnym, skoro

przychodzę do ciebie w dniu, w którym zapewne nie masz głowy do słuchania cudzych kłopotów.

— Kłopotów?

— Tak, mój drogi! niestety! nie będę ci zabierał czasu. Wysłuchaj mnie uważnie, poczem zrobisz, co ci się podoba. Jeśli jednak nie we wszystkim co do mnie się zmieniłeś, to jestem pewny, że sprawę moją weźmiesz do serca.

— Przestraszasz mnie!

— Słuchaj! — przerwał Koroniński — i wybacz! — dodał, ściskając dłoń Witolda — że w takiej chwili cię nudzę.

— Proszę cię, proszę szczerze, jeśli mogę ci być w czem pomocnym..

— Możesz i bardzo wielką wyświadczyć mi przysługę — ciągnął dalej hrabia Karol. — Rzecz tak się ma

Odпочzął chwilkę, namyślił się i dalej potoczył mowę:

— Zbiegiem okoliczności znajdujemy się, ja i moja matka, chwilowo, w dość zagmatwanych interesach. Potrzebujemy pożyczki hipotecznej od dwu do trzechkroć stutysięcy rubli, które naturalnie zapewnić możemy na dobrach, fabrykach i posiadłościach. Hipoteki są tak pewne, iż nawet o lepszym zarządzić nie można, bo niektóre klucze nie mają długu towarzystwa kredytowego nowej emisji. Jak wiesz, mamy i cukrownię i gorzelnię i...

— Ah! wiem! wiem! — przerwał Witold, nie rozumiejąc, do czego by zdązał Koroniński.

— Otóż przyezły twój teść obraca dziś największymi kapitałami w Warszawie. Gdyby chciał,

wybawił by nas nietylko z kłopotu. ale nadto może ocalił natychmiastową pożyczką część naszego majątku zagmatwanego i potrzebującego gotówki.

Koroński odpoczął, zapalił papierosa i dalej ciągnął, nieco zażenowany:

— Ja z tą propozycją udać się do domu Kohn nie mogę...

Witold skinął ręką i przerwał:

— Jeśli o to tylko chodzi. to interes ten przedstawię Kohnowi.

Mówiąc to przypatrywał się Karolowi z zdziwieniem Jako — myślał — Koroński, antisemita Koroński, ten sam, co... I przypominał sobie wszystko, co mu był niedawno tenże Karol opowiadał. I przypominał sobie epizody i fazy, w jakie stosunki ich były przeszły po zaręczeniu się jego z panną Kohn. Dziś tenże sam przychodził do niego, aby go prosić o interwencję u Kohna w tak drażliwym interesie, tem drażliwszym, że antisemicka, antibankierska i arystokratyczna hrabina Korońska w świecie finansowym znaną była i naturalnie nienawidzoną.

Wszak ona to zamknęła tego roku przed finansami salony warszawskie, które już uchylały jedne po drugich swych podwoi.

Karol tymczasem uchwycił rękę Witolda i ściskając ją serdecznie:

— Dziękuję ci, dziękuję, *cher ami* — szeptał, jakby z rozczuleniem.

Łęcki, aby przerwać wylew wdzięczności przyjaciela, dodał:

— Boję się tylko, abyś nie doznał zawodu, bo o ile wiem. ani Kohn. ani Kinsztein, ani inni

pożyczek nie udzielają... nie wchodzą one w zakres ich interesów.

— Wiem o tem — przerwał Koroński — wiem! jednakże wiem także, że Oleśnicki ma zawsze u Kohna do swojej dyspozycji kilka kroć, wiem, że hrabina Paryska wyrobiła dla swego męża u Kinszteinów grubą pożyczkę... wiem, że gdy chcą, to...

— Ależ... — zaczął, przerywając Witold i nie dokończył, bo chciał powiedzieć, że w tym wypadku wielka zachodzi różnica między Korońskimi, maltretującymi finanse, a Oleśnickim, bywającym i przyjaźniącym się z nimi, lub hrabiną Paryską, przyjaciółką wszystkich domów z finansów.

Koroński odgadł myśl Witolda i uśmiechnął się.

— *Que voulez Vous* — westchnął — czasem musimy ustępować z naszych przesądów... dziś rozumiem tych, których wczoraj jeszcze potępiałem. Pieniądz to wielka potęga!

Łęcki zanadto był delikatnym, aby o więcej pytać.

Wściekłą miał wprawdzie ochotę zapytać Korońskiego, dla czego tyle wydawał, jeśli stan ich interesów potrzebował gotówki, a tem samem oszczędności, ale się wstrzymał.

Wiedział zresztą, że Korońscy mieli liczne i rozległe dobra, magnacką fortunę, jakkolwiek różne o niej wieści już w świecie krążyły.

Dodał tylko.

— Jutro będziesz miał odpowiedź pana Kohn.

— Dziękuję! dziękuję ci — odparł Koroński.

ski i zerwał się, aby wyjść tłumacząc swój pośpiech bojaźnią zabierania drogiego czasu Witoldowi.

Odchodząc zapytał jeszcze.

— A więc jutro rano ?

— Jutro wpadnę do ciebie !

— Jakże to dobrze ! — zawołał Karol — moja matka, która cię tak polubiła, ucieszy się niezmiernie. Widziałem wczoraj u Hersego twoją narzeczoną, śliczna ! szczęśliwy Witoldzie !

Uścisnął mu dłoń i wybiegł. A Łęcki stał chwilę, jak przykuty do miejsca, oszołomiony myślami, które ta wizyta do jego głowy tłoczyła.

— Kilka dni temu — myślał — spotkałem Karola, który unikał mego spotkania. Widocznie chyba jeszcze nie miał zamiaru starania się o pożyczkę u Kohna... Śmiał się, drwił z mego małżeństwa, dziś mnie nazywa szczęśliwym...

Myślał długo jeszcze, a jego natura nie mogła dobrze rozwikłać tych zagadek.

Był w możności wyświadczenia przystugi przyjacielowi i nie zawahał się. W duszy gorąco nawet pragnął powodzenia swej misji u Kohna.

— Pocziwy chłopiec — szeptał — w gruncie. Kto wie, może mi się zdawało ? Wszak Karol twierdzi, że ja go unikał... być może...

Narzucił palto i wybiegł, aby podążyć do Kohnów, gdzie go oczekiwano niecierpliwie zapewne, bo o całe pół godziny się spóźnił od umówionego terminu.

A spieszno mu było podzielić się z Marją radością dlań wiadomością o obietnicy Ostoi, na



którym polegał, że zatuszuje wszystkie niedobory personalu na jego ślubie.

Całą rodzinę Kohnów zastał rozpromienioną i w niezwykle dobrem usposobieniu.

Kohn spacerował po salonach i zacierał ręce jak to zwykł czynić w razach nadzwyczajnych powodzenia czy zadowolenia.

Marja poprowadziła go czempredzej do czerwonego saloniku, gdzie na dużym stole ustawiono już od kilku dni rodzaj wystawy ślubnych i zaręczynowych prezentów panny Kohn.

Były tam przepyszne podarki, kosztowności, wachlarze, szkatułki, brylanty i stroje, wszystko, co wchodziło w zakres potrzeb panny, przyzwyczajonej do zbytku pałacu Kohnów.

— Czy znów co nowego? — zapytał Witold, przyzwyczajony do tego, że co dzień, co godzina prawie przybywało coś do tej wspaniałej kolekcji ślubnych podarków, będących szczególnie w świecie finansowym w modzie i użyciu.

Tam bowiem nie rachowano się z każdym groszem, a świat ten miał wielką zaletę nadzwyczajnej uprzejmości w stosunkach towarzyskich.

Każdy prawie znajomy Marji przysełał upominek pełen gustu, a często i bardzo kosztowny.

Ten napełniony stół za każdym razem niemiłe robił wrażenie na Witoldzie, bo prócz jego pereł i szafirów jego matki, nic na nim nie leżało pochodzącego od licznej i zamożnej rodziny Łęckich.

A tu zewsząd sypały się dowody pamięci.

Książę Oleśnicki nawet wystąpił z upominkiem, pod postacią książki do modlenia, gusto-



wnie oprawnej w Wiedniu u Rodecka, z dużym herbem Łęckich i monogramem z M.

Ale to wszystko Witold widział już i powtórzył swe zapytanie.

— Cóż więc znowu nowego?

— No szukaj! — odparła Marja, której twarz promieniała szczęściem zdwojonem chwilową i niedawno widocznie odczuta radością.

Nie trzeba było długo szukać.

Na środku stołu stała i nęciła oko przepyszna staroświecka zastawa na toaletę, zrobiona z porcelany saskiej, a pochodząca z czasów Augusta II.

Było to rzadkie dzieło sztuki, dziwnie kompletne, składające się z lustra, kandelabrow, pušek, tacy i różnych przedmiotów.

Wszystko to doskonale zachowane, malowane, filgranowe przedstawiało barwną całość, jaką się odznaczają stare saskie porcelany.

Łęcki się przypatrywał i podziwiał, a oko jego nagle uderzyły wymalowane na każdym przedmiocie herby jego w połączeniu z nieznanym sobie herbem.

Zachodził w głowę, skądby ten kosztowny antyk znalazł się nagle. Nigdy nie słyszał o podobnym zabytku w swej rodzinie, a herby rodziły przypuszczenie, że to z jego pochodziło familji.

Marja kazała mu zgadywać.

Tymczasem nadeszła pani Kohn do czerwonego salonu i reszta towarzystwa. Znalazł się i Bywalski, który niemal codzień bywał na obiadach u Kohnów od dnia zaręczyn Witolda.

Łęcki prosił, aby go objaśniono.

Marja uchwyciła list, mieszczący się na je-

dnym z półmiesieczków garnituru i wręczyła go narzeczonemu.

Witold pisma nie poznał, gorączkowo papier wyjął z koperty i czytał.

Był to bilet hr. Ostoi z temi słowy :

„Kiedyś jakaś Ostojanka była za jakimś Łęckim. Pamiątkę tę przyjmie pani od starego przyjaciela rodziny jej męża, *Ostoi*.“

Witold, który nawet o tym aljansie Łęckiego z czasów Saskich nie wiedział, podziwiał tylko uprzejmą myśl Ostoi, a Bywalski z Kohnem się zachwycali i uznali garnitur ten za najpiękniejszy z prezentów ślubnych Marji.

Bywalski przypomniał sobie nawet, iż coś podobnego, choć o wiele brzydszego, widział u hrabiny Korońskiej, a Kohn wielki znawca porcelan, targował raz w Kalsbadzie taką zastawę, za którą żądał antykwarz dziesięć tysięcy franków.

— To fraszka — dodawał — ale te herby... co za droga pamiątka!

Obrócił się do Bywalskiego i dodał cicho.

— Możeś mi nic nie powiedział, że Łęccy, to taka rodzina.

— Wszak zawsze twierdziłem, że doskonała — odparł Bywalski ze swą zwykłą miną, zasadzając monokl.

— No tak — wtrącił z pretensją Kohn — ale nigdy mi nie powiedziałeś że Ostojanka była temu tyle lat za Łęckim... jakże można? Bo ta porcelana, widzisz, ma monogram A. R. to jest z czasów 1709 do 1726, pomyśl tylko! taka stara rodzina, jakże można?

— A bo ja wiedziałem — przerwał Bywalski — ja mam ładownicę Bywały Bywalskiego

z r. 1637 i nikt o niej nie wie i sam się o niej...

— No dobrze, to bardzo dobrze — podchwycił Kohn — ale ten Bywalski nie był ożeniony z Ostojanką.

— Wielka rzecz!

Pomballe oznajmił objad i przeszli wszyscy do sali jadalnej, gdzie dnia tego wyjątkowo obiadowano, jak Kohn mówił, w ścisłym rodzinnym kółku.

Przez cały czas trwania objadu mówiono tylko o Ostci i zwracano się ciągle z pretensją do Witolda, że nic im o tem pokrewieństwie nie wspomniał.

Witold, zajęty Marją, która już o Ostoi zapomniata była, tłómaczył się, jak mógł, z tego grubego grzechu, jakim był fakt, że dopiero od Kohna dowiedział się, iż aljans ten Łęckiego miał misjsce między 1709 a 1726, co nieuczynnie stwierdzały fabryczne znaki na porcelanie.

Po obiedzie zaraz Łęcki zwierzył się przed Bywalskim z treści wizyty Korońskiego.

— Jeśli chcesz — mówił Bywalski — to cię zastąpię i pomówię o tem z Kohnem... kto wie?... być może.

Stary kawaler się uśmiechnął cichaczem, jak zwykle i mówił dalej, bardzo zaintrygowany postępkami hrabiego.

— No proszę cię! przypominasz sobie? wszak mówiłem.

Zaczął czyścić szkieleto od monokla i myśleć nad czemś dość głęboko, jak to zdradzało jego milczenie.

Wreszcie dodał:

— Nie przypuszczałem, aby tak prędko.

Zaraz skinął na bankiera i obaj, biorąc kieliszki, świeżo napełnione likierem, wynieśli się do gabinetu.

Tymczasem Witold ze swoją przyszlą rodziną układali szczegóły mającego się odbyć na-  
zajutrz ślubu

Udecydowano, że Ostoja będzie prowadził z kościoła i do kościoła panią Kohn.

Księżę Oleśnicki miał odbywać to samo przy pani Łęckiej.

Zachodziła tylko trudność w doborze kawalera dla młodej panny Kohn.

Nie było nikogo i rachowano na Michała Łęckiego, który nie przyjeżdżał.

— Musisz pan mieć przecież jakichś młodych ludzi przyjaciół? — zapytała Witolda pani Kohn.

-- Nie... nie mam — odparł Witold, a przyszedł mu w tej chwili na myśl Karol, który mu był zrobił jakby wymówkę, że go na ślub swój nie prosił.

— Zresztą — dodał — może jeszcze coś się zmieni, może jutro kogo spotkam.

Widocznem bowiem było usiłowanie Kohnów niedopuszczenia nikogo z finansów do tych funkcyj rodzinnych, do jakich wzrastają w dniu tym uroczystym różne drobiazgi ślubnej ceremonii.

W tym celu nawet postanowiono, że według francuskiego zwyczaju, pannę młodą do ślubu miał prowadzić ojciec jej, a od ślubu pan młody.

Na tem zszedł cały wieczór.

Podano herbatę, a równocześnie z nią pojawili się rozpromienieni Bywański i Kohn.

— Wszystko dobrze — szepnął na ucho-

Witoldowi jego przyjaciel, który wyglądał ozywiony jakąś myślą, czy przebytą z bankierem dyskusją.

— Co za herbata! — wykrzykiwał, przegradzając jej łyki połykaniem *ptifurów*, które nadeszły były od Demlaz Wiednia, i tego wieczora je kosztowano — co za delicie te ciasteczka.

A Kohn, to dysponował, to naradzał się z żoną nad najdrobniejszymi szczegółami uroczystości niedalekiej.

Łęcki się przysłuchiwał i w podziw go wprowadzała ta niezmordowana czynność umysła jego przyszłego teścia, który przy tylu zajęciach miał głowę do pamiętania o najmniejszym drobiazgu.

Kohn mówił do żony :

— Bukiety dla służby kazałem zamówić u Hoszcza, ale czy uwierzysz, że dopiero dziś rano sobie przypomniałem, że z Paryża sprowadzono tylko jeden tuzin kamaszy... a czternastu „Louis XIV“ będzie lokai... przypomniałem sobie, jadąc z banku Kinszteina na giełdę... zamówiłem zaraz, jutro odniosą. Lando ośmioszorowe, mówił Pomballe, jakiś dorożkarz wczoraj na placu wystawy uszkodził... *un petit rien*, ale zaraz kazałem posłać po Romanowskiego.

Obrócił się do Witolda i spytał.

— Ekwipaż pana zapewne gotów?

— Gotów.

— Czyś pan usłuchał mej rady co do kokard u usza koni.

— A jakże...

— To bardzo będzie paradne.. Warszawa takiego ślubu nie działa.. Czy pamiętasz? —



mówił znów do żony — na ślubie księżniczki... temu lat dwa... Rurykownej... te bukiety u koni?

— Pamiętam.

— To nie było brzydkie. Rozmów się o tem *ma chérie* ze stangretem.

Około północy Witold z Bywalskim pożegnali Kohnów i wyszli.

Do przedpokoju odprowadziła ich cała rodzina.

Kohn wziął na stronę Witolda i szepnął:

— Mówił mi Bywalski... może da się co zrobić i to tylko dla pana, skoro tak stoisz o swego przyjaciela... Niech hrabia będzie jutro u mnie, tutaj o godzinie jedenastej. Będę czekał do dwunastej... Zobaczę!

Witold podziękował i wyszedł po czułem i długim, jak na wieki, pożegnaniu z Marją.

Skoro tylko powrócili do salonów Kohnowie, bankier odprowadził na bok żonę, i chodząc z nią po sali niebieskiej, długo razem szeptali.

Wreszcie wybiła godzina pierwsza.

— A więc tak, jak ci mówię — kończył Kohn — jutro Koroński będzie między jedenaścą a dwunastą. Gdy będzie wychodził odemnie, staraj się, aby cię zastał, przechodząc przez salony, to ci go zaprezentuję... i *ca ira*...

— Ale czy się zastanowiłeś — przerwała pani Kohn — czy ta pożyczka? *le jeu vaut-il la chandelle?*

— Zastanowiłem się. . potrzebujemy pozycji! pieniądze pewne... mam swoje plany.. hrabina Korońska to dziś w świecie jedyna potęga... Czy myślisz, że chciałbym i Lenę wydać za drugiego Łęckiego?



— O lepszej partji nie marzę! — odpowiedziała pani Kohn.

-- A ja marzę... Lena! *vous verrez mon amie* no zostaw mnie to... Dobranoc!

Ucałował rękę żony i wysunął się do swego gabinetu.

## VII.

Koroński właśnie dopiero co był wstał, gdy mu wręczono list od Witolda, wzywający go do Kohna za godzinę.

— Ha! nie myślałem, aby tak dobrze poszło — zamruczał i czempředzej zabrał się do ukończenia toalety.

Pokój jego sypialny, była to duża komnata, wybita i przykryta cała tureckimi dywanami, napełniona wygodnymi fotelami.

Ciepło, miękko i wygodnie było w tem zbytkownem i zniewieściałem otoczeniu, mającem swój odrębny i pański charakter.

Lokaj nie dobrze jeszcze rozbudzony, bo pan jego nad ranem wrócił do domu, kręcił się po apartamencie, przygotowywał bieliznę, ubranie, krawaty i inne dodatki toaletowe.

— Każ — zagadnął sługę hrabia — aby za pół godziny Dżon był gotów do żółtego powozu, gniadymi końmi.

Zdziwiony lokaj niezwykłą rannością swego pana wysunął się, aby wydać rozkaz, a Koroński zanucił f ancuską piosnkę i przystąpił do ubierania się.

Pilno mu było do Kohna, bo bankier rozstrzygał kwestję jego dalszego na tej wielkopańskiej stopie, bytu. Pożyczka dwu kroć stu tysięcy była nieodzowną na pokrycie wierzycieli krajowych i zagranicznych, tak jego, jak i jego matki. Dochody z dóbr niewystarczały, a ciągle w skutek złej administracji się zmniejszały.

Wybiła na zegarze, godzina jedenasta.

Hrabia uchwycił kapelusz, rękawiczki i laskę i wybiegł.

W bramie stał już przepyszny, na wystawę właśnie i wyścigi nadeszły z Londynu powóz, otwarty, lekki, mały, o jakim pojęcia nie mieli warszawcy fabrykanci.

Dżon, Anglik czystej krwi z miny, w swej jasnej śmietankowej liberji siedział na wysokim koźle i patrzył nieruchomy i z wyteżoną uwagą między uszy dwóch gniadych, do słońca lśniących swą delikatną siercią rumaków.

— Do pałacu Kohna! — zawołał hrabia — wskakując do pojazdu.

Furman nie zrozumiał, bo się nieznacznie odwrócił i zapytał.

— Jaśnie pan hrabia mówi?

— Do pałacu Kohna! — powtórzył Koron-ski i sam do siebie zamruczał — nie wierzy Dżon uszom, *sapristi!*

Ekwipaż wyjechał z bramy i w pełnym kłusie pędził przez Aleje, Nowy świat, w stronę znanego pałacu bankiera.

Na ulicach jeszcze nie panował ruch i zgiełk, niepozwalający rozpędzać się ekwipażom prywatnym.

To też Dżon popuścił lejców koniom, które

zebrane razem, dopasowane temperamentem, pędziły tym kłusem, cechującym ekwipaże panów, doskonale utrzymane i wyjeżdżone.

Wkrótce zatrzymali się przed perystylem pałacu Kohna.

Koroński był ciekawym. Pierwszy raz wchodził do wnętrza domu bankiera w Warszawie, o którym wiele słyszał.

W wielkiej sieni Pomballe siedział na fotelu, zajęty ekspedjowaniem i adresowaniem tysięcy listów, zapelniających stojący przed nim stół.

W pałacu panował ten spokój rannych godzin, w których spoczywa już służba, a nie zaczęli żyć jeszcze państwo.

Pomballe rzucił okiem przez okno na ulicę i poznał pański ekwipaż, powstał też na przywitanie wchodzącego Karola, o którym był uprzedzonym.

— Hrabia Koroński do pana Kohna! — zawołał młodzieniec.

— *Monsieur le comte demande?* — zapytał nie rozumiejący Pomballe.

Karol po francusku objaśnił ochmistrza dworu, który mu swą dystynkcją i francuzczyzną zaimponował.

— *Monsieur vous attend monsieur le comte dans son cabinet* — odparł Pomballe, uderzył w dzwonek leżący na stole i rozkazał równocześnie pojawiającemu się lokajowi przeprowadzić hrabiego do pana.

Lokaj uderzył w trzy guziki od elektrycznych drutów. Równocześnie zajęczały w różnych kierunkach dzwonki i ruszył pierwszy marmurowymi schodami.

Hrabia ulegając wrażeniom zdziwienia, szedł za lokajem.

Mijała rozstawioną służbę, która odbierała od niego, to zarzutkę, to laskę, uchylała podwoje, wskazywała drzwi i kierunek.

Karol szedł, rzucając ciekawem okiem na prawo i lewo. — Mijał wszystkie salony prawie, aby dojść do gabinetu, który znamy.

Nie spodziewał się zastać tego królewskiego niemal zbytku i komfortu w domu świeżego bankiera, który nagle z dnia na dzień wyplłynął. W oszołomionej prawie jego wyobraźni przebiegały różne myśli. Między innymi z szybkością iskry, przeleciało i rodzące się w jego duszy uczucie zazdrości — zazdrości Witoldowi.

— Jaki mądry! — myślał — jaki mądry! to mi życie, to prawdziwy, nieklamany, niepozorny komfort.. ten Pomballe... ta służba, jak dzentelmeny... te salony...

Lokaj uchylił drzwi, wszedł do gabinetu i zawołał:

— Hrabia Koroński!

Karol znalazł się w gabinecie bankiera, który zaraz przystąpił do rzeczy.

Skreślenie stanu hipotek nie zabrało dużo czasu hrabiemu, bo Kohn, doskonale znający interesy ziemskie, a może już i interesy Karola, dopomagał mu dzielnie i sam go jeszcze objaśnił i poinformował co do niejednej rzeczy.

Zdziwiony hrabia się mięszał, bo co chwila zagadywał go bankier w kwestji, nierozłączny związek mającej z interesem, a której tenże nie tylko wytłumaczyć mu nie umiał, ale nadto absolutnie nie rozumiał.

Wreszcie zakończył bankier to straszne i pierwsze dla hrabiego w życiu zawile posiedzenie.

Nigdy nie zapominający języka Koroński mieszał się i mienił, gdy Kohn od niego żądał odpowiedzi na tak proste pytania, jak na przykład, czy fabryki mają osobne swoje hipoteki, lub też, czy serwituta w tym lub owym majątku są uregulowane.

Hrabia nie wiedział — wiedział tylko, że jest właścicielem tyłu a tyłu wsi, o tyłu a tyłu włókach, i że te włóki idą w górę, czy pójdą w skutek kolei Nadwiślańskiej, przerywającej Lubelskie.

Wszystko kręciło się około tej kolei, bo ona to sprawiała, że była możność mówienia o pożyczce na dobra Korońskich, w których znajdowały się dziewicze lasy, utrzymane dotąd tylko brakiem komunikacji.

Kohn nie mógł powstrzymać uśmiechu ironicznego wykrzywiającego dowcipnie jego semicką, ale sprytną twarz.

Chcąc oszczędzić hrabiemu dalszych eksplicyacji, zakończył.

— Pojmuje hrabia, że w przededniu ślubu mej córki, nie mogę interesu tego zakończyć, ani nie stanowczego mu powiedzieć. Sądzę, że będę mógł hrabiemu wyświadczyć tę małą przysługę... tylko dla niego.. tylko dla hrabiego! bo w ogóle nie zajmuję się tego rodzaju interesami. Po ślubie mej córki, racz się hrabia zgłosić i mieć ze sobą wykazy hipoteczne, o których była mowa.

Hrabia wstał. Wstał i Kohn i podążył z odchodzącym Karolem. mówiąc:



— Przeprowadzę pana...

Zaraz jednak w pierwszym pokoju Koroński wyraził swoje zdziwienie nad dziełami sztuki bankiera. Tenże odparł z udaną naturalnością:

— Jeśli hrabia amator... to proszę.. mam jeszcze chwilkę wolnego czasu.. mogę pokazać... są niektóre rzeczy, godne widzenia...

Koroński dziękował i prosił, a Kohn ujął go pod ramię, jak to miał zwyczaj i pokazywał niektóre dzieła sztuki.

Hrabia się zachwycił.

— Ależ słyszałem — przerwał Kohn — że hrabiego matka ma prześliczne rzeczy.

— O! tak... tak — wycedził Karol — pamiątki rodzinne... *rien de grand de beau... des souvenirs!*

Oglądając, doszli do czerwonego saloniku, w którym się mieściła wyprawa Marji.

— *La corbeille de ma fille!* — szepnął Kohn

Hrabia z ciekawością oglądał bogactwa mieszczące się na stole.

Bankier zwracał jego uwagę, na to, to owo.

W tem uderzył hrabiego niemogący nie zwrócić uwagi porcelanowy garnitur toaletowy.

— To antyk! — zawołał — moja matka ma coś podobnego, co darował księżniczce Piławskiej August III.

— To daleko dawniejsze! przerwał z dumą Kohn.

— To zapewne kupione w Dreźnie? — podchwycił hrabia.

— Nie! — odparł tonem napuszonym bankier — to rodzinna pamiątka, jak hrabia widzisz z herbów Łęckich...

— Aaa...

— To pochodzi *de la belle époque* — ciągnął dalej Kohn, odkrywając dno jednej sztuki i pokazując niebieski znak A. R. — to w r.... 1717 dostała niejaka Ostojanka, wychodząca za Łęckiego.. kasztelana...

— Kasztelana?

— Kasztelana! powtórzył Kohn i dalej mówił — to prezent hrabiego Aleksandra Ostoi! *voilà la lettre!* — tu wskazał na leżącą kopertę.

Hrabia otwierał wielkie oczy. Wszystko to mu się pomieścić niemogło w głowie. A wierzyć musiał, bo ot były znaki, herby, list... pismo Ostoji, które znał dobrze, bo często matka jego odbierała bilety hrabiego, odmawiające to obiadu, to rautu.

— To prezent królewski! — zawołał.

— To prezent godny Ostoji! — poprawił Kohn i dodał — *et quelle charmante idée, quelle gracieuse pensée*, czuje się prawdziwego w tem pana.

Hrabia słuchał i powracał coraz częściej myślą do Witolda, któremu poprostu zazdrościł i to coraz więcej.

Wtem dał się słyszeć w przyległym pokoju szelest powłóczystej sukni.

We drzwiach stanęła pani Kohn w pluszowym fioletowym szlafroku.

Zobaczywszy nieznanomego, chciała się cofnąć, ale Kohn ją zatrzymał słowami:

— *Entrez chérie...* hrabia Koroński... pozwól pan że go przedstawię mej żonie — hrabia Koroński!

— *Chérie!* — odparła pani Kohn, podając

rękę hrabiemu i natychmiast obsypując go kilkoma frazesami *a propos*, które zaraz tak ośmieliły Karola, iż zdawało mu się, że ją zna od lat.

Kohn się usunął, a ożywiona rozmowa płynęła już między hrabią a panią Kohn, przegradzana dowcipami i śmiechem.

Oboje niesłychanie światowi, zaraz się zwietrzyli.

Zresztą pani Kohn znana była z nadzwyczajnej łatwości w stosunkach światowych.

— Pan, zdaje mi się, znasz mego przyszłego zięcia? — zapytała hrabiego po dobrym kwadransie rozmowy.

— A jakże?... doskonale! mój wielki... jedyny przyjaciel!

— Więc pan będziesz na jego ślubie?

— Nie prosił mnie — odparł hrabia.

— Aaa! — przeciągle obruszyła się pani Kohn i zamilkła, dodając:

— To pewnie poprosi... on taki zajęty! Ci narzeczeni o niczem nie pamiętają... zdaje im się, że cały świat, to oni...

Hrabia, jakkolwiek mu tutaj bardzo dobrze było, uznał za stosowne pożegnać się i wyjść.

Gdy schodził ze schodów, spojrzął na zegarek, którego wskazówki stały na pierwszej.

— A to czas zleciał... — myślał — pani... *une charmante personne*... cóż za apartament... co za ślubny koszyk... ha! finanse! *sacre bleu*... niech ich djabli wezmą... to życie co się zowie...

Na dole Pomballe zerwał się z krzesła i poprosił hrabiego o adres, który zaraz wpisał w ogromną księgę.

— Jak u arcyksiążąt w Wiedniu! — mru-

knął hrabia, wchodząc do powozu, a wduszy jego gościło uczucie rozdrażnienia z zazdrości.

Lubiał, przepadał za zbytkiem i komfortem. A pałac Kohna mógł zadowolić najwybredniejsze wymagania gustów dziewiętnastego wieku.

— Wolę przecież to — mruzczał sam do siebie, siedząc na poduszkach powozu, pędzącego do klubu — niż ciemne i staroświeckie apartamenta Świętopełków... Witold... proszę!... Kto wie, czy nie mądrzejszy odemnie... a gdybym był na jego ślubie?... przecież mnie zaprosi... co powie świat?... Koroński... Koroński u Kohnów!...

Zamyślił się i szeptał dalej.

— No przecież... ja będę na ślubie Łęckiego! mego kolegi!... *il n y a rien à redire*, jeszcze jeśli będzie Ostoja... Ostoja? proszę!... nie wiedziałem... a przecież znam heraldykę... Łęcki kasztelan... ha!

Podniósł się w powozie, oparł rękami o koziół i zawołał do Dżona.

— Nawróć! hotel Brülowski!

Znów usiadł i myślał.

— Podziękuję Witoldowi... będę na ślubie... pani Kohn... *charmante*... ciekawym, ile on bierze... dwie córki!... gdyby tak zaraz z jakie pół miliona... Kohnów liczą na kilka milionów.

Dżon osadził konie przed bramą hotelową. Wybiegającego portjera zapytał hrabia.

— Pan Łęcki w domu?

— Jeszcze nie wyszedł.

Karol wyskoczył z pojazdu i pobiegł na górę.

Witolda zastał na wychodnem. zaproponował mu więc, aby wsiadł z nim razem do powozu,

którym go chciał odwiedzić do miejsca, gdzieby sobie życzył.

W powozie zdał mu relację ze swej wizyty u Kohna i dodał.

— Pani Kohn bardzo wyglądała zdziwiona gdy się odemnie dowiedziała, że nie jestem na ślub twój proszony...

Witold spojrzał ze zdumieniem na hrabiego i odparł z pewną ironją:

— Mój drogi Karolu, czyż mogłem przypuszczać, abys zechciał być?

Koroński nie pozwolił mu dokończyć.

— Co tobie było przypuszczać. Obowiązkiem twoim było prosić na swój ślub kolegę i przyjaciela.

Słowa te tak zdetonowały Łęckiego, iż z miny Karola przynajmniej pragnął dociec, czy on drwi, czy mówi serjo.

Koroński wyglądał rozgniewany.

Witold przypomniał sobie, że i Bywalski był mu to samo onegdaj powiedział — rzekł więc.

— Między młodymi ludźmi nie ma ceregieli. Jeśli więc pragniesz w tym najuroczystszym dla mnie dniu...

— Z największą przyjemnością — podchwycił hrabia, wyciągając do Łęckiego rękę.

Przejeżdżali właśnie koło pałacu Kronenberga.

— Wiesz! — zagadnął hrabia — to może najwspanialszy pałac w Warszawie.

— Zapewne.

— Jak ci bankierzy są bogaci. Ale *à propos entre nous*, możesz mi powiedzieć, ile bierzesz...

— Dwakroć!

— *C'est jeli*, ale mógłby Kohn więcej się wysadzić, bo mówią...

— Ach! — przeiwał Witold — dla mnie, to aż nadto, gdyby Marja miała tylko połowę... ćwierć. to także...

— Byś się ożenił... ale... od przybytku głowa nie boli, co?

— Zapewne..

Nastało długie milczenie. Hrabia przypatrywał się Łęckiemu z ukosa, i zdawał się nie wierzyć jego słowom. Po ustach igrał mu uśmiech, który mówił, — mądryś ty! nie ma głupich, co by ci uwierzyli.

Jeśli to prawda — myślał Koronński — to gotów by Kohn dać i cztery kroć temu, coby się umiał wziąć do rzeczy... potargować... któż widział się nie targować w finansach?

A Witold myślał o Marji i marzył z upragnieniem o chwili, w której się te światowe nudziarstwa skończą i w której się sam na sam znajdzie z ukochaną, daleko od ludzi, od Warszawy i ciekawych jego posagu, jego usposobienia, jego tajników, jego miny...

Na Mazowieckiej Dżon osadził konie, z pojazdu wyskoczył Witold.

— Do jutra! — zawołał do hrabiego — ślub o pierwszej! — o wpół do pierwszej wszyscy się zgromadzają.

— *Au palais* Kohn! do widzenia! *à demain!* — odparł hrabia i kazał się wieść na wystawę, gdzie posiedzenie komitetu ekwipaży, którego był członkiem, miało się niebawem odbyć.

A w drodze nie mógł się opędzić myślom o Kohnach i Witoldzie, o tym wspaniałym



Pombalu i tych lokajach w pończochach, o tym stole, pełnym blasków drogich kamieni i tych salonach Kohnowskiego pałacu. —

Na ulicy Szpitalnej w mijającej go dorożce zoczył i poznał młodego Lewicza.

Zatrzymał swój ekwipaż i skinął na młodzieńca, którego dorożka również przystanęła.

— Gdzie jedziesz? zapytał.

— Nigdzie!

— To siadaj i jedź ze mną! — zawołał Koroński.

Lewicz przeskoczył do powozu, zapłaciwszy dorożkę i ruszyli dalej.

— Skąd wracasz? — zapytał.

— No... zgadnij! — odparł z uśmiechem hrabia, uśmiechem, który do próżnego zgadywania nie zachęcał.

— Z klubu! zaczął Lewicz.

— Nie!

— Od pięknej Listowskiej.

— I to nie!

— Od hrabianki Narcyzy.

— Także nie!

— A to daj mi pokój ze zgadywaniem.

— Nie zgadniesz?

— Nie!

— Od Kohnów! — zawołał hrabia.

Na te słowa Lewicz trącił ręką furmana, który zatrzymał powóz. Spojrzał z udaniem oburzeniem i wzgardą na Karola i wyskoczył.

— *Farceur!* — wołał Koroński — co robisz? siadaj! mam do ciebie interes!

Lewicz już był na chodniku i udając, że nie słyszy, poszedł dalej.

— Ależ nieprawda! — zawołał hrabia.

— A to co innego! — odparł Lewicz i powrócił do powozu — któż widział robić takie farzy — dodał z oburzeniem.

Jechali dalej w milczeniu, które przerwał Lewicz.

— Poczéś był u Kohnów?

— No wystaw sobie! — odparł hrabia — Witold mnie zaprosił na swój ślub... odmówić nie mogę.

— Jaktó będziesz?

- Cóż mam zrobić?

— No! nie być!

Koroński się namyślił i odparł.

— Widzisz! Witold jest moim kolegą, przyjacielem.

— Był — przerwał Lewicz — bo odkąd się z panną Kohn żeni...

— Tak, ale widzisz... był u mnie... prosił, jakże odmówić? to dobry chłopiec.

— Więc ty będziesz u Kohnów? ty?

— Co robić!

— A twoja matka cóż na to?

— Nie wie jeszcze!

— Ha! — zawołał Lewicz — Wszystko się kończy, nie ma siły przeciw finansom. Jeśli ty dezertujesz *la cause*, której byłeś głównym filarem...

— *Allons donc* — przerwał Koroński — robię to dla Witolda., *la position est tres delicate*.

— Nie ma wyjątków! niechby się szelma nie był żenił... a skoro chciał, to niech ma...! A! nie spodziewałem się tego po tobie.

— No widzisz .. — jękał się hrabia.

— A! mój Karolu — przerwał Lewicz — kompromitujesz nas wszystkich. Za twoją inicjatywą zerwaliśmy z Łęckim... Ja udawałem, że go wcale nie widzę na ulicach... a dziś, dziś ty, ty wystąpisz na jego ślubie *est ras trop fort*. Ciekawym, co powiedzą w klubie!

Oburzenie słuszne Lewicza zmieszało hrabiego. Nie odpowiadał nic, i ze szczęściem spostrzegł, że są już pod placem wystawy.

Ekwipaż stanął.

Obaj młodzieńcy wyskoczyli, a hrabiego zaraz uchwycił równocześnie wyskakujący z amerykana ksiązę Ludwik, bardzo zainteresowany czemś, co już Korońskiemu tłumaczył.

Posiedzenie dnia tego bowiem miało być bardzo ożywionem, gdyż postanowiono nie dopuścić do n grody ekwipażów pana Arczewskiego, Podolanina, który nadzwyczajnościami, sprowadzonemi z Anglii chciał wszystkim imponować.

Ten cel ożywiał poważny komitet wystawowy.

Witold tymczasem, załatwiwszy kilka ostatnich interesów przedślubnych, powrócił do hotelu, gdzie mu zaraz doniesiono o przybyciu popołudniowym pociągiem jego matki.

Uradowany pobiegł do niej

Pani Łęcka zjechała z córką tylko.

Po czułem przywitaniu zaczęły się dopytywać o szczegóły mającego się nazajutrz rano odbyć ślubu.

Witold opowiadał, a matka jego podczas

tego bacznie śledziła każdy ruch jego, wyraz twarzy, drgnięcie żył na tejsze.

Gdy młodzieniec przestał, zapytała.

— I zawsze jesteś tak, jak byłeś, szczęśliwy?...

— O! zawsze droga matko! — odparł Witold, całując jej obie ręce, a z takim wyrazem szczęścia, z taką nutą jego w głosie, że obie kobiety się rozplakały.

Matka objęła jego głowę i całując go, a robiąc znak krzyża na jego czole, wśród łez mówiła.

— To i ja także moje dziecko!... Nie dziw się i wybaczyć mojemu postępowaniu.

— Ach! matko moja!

— Tak! wybaczyć! Kiedyś — może dziś zrozumiesz. Ja pragnę twego szczęścia. Mojem postępowaniem chciałam ci otworzyć oczy na to, czego zaraz nie mogłeś spostrzedz, a co kiedyś mogłoby cię boleć...

Urwała i dalej mówiła.

— Mogą cię w życiu spotkać różne upokorzenia, których byś nie rozumiał, gdybyś ich przedsmaku nie był zaznał. Teraz, gdy te były słabszemi od twego uczucia, kochany Witoldzie, jestem szczęśliwą...

Zapłakała się i dalej ciągnęła:

-- Łęcycy byli uczciwymi ludźmi i doskonałymi mężami. Jednem z moich gorących pragnień było zawsze, aby żona twoja błogosławiła pamięć matki, która cię wychowała. Marja musi być szczęśliwą, a o nią się bałam, gdy widziałeś łzy w mych oczach podczas twoich zaręczyn. — A Marja czyż?...

Pani Łęcka urwała, jakby się bojąc dokończyć, ale Witold rzucił się jej do nóg i prosił:

— Dokończ! dokończ matko! twoje święte słowa.

Pani Łęcka odetchnęła i dalej mówiła:

— Marja! twoja śliczna narzeczona, mogła by być bardzo nieszczęśliwą, gdybyś małżeństwo to zawarł pod wrażeniem chwili czy kaprysu, gdybyś nad wszystkimi zycia i przyszłości ewentualnościami dobrze się nie zastanowił.

Kobieta znów urwała, ale widocznie było, że chciała dalej mówić.

Witold też prosił.

— Mów! mów dalej Zastanawiałem się i zdaje mi się, jestem prawie pewny... mów!

— Wypełniam ten ciężki obowiązek, ale który mi na sercu leży — ciągnęła dalej matrona — bo chcę, abyście byli szczęśliwymi. Czyś się zastanowił nad wszystkimi konsekwencjami tego małżeństwa?...

— Chcesz matko mówić — przerwał Witold — o pochodzeniu Marji?

— Tak! — westchnęła pani Łęcka — nad różnemi drobiazgami, nierozłącznemi z małżeństwem, a od których poszanowania zależy jego szczęście. Rodzina Kohnów będzie drugą twoją rodziną i byłbyś podłym, gdybyś jej dał kiedykolwiek uczuć.

— Ach! ta rodzina przecież będzie rodziną Marji, którą nad wszystko kocham.

— Pocieszasz mnie i upewniasz Witoldzie.

— Mów dalej!

— Kohn jest bankierem, dziś ma miliony

jutro może ich nie mieć — mówiła dalej matka — losy bankiera są różne, często...

— Myślałem i o tem.

— Ale jeszcze jedno — ciszej dodała pani Łęcka i urwała.

— Co? .. mów!

Matrona westchnęła, znów objęła głowę Witolda, przycisnęła ją do łona i zapytała cicho.

— Czy przyszła ci myśl, moje drogie dziecko, że możesz mieć dzieci i że te mogą być bardzo podobne .. do swych dziadów!

Te słowa wymówiła cicho, jakby się bała brzmienia ich samego

Witold zamyślił się głęboko, opuścił głowę, i milczał.

Matka dodała.

— Jeśli na to wszystko i wiele jeszcze innych rzeczy nie jesteś przygotowany; jeśli nie jesteś pewnym, że w każdej ewentualności wynikającej z małżeństwa twego, znajdziesz się i zachowasz, jak uczciwy i serca człowiek .. to lepiej dziś jeszcze zerwać.

— O! jestem tego pewny! — zawołał Witold, zrywając się od nóg matki — choćby tylko dlatego, żeś ty mnie wychowała...

Twarz pani Łęckiej okraślił niepojęty wyraz szczęścia.

Zerwała się z kanapy i zawołała, ściskając syna.

— A więc jestem szczęśliwą! moja synowa mi się bardzo podobała, Witoldzie.

— Matko moja!

Pani Łęcka obróciła się do drzwi od drugiego pokoju i zawołała:



— Heleno! zbierajmy się...

Odwróciła się znów do Witolda i mówiła:

— Pójdziemy na objad do Kohnów. Zobaczysz, jak będę wesółą. bo już mnie nic nie boli... Kochasz ją prawdziwie...

Nastąpiło serdeczne wylanie uczuć ze stron obu. Witold pchnął posłańca z biletem do pani Kohn, uwiadamiającym o przybyciu matki i o zamiarze jej spędzenia reszty dnia w gronie przyszedłej rodziny.

Helena była, jak nigdy, szczęśliwą.

— Przygotowałyśmy wszystko! — mówiła — będziecie mieszkać w Zyblówce... dopóki sobie nie wystawisz pałacu, mój ty wielki panie.. my się wynosimy do Odrębiny...

— Ależ nigdy! — przerwał Witold.

— Już wszystko zrobione! nie przerywaj mi, bo się nikt o twą wolę nie pyta... Dom odświeżony... śliczne gniazdko... a ogród, żebyś wiedział, jaki ogród tego roku! sama własną ręką sadiłam kwiaty... miliony kwiatów, partery, dywany... cudne rzeczy, bo przecież na lato do Zyblówki jedziecie, a na zimę dopiero wybieriecie się na *voyage de nocte*... nieprawdaż?

— Ależ naturalnie, droga Helciu! — potakiwał rozczulony Witold, całując ją po rączkach.

Był szczęśliwy, jak nigdy... serce mu rozsadzało piersi i wzbierało, jak rzeka. Cóż mu do szczęścia brakowało? Odzyskiwał matkę, którą był prawie poświęcił dla Marji, ukochaną, najlepszą matkę!

Szalony z radości, nie wiedział, co mówić, o co pytać.

Życie mu się przedstawiało dziwnie różowem

i pięknem. Pragnął tylko jaknajprędzej podzielić się swą radością z Marją, której serce, nie wątpił Witold, boleśnie dotkniętem było obojętnością jego rodziny.

Nie mówił z nią o niej dotąd i to było czarną na tęczowem tle ich szczęścia plamą...

Wszystko należało do przeszłości. Za chwilę miał się znaleźć ze swą matką i siostrą u Marji, miał wnieść szczęście w dom Kohnów, dla których zachowanie się pani Łęckiej było zawsze czarną chmurą na tle ich pogodnego i błękitnego horyzontu.

W odpowiedzi, Kohnowie przystali swój ekwi- paż, którym rodzina Łęckich zaraz pospieszyła do nich.

Pani Łęcka była czułą, dobrą, wesołą. Zmiana ta tak wydała się nadzwyczajną, iż pani Kohn, w żadnej pozycji nie tracąca swej równowagi, zrazu wyglądała zdziwiona.

Co chwila zbliżała się do Marji i obsypywała ją pieścizotami, jakby była miała czas do niej się serdecznie przywiązać.

Bo to przecież ona miała być żoną jej ukochanego jedynaka, ona matką jej pierwszego wnuka.

Radość panowała w domu Kohnów. Na obiad przybył tylko Bywalski, który wchodził do salonu nieco pomieszany obecnością pani Łęckiej.

Ale i między nią a bywalcem powróciły także dobre stosunki.

— Kochana pani — zagadnął Bywalski — oswoiła się, widzę, z małżeństwem Witolda.

W odpowiedzi, pani Łęcka podała mu rękę, którą ten ucałował, i rzekła:

— Dużo cierpiałam. dużo myślałam, wystawiłam Witolda na próby. Widzę. przynajmniej tak mi się zdaje, że Witold wie, co robi i że to robi tylko z pobudek uczucia. Więc dziś, Kochany panie Adamie, mogę ci być tylko wdzięczną za widoczne z jego twarzy szczęście mego syna.

Taką była pani Łęcka. choć czasem jeszcze serce się jej ścisnęło, choć czasem na jasnym i otwartym jej obliczu przebiegał wyraz, który zdradzał, że taką, jaką była, być chciała, a nie na dnie najgłębszych duszy tajników była. Jeszcze to i owo ją raziło, jeszcze niejednego się bała, jeszcze niejedno dziwnem jej się wydawało, a myśli te rozpędzała wewnętrzną uwagą, że przecież ona wychowała się w epoce, w której nietylko nie żenili się Łęccy w finansach, ale nawet o nich nie słyszeli.

Podczas gdy Witold z Marją gruchali w jednym kącie salonu, a Helena chichotała z Leną w drugim, pani Łęcka rozmawiała z panią Kohn.

Ta kobieta, na pozór tylko wysoce światowa, miała na dnie dużo rozumu, dużo doświadczenia i dużo znajomości życia.

Matka Witolda przypatrywała się jej ze zdziwieniem, z kądem pod pokrywą wielkiej elegancji i salonowości, wzięło się tyle zdrowych i realnych na życie poglądów.

— Co innego ja — mówiła — która dużo cierpiałam, tyle przeżyłam.

Obie kobiety były prawie różnienniczkami wieku, a pani Łęcka robiła wrażenie matrony.

pani Kohn zaś młodej jeszcze mężatki, mogącej się podobać, niemal pięknej.

— Jaktoby dobrobyt, komfort konserwuje! — myślała, ciesząc się dla syna i przyszłej córki z bogactwa Kohnów.

W chwili, w której konwersacja ożywiona między obiema damami ustawała, przybliżył się Kohn do pani Łęckiej, aby jej wysypać kilka komplementów na syna.

Kohn mniej się podobał matronie, wiała od niego jakaś niesłychana próżność, tak się jej przynajmniej zdawało.

Z jednego tematu, przechodzono na drugi, wreszcie spoczęto na cukrowni Zybłowieckiej.

Pani Łęcka mówiła.

— Jesteś pan szczęśliwym człowiekiem... twoje szczęście udziela się wszystkim. Rzecz nadzwyczajna, ale formalnie od dnia zaręczyn Witolda, interesa nasze coraz lepiej idą. Syn mój jest dziś dwa razy prawie bogatszym, niżli był temu cztery miesiące... cukrownie bardzo dobrze stoją, akcje Zybłowieckie...

— Podskoczyły znacznie... wiem — dokończył Kohn z uśmiechem, który zauważyła pani Łęcka lecz go zrozumieć nie mogła.

Późno wieczór rozeszła się rodzina, aby się zejść nazajutrz o godzinie dwunastej w pałacu Kohnów.

Tak też się stało.

Gdy nazajutrz Witold z matką i siostrą podjeżdżali pod pałac, taki był pod nim zgiełk ekwipaży, iż dziesięć minut czekano na opróżnienie ulicy dla przejazdu ich powozu.

Policja interwenjowała.

Prócz ekwipazy *vielle rochy*, jak mówił Bywalski, całej Warszawy strojne karety i otwarte powozy stały w ulicy.

Tłumy się gapiły, bo to przecież Kohn, który miał u siebie szczerozłote klamki u drzwi, jak mówiła gawiedz, wydawał córkę.

Wewnątrz salony napełniał elegancki, uperfumowany tłum czarnych fraków i strojnych dam w swych letnich toaletach i paryskich kapeluszach.

— Co za szczęście — mówiła pani Paryska do młodego Kinszteina — że ślub ten w dzień. Zobaczy się najpiękniejsze toalety i kapelusze sezonu.

Szmer zrobił się w salonach, gdy w jednym z nich ukazała się wzniosła i arystokratyczna postać Ostoi.

— Cóż to? skąd? co to? — pytano.

— To krewny Łęckich! — odpowiadali niektórzy.

— A widziała pani garnitur toaletowy dziedziczny Ostojów... — pytała jedna dama drugiej.

Tłoczono się przy stole, mieszczącym ślubny koszyk Marji.

Ileż on widział uśmiechów zazdrości i ironji! Każdy chciał go objąć okiem, aby wyczytać z pozorów umieszczonych na nim przedmiotów jaką tajemnicę, czy zagadkę, jaki rys charakterystyczny tego ciekawszego, niż jakiegokolwiek inne, małżeństwa.

Pokazywano sobie panią Łęcką, jak osobliwość jaką i dziwiono się bardzo, bo rozeszła się była wiadomość w świecie, że nie pojawi się, tylko w kościele.

Tymczasem była tu, prawie wesółą, bynajmniej nie sroga i nie zgnębiona, w skromnej popielatej sukni, z ogromnemi, staremi u uszów perłami, przykryta żółkłemi lecz prawdziwemi i cennemi koronkami.

Świat to wszystko badał, sprawdzał, czy koronki prawdziwe, czy perły równe i nie obumarłe.

Książę Oleśnicki stał już przy ścianie, jak mumja.

A pani Paryska spotkała się z Korońskim.

— *Comte!* — zawołała z zdziwieniem, przystając — *Vous.. vous ici?* — dodała ciszej.

Hrabia zbladł, zacisnął usta.

— Jak hrabina widzisz — odparł sztywnie.

— A widzę... ale...

— Ale... ja wszędzie, gdzie i hrabina — odparł hrabia z uśmiechem galanterji.

Koroński oddalił się od niedyskretnej damy i zbliżył się do Leny Kohn.

Nieokreślone wrażenie robiła na nim ta śmiała dziewczyna, dowcipna, cięta przystojna, wygadana, jak nie siedmnastoletnia panna.

Podczas, gdy rozmawiali, zbliżał się do nich Ostoja.

Koroński cofnął się, chciałby był nie spotkać się z hrabią.

Ale Ostoja pierwszy z nim się przywitał. A Karolowi zdawało się, iż miał przytem na swych cienkich ustach obrażający go uśmiech.

Z uderzeniem godziny pierwszej, z czerwonego saloniku, gdzie się odbyła uroczysta i strasznie smutna scena pożegnania panny młodej z



rodziną, scena błogosławieństw, wyszła śliczna Marja zapłakana.

Za nią rodzina, Witold, pani Łęcka nadzwyczaj blada i rozrzewniona, stara i zdzieciwniała matka bankiera i inni.

Dano znak wyjazdu do kościoła.

Tłumy nagle powstały na schodach i w westybulu.

Spieszono się do kościoła, aby tamże znaleźć lepsze obserwacyjne miejsce.

W kościele PP. Wizytek, wśród szpaleru lokai, wstrzymujących tłok publiczności, defilowały pary i zajmowały miejsca przed ołtarzem wśród kwiatów i światła.

Wreszcie nastąpiła cisza, cisza ciekawości ludzkiej.

To wchodziła rodzina i państwo młodzi.

Tysiące komentowało każdy szczegół.

Jak było ułożonem, — Kohn prowadził córkę.

Ostoja panią Kohn.

Książę Oleśnicki panią Łęcką.

Mrabia Koroński Lenę Kohn.

Pod ołtarzem, w eleganckim dwusto-osobowym tłumie, ileż szeptów, ileż uśmiechów wywołała ta ostatnia para.

Towarzystwo uspokoić się nie mogło.

Ceremonja trwała krótko, ślub dawał ksiądz biskup, a przemowa jego była zwięzłą i jędrną.

Przed godziną drugą ekwipaże zajeżdżały już pod kościół, aby zabierać gości nazad do pałacu Kohnów.

Coupé państwa młodych, zaprzężnięte paroma pysznymi końmi zstąpiło Łęckich na Podolu,

ubranymi w zwykłe krakowskie chomonty, zwracało oryginalnością swoją uwagę.

Koroński, uśmiechał się tylko, widząc ten wiejski ekwipaż.

— Ja bym pokazał! — szepnął cicho — gdybym był Witoldem.

Z ekwipażów, wystawowym był *huit ressorts*, którym odjechała pani Łęcka z Ostoją.

Po powrocie gości do domu Kohnów, Pom-balle zaraz otworzył podwoje od sali jadalnej, gdzie zastawione było *dé jeuner-dinatoire*.

Zameldował.

— *Madame est servie!*

I wszyscy przeszli do sal, uginających się pod niewidzianymi zastawami.

Śniadanie to skończyło się o czwartej, mimo pięćdziesięciu uwijających się lokai.

Zaraz po śniadaniu zapanował zgiełk nie do opisania.

Bawiono się wybornie.

W sali balowej zabrzmiała orkiestra.

Była to niespodzianka, zrobiona przez Kohna, dla towarzystwa.

Witold, zmęczony wszystkim, przetańczył jeden tour z Marją, poczem nastąpił formalny bal.

Marja pobiegła się przebrać, a Kohn zbliżył się do Łęckiego i poprosił go do swego gabinetu.

— Kochany Witoldzie rzekł, sam siadając i pokazując drugie krzesło przy biurze zięciowi — zakończmy rachunki... *les bons comptes font les bons amis*.

Tu wskazał na biórko, na którym leżała zwinięta paczka papierów i mówił.

— Posag mej córki wynosi dwakroć... daję ci go w akejach Zyblowickich, że zaś te kupowałem po zdecydowaniu twego małżeństwa, w czasie, gdy niżej stały, wynoszą one dzisiaj dwakroć siedemdziesiąt... mnie kosztowały tylko dwakroć... oto są, jest ich sztuk tysiąc

Witold rozrzewniony milczał, a Kohn dalej mówił.

— Przestrasza cię ta paka... pomyślałem o tem i jest odpowiednia na nią torba, a w domu zastaniesz już kasę ogniotrwałą...

— Rzeczywiście... — bełkotał Witold, ale bankier dalej mówił, wyjmując z pularesu kawałek papieru i wręczając go zięciowi.

— A to, to przekaz Kronenberga do któregokolwiek miasta w Europie na dziesięć tysięcy rubli, które matka wam daje na poślubną podróż.

Kohn, chcąc uniknąć podziękowań Witolda, będących bardzo trudnemi wobec jego galanterji, wstał i podając mu rękę, uściskał go, mówiąc:

— Jestem pewny, że Marja będzie szczęśliwą!

Sam nieco rozczulony, oderwał się od zięcia, ujął pakę akcyj, włożył ją w rodzaj przygotowanej torby podróźnej i dodał:

— Ta torba ci w wagonie nie zawadzi.

To powiedziawszy, wyszedł prędko z gabinetu i przeszli do sali balowej, gdzie tańczono do upadłego.

O godzinie ósmej wieczór część towarzystwa została w pałacu Kohnów, aby dalej tańczyć, a szczupłe bliskich grono odprowadziło państwa młodych na kolej Nadwiślańską, którą jechali na Podole.

Pani Kohn w ostatniej chwili uczuła się tak wyjazdem córki boleśnie dotkniętą, że nie pozwolono jej jechać na dworzec kolejowy.

O godzinie dziewiątej ruszył pociąg, unosząc w wagonie przystrojonym w kwiaty, w przedziale, napełnionym bukietami, szczęśliwego Witolda i — szczęśliwą Marję!

KONIEC I. TOMU.









F

22.271